

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/199

1964



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

G. HERLING-GRUDZIŃSKI:

MANIFEST TRZYDZIESTU CZTERECH

J. BIELATOWICZ: **GAUDE MATER POLONIA**

Cz. DOBEK:

MILIONY POLSKIEJ EMIGRACJI

J. MIEROSZEWSKI:

PROBLEM CENTRALNY XX WIEKU

SPIS RZECZY

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Memoriał Trzydziestu Czterech ..</i>	3
Paweł Hostowiec:	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia</i>	8
Jan Bielatowicz:	<i>Gaude Mater Polonia</i>	16
Alicja Iwańska:	<i>Filozofowie</i>	39
Danuta Irena Bieńkowska:	<i>Ten człowiek</i>	51

WIERSZE

Krystyna Bednarczykowa:	<i>Wiek XX</i>	55
" "	<i>Słowa</i>	56
" "	<i>Taniec</i>	56
" "	<i>Dłoń</i>	56
Jan Darowski:	<i>Dwie wieże</i>	57
" "	<i>Lustro</i>	58
" "	<i>Sen tzw. wieczny</i>	59

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Problem centralny XX wieku</i>	61
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	68

SĄSIEDZI

W.A. Ryser:	<i>Nowy etap</i>	75
Bohdan Osadczuk:	<i>Współczesna Ukraina</i>	82

SPRAWY I TROSKI

Czesław Dobek:	<i>Miliony polskiej emigracji</i>	87
Adam Nasielski:	<i>Młode pokolenie emigracyjne</i>	98

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Władysław Michniewicz:	<i>Rehabilitacja płk. Hańczy</i>	105
------------------------	--	-----

KRONIKA KULTURALNA

Józef Czapski:	<i>Weltbürger</i>	113
—	<i>Komunikaty</i>	117

KSIAŻKI

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Z zeszytu lektury</i>	119
Witold Jedlicki:	<i>„Kontemplacja na odległość”</i>	127
Andrzej Vincenz:	<i>Historia dzieciństwa</i>	131
Maria Danilewiczowa:	<i>Pod znakiem nauk służebnych</i>	138
Zygmunt Markiewicz:	<i>Literatura polska w oczach Francuza</i>	148
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze ..</i>	151
—	<i>Wykaz wydawnictw Biblioteki „Kul-</i> <i>tury”</i>	154



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	157
--------------	----------------------------	-----



E. J. Czerniawski, J. Klepaczek, M. Pobóg-Malinowska, S. Zo- chowski:	<i>Listy do Redakcji</i>	158
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Maj - Mai

1964

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ KULTURY

Józefa Turska, St. Anne de Belleville, P.Q. (Kanada) po raz szósty	22,50 F
Luta Hersch, Genewa (Szwajcaria) po raz dziewiąty	11,00 „
Zygmunt Gabryszewski, Chicago, Ill. (USA) po raz drugi	9,80 „
W pierwszą rocznicę zgonu śp. Bolesława Baake, zmarłego w Libanie — dla uczczenia Jego pamięci — grono przyjaciół w Montrealu, Kanada	50,00 „
A. Wawrzyńczyk, Thurso, P.A. (Kanada) po raz drugi	9,00 „
Roman Królikowski, Johannesburg (Afryka Połudn.) po raz drugi	35,00 „
Bezimiennie, Philadelphia, Pa. (USA)	16,00 „

DZIĘKUJEMY

Memoriał Trzydziestu Czterech

W lipcowym (1963) numerze miesięcznika włoskiego *Tempo Presente*, w nocy zatytułowanej *Papier w Polsce*, pisałem: „Wysunąwszy się od roku 1956 na czoło procesu odnowy, literatura polska zaczyna ostatnio zdradzać objawy zmęczenia, zniechęcenia i dezorientacji. Czasopisma są znowu szare i nudne. Książki o pewnej wartości można policzyć na palcach. Zgasły wielkie polemiki. Pisarze, nawet ci którzy w przeszłości dawali niejednokrotnie dowody odwagi intelektualnej, nie gardzą wypadami w rejony banału. Przyczyna? Mówi się coraz częściej w Polsce o kryzysie przemysłu papierniczego. Wyjątkowo surowa zima dała się we znaki także na odcinku wyrębu lasów; wzrost zapotrzebowania drzewa dla celów opałowych odbił się podobno na produkcji papieru. Rezultaty, według oficjalnych źródeł polskich: zmniejszenie objętości wszystkich gazet i czasopism, drastyczne cięcia w programach domów wydawniczych. W obrębie bloku sowieckiego Polska znajduje się w tej chwili na ostatnim miejscu, jeśli chodzi o ilość wydawanych książek *pro capite*. W jaki sposób ta koniunktura sezonowa, o charakterze przejściowym a w każdym razie nie politycznym, mogła była wpłynąć na zmianę postaw literackich o której wspomnieliśmy wyżej? Pytanie byłoby bezsensowne w każdym ustroju, ale nie w takim który posiada absolutny monopol na słowo drukowane. Przymrozek klimatyczny pociąga za sobą wznowiony przymrozek literacki w tym sensie, że przy zmniejszonym przydziale papieru arbiter-dystrybutor jest zawsze ten sam: partia. Zobaczyć wydrukowany artykuł lub wydaną książkę oznacza dla autora być gotowym do większych ustępstw. Zachęta do konformizmu, do adaptacji, staje się dosłownie papierowa: cenzor nie będzie odtąd musiał mówić otwarcie o „błędach”, o konieczności „przemyslenia rzeczy na nowo”, lecz odwoła się po prostu do braku papieru, do wymogu cierpliwego czekania w ogonku. O tym która książka jest ważniejsza i pilniejsza od innych

decydują naturalnie władze, lecz oczekuje się od kandydatów małego „dobrowolnego” wysiłku, jeśli chcą przeskoczyć w ogonku parę martwych oczek”.

W marcowym (1964) numerze *Kultury*, w nocy zatytułowanej *Papier i literatura*, Paweł Hostowiec mógł już posunąć się nieco dalej. Zwróciwszy uwagę na nagły renesans utworów „sławiących działalność milicji i pracowników służby bezpieczeństwa”, autor *Notatnika nieśpiesznego przechodnia* powiada: „Czytelnik musi sobie co chwila stawiać pytanie: czy tego od nich naprawdę wymagano? Czy Urzędowi Bezpieczeństwa nie wystarczyłaby połowa tych pochwał? W przesadzie apologetów wyczuwa się panikę, jaka ogarnęła ich na widok kurczących się przydziałów papieru. Wielu zdaje się obawiać, że zanim skończą rękopis ich gotowość do usług zostanie już przelicytowana przez innych”. Hostowiec przechodzi z kolei do domysłów na temat podłoża tej papierowej batalii. „Jedni sądzą, że ograniczenie przydziału papieru jest taktyką obliczoną na długą metę. Partia nie potrafiła podporządkować sobie całkowicie literatury, chciałaby więc ograniczyć jej zasięg i wpływ. Uderzając w młode pokolenie piszących, deprawując charaktery i wypaczając talenty, zamierza pozbawić literaturę polską jej tradycyjnego autorytetu moralnego”. Tłumaczenie takie nasuwa mu wątpliwości: „Współżycie PRL z literaturą było dotąd na ogół pokojowe. Prócz kilku wyjątków pisarze nie uciekali z kraju, chwalili sobie tamtejsze warunki egzystencji, nie knuli spisków i niezadowolone, kiedy mieli do niego powody, wyrażali ogłędnie. Liczni, i nie najmniejsi, zdawali się całkowicie oswojeni. Dyktatura komunistyczna odniosła na tym polu większe sukcesy, niż np. w dziedzinie gospodarczej. Nawet najbardziej zaślepieni fanatycy partyjni muszą sobie z tego zdawać sprawę. Taktyka spychająca do opozycji ogół piszących nie miałaby w tych okolicznościach większego sensu”. Konkluzja brzmi tak: „Popełniamy być może grubą omyłkę szukając sensu w posunięciach będących tylko gniewnymi odruchami, kaprysami dzierżących władzę i które nigdy innego sensu nie posiadały”. Brak nam jednak wyjaśnienia skąd owe „gniewne odruchy” u władców, którzy mają wszelkie powody do zadowolenia ze swoich „oswojonych pisarzy”.

Memoriał wysłany do Cyrankiewicza przez trzydziestu czterech wybitnych pisarzy i uczonych powinien chyba rozproszyć wątpliwości Hostowca, dotyczące wariantu „taktyki komunistycznej obliczonej na długą metę”. Memoriał ustala niedwuznacznie *junctim* między wzmożeniem cenzury i ograniczeniem przydziału papieru jako środkiem ukrytego nacisku na pisarzy, właśnie w duchu mojej noty w *Tempo Presente*: oba zjawiska wymienione są w jednym zdaniu i jakby jednym tchem. Błąd Hostowca powstał

z fałszywej przesłanki: twierdzić, po roku 1956, że „współzycie PRL z literaturą było dotąd na ogół pokojowe”, że „pisarze nie knuli spisków”, „chwalili sobie warunki egzystencji w kraju” i „ogłędnie wyrażali swoje niezadowolenie kiedy mieli do niego powody”, jest nieścisłością i niesprawiedliwością. Prawdą jest natomiast że *ostatnio* śmiało i żywe tendencje nonkonformistyczne ustąpiły miejsca bądź (w najlepszym razie) opozycyjności pasywnej, bądź swoistej *malaise* indyferentyzmu i zrezygnowanego cynizmu od którego krok tylko do oportunistu. Gomułka jednak chce znacznie więcej: nie pisarzy pogodzonych z losem i zmuszonych przez okoliczności do karnego stania w szeregu, lecz pisarzy posłusznie i chętnie odrabiających wypracowania na zadany temat w duchu dydaktycznych i budujących powiastek ludowych. Do tego, do przełamania w pisarzach okopów ich własnej woli i wymuszenia na nich zgody „spontanicznej”, miało służyć sprzężenie ostrza cenzury ze „śrubą papierową”. Memoriał Trzydziestu Czterech zdaje się dowodzić, że kosa trafiła wreszcie na kamień. Pośrednio zaś dowodzi także, że jedyną skuteczną formą walki w ustroju złagodzonej dyktatury (tzn. dyktatury która musiała zaniechać uciekania się do fizycznych środków represji, do Wielkiego Cienia Strachu i do wulgarnej korupcji) jest stan *permanentnego oporu*. Gdyby intelektualiści w kraju, odkąd stało się dla nich jasne na jakie tory wkroczył po zwycięstwie Polski Październik, nie przyjęli byli ani na chwilę pozornego rozejmu w imię „Racji Stanu”, ich protest nie zabrzmiałby jak wyrwany z gardła do którego znowu przyłożono nóż.

Gdyż w Memoriale Trzydziestu Czterech czuje się nóż przyłożony do gardła. Doskonale i jasno sformułowany, uderza on w tony dramatyczne: nie używa się w Warszawie na wiatr takich słów jak „zagrożenie rozwoju kultury narodowej”. Jeśli cokolwiek można mu zarzucić, to że narodził się dość późno, gdy proces rozkładu poczynił już pewne postępy. Głos niepokoju miał prawo, a nawet obowiązek, odezwać się o wiele wcześniej. Co najmniej od roku trwa intensywna operacja komunistów zmierzająca do zamknięcia kultury polskiej w obłożonym mieście, z którego „chętni” lub zmęczeni obłożeniem mogą się wykupić tylko za cenę kapitulacji. Począwszy od marca ubiegłego roku zamknięto albo ograniczono do śmiesznego minimum i tak już skąpy dopływ wydawnictw z Zachodu. Położono rękę na stypendiach zagranicznych. Ustami Gomułka i jego adiutantów zapowiedziano na XIII Plenum powrót do „zamordyzmu” kulturalnego. Bezpośredniemu nadzorowi Ministerstwa Kultury poddano przekłady pisarzy polskich na języki obce. Wydawanie paszportów uzależniono od „dobrego sprawowania” lub przynajmniej „letniości” penitentów. Zasiano między intelektualistami najtwardsze i najtrud-

niej umierające ziarno stalinowskiego chowu: wzajemny (często nieuzasadniony) strach i pokusy serwilizmu *na zapas*. (Piszący te słowa pragnie tu nadmienić, że ceniąc wysoko *Zniewolony umysł* Miłosza jako dzieło sztuki pisarskiej, od początku — na długo przed Październikiem — uważał za twór wyrafinowanej „taryfy ulgowej” odmalowany w nim obraz: choć to brzmi „to-pornie” i „prostacko”, ustroje totalne posługiwały się zawsze i tylko wobec „niewiernych” gorzkim batem strachu i słodszy nieco batem przekupstwa). Zlikwidowano *Przegląd Kulturalny* i *Nową Kulturę*, by na ich miejsce stworzyć najżałośniejsze pismo jakie kiedykolwiek ukazywało się w języku polskim. I *last but not least* (pod piórem emigranta i na łamach miesięcznika emigracyjnego) odnowiono barbarzyńską praktykę skazywania na nieistnienie pisarzy przebywających zagranicą. O obniżeniu nakładów książek, o cięciach w programach wydawniczych, o zmniejszeniu objętości czasopism, była już mowa wyżej.

Ostatnim, ironicznym i zarazem symbolicznym, ogniwem tego łańcucha było pasowanie Iwaszkiewicza na Budowniczego Polski Ludowej. Z własnej inicjatywy czy za poradą swych zausz-ników (raczej to drugie), Gomułka protekcyjnie i z życzliwym uśmiechem ozdobił laurem sławy i chwały czoło pisarza, który nie bez racji uchodzi za wzór chronicznej i nieuleczalnej uległości. Miał to być pojednawczy gest Gospodarza Kraju wobec literatury polskiej, coś w rodzaju literackich dożynek w Spale przy wtórze pieśni „plon niesiemy, plon”. Był ostrzeżeniem jakie są granice swobody pisarskiej w Polsce.

Szkodliwa a nawet groźna strata czasu w kraju powstała zapewne z rachuby na „opamiętanie się” komunistów. Nie znamy jednak wypadków dobrowolnego „opamiętania się” komunistów, a dobrotliwe odruchy dzierżących „władzę ludową” należą do czystej legendy. Cofają się oni tylko wówczas gdy naprawdę muszą, gdy czują nieustanny nacisk i wiedzą że byłoby szaleństwem nie przywiązywać doń wagi. Powolna lecz nieprzerwana poprawa warunków życia kulturalnego w Rosji jest owocem stałego nacisku ze strony znacznego odłamu inteligencji sowieckiej: tego, między innymi, że pisarze rosyjscy mają odwagę szachować swych władców procedurą wysyłania manuskryptów zagranicę. Młodzi pisarze rosyjscy, których zdarzyło mi się ostatnio spotykać, czerpią wolę oporu i walki z przykładów Pasternaka, Ałchmatowej i Zoszczenki; „piskorz przemądry” Erenburg jest dla nich być może figurą na szachownicy, ale z całą pewnością nie przemawia do ich wyobraźni. Kadar nie dlatego tylko szuka porozumienia z pisarzami węgierskimi (wiem to również od zainteresowanych), że jest inteligentniejszy od Gomułki: ma po prostu przed sobą kontrahentów, którzy dali dowody nieustępliwości i

charakteru, którzy nie paktują o byle co i za byle co. Jeśli intelektualiści czescy a nawet wschodni Niemcy rozprostują grzbiety, to nie dzięki łaskawemu przyzwoleniu Nowotnego i Ulbrichta: zapisze się tu trwałymi zgłoskami odwaga redaktorów tygodnika praskiego, którzy ogłosili wywiad z Lukacsem; i odwaga profesora Havemanna na katedrze Uniwersytetu Humboldta.

Wszystko zatem prowadzi do wniosku, że nie ma i nie może być pauz w walce przeciw siłom „zagrożającym rozwojowi kultury narodowej”. Stracony czas zostawił po sobie ślady. Nie chodzi już nawet o to, że załamał się częściowo (oczywiście ze strony pisarzy, a nie ze strony publiczności) bojkot *Kultury* warszawskiej, że podnieśli znowu głowy profesjonalni „zjadacze żab” licząc na bezkarność i na krótką pamięć świadków, choć i te rzeczy mają swoją wymowę i swoje znaczenie. Chodzi o coś znacznie ważniejszego: w jakimś stopniu powiódł się zamiar pozabawienia literatury polskiej jej autorytetu moralnego, coraz częściej odwracają się od niej ze zniecierpliwieniem i z uczuciem zawodu ci sami czytelnicy, którzy cenili ją tak wysoko w okresie „październikowym”. Ścisła jest więc właśnie interpretacja, budząca wątpliwości w Hostowcu: nie potrafiwszy podporządkować sobie całkowicie literatury, partia chce ograniczyć jej zasięg i wpływ.

Memoriał Trzydziestu Czterech jest próbą wstrzymania tego procesu. Narodził się późno, ale jeszcze nie za późno. Jeśli zdoła skupić wokół siebie znakomitą większość uczonych i pisarzy polskich, jeśli będzie sygnałem do ocknięcia się i działania, jeśli wszelkimi dostępnymi kanałami dotrze do szerokiej opinii publicznej w kraju, spełni swoje zadanie. W przeciwnym razie pozostanie szlachetnym protestem najlepszych.

Okoliczności zewnętrzne zdają się sprzyjać inicjatywie Trzydziestu Czterech. Ogromne i nieodwracalne pęknięcie w monolicie komunistycznym skłoni przypuszczalnie Chruszczowa i jego stronników do unikania nadmiernych kłopotów „domowych”. Byłoby nonsensem przewidywać, że antychińska wersja komunizmu zacznie od naśladowania u siebie Świętego Patrona „zdrajców i renegatów”. Licytacja z Chińczykami, konieczność usunięcia „smrodu trupa” (jak Chruszczow określił w budapeszteńskiej anatemie ciąży stalinowskie), wymaga ponownego wkroczenia na drogę liberalizacji i zbliżenia do Zachodu. Ale zakres tej liberalizacji zależy od wysokości i twardości stawianych żądań. Na początek wystarczy może że w Memoriale Trzydziestu Czterech padło nareszcie oczekiwane dawno słowo: DOMAGAMY SIĘ.

11 kwietnia 1964.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

SŁOWO MIĘDZY ZDOBNICTWEM I SŁUŻBĄ

W imieniu dobrego smaku krytyka francuska potępiła w czambuł barokową poezję Włoch i Hiszpanii. Dla nas ten stary spór nie ma już sensu. Francuzi próbowali wówczas podbić lub podporządkować sobie te kraje — i jak się w podobnych okolicznościach zdarza — oskarżali je o zły smak.

Po ówczesnych sporach pozostał nam tylko wyraz, z którym nie wiemy dobrze co począć. W sprawach literackich smak nie gra dziś większej roli, nie jest ani zły ani dobry. David Hume sądził, że smak jest wyrazem opinii kół oświeconych, które przeciwstawiały się wówczas rzeszy analfabetów. W naszych czasach powszechnego czytelnictwa trudniej rozpoznać elitę oświeconych. Suma opinii czytelników obejmuje wszystkie możliwe sądy, nie jest więc ani taka ani inna. Rozproszenie sądów widzimy zresztą także u tzw. publiczności literackiej, to jest u wydawców, recenzentów, kronikarzy, członków akademii i sądów konkursowych, u bywalców kawiarni literackich, słowem osób tym czy innym tytułem zainteresowanych produkcją słowa drukowanego.

Niwelacja i rozproszenie sądów i gustów jest jednak zjawiskiem nowym i osiągnęło szczytowy punkt dopiero w *affluent society*, w czasach obecnej *prosperity*. Podobny zresztą obraz wyłania się z polskiej produkcji literackiej, gdzie widzimy również współzycie różnorodnych stylów i manier, odpowiadających zapewne gustom czytelników.

Mimo niwelacji wynikłej z powszechnego czytelnictwa wielkie obszary literackie Europy wykazują wciąż jeszcze pewne różnice. Tak więc w zachodniej części kontynentu czytelnicy zdają się cenić więcej stronę artystyczną i rozrywkową utworów literackich, we wschodniej zaś przypisują większą wagę zaangażowaniu

społecznemu. Różnice te powstały dawno i zarysowały się wyraźnie w XIX wieku.

Wyrażenie *l'art pour l'art*, sztuka dla sztuki, rozpowszechniło się w końcu ubiegłego stulecia, ale pojęcie wartości autonomicznej literatury jest nierównie starsze. Można je znaleźć u autorów starożytnych, mówiących o odrębnym powołaniu poetów. Pojęcie te skryształizowało się w pewien sposób w czasach Baroku. Spisuję tu refleksje, jakie nastreczyła mi na ten temat wystawa Baroku piemonckiego w Turynie.

Publiczność literacka XVII w. nie różniła się wiele od publiczności z czasów cesarstwa rzymskiego. Martialis pisze, że znany jest wszystkim ludom — *notus gentibus et populis* — ale skromnie dodaje: „Czego mi zazdrościcie? Nie jestem sławniejszy niż koń (wyścigowy) Andraemon”. Niewielki rozgłos był udziałem pisarzy aż do końca XVIII w. W istocie publiczność Martialisa ograniczała się do kół otaczających dwór cesarza. Była to publiczność znająca się na żartach, nie szukająca w wierszowanych powieściach nauk moralnych ani złudzenia rzeczywistości i czytająca przeważnie jak Montaigne, dla przyjemności. W XVII w. sztuka drukarska osiągnęła już wysoki stopień doskonałości, ale nabywcy książek nie byli dużo liczniejsi od kupujących obrazy. Sprzedaż nie opłacała kosztów druku, i literatura — jak w dawnym Rzymie — nie mogła się obyć bez protektorów. Nazwiska ich znaleźć można w dytyrambicznym dedykacjach, figurujących na pierwszej stronie książek tego czasu. Głównymi protektorami literatury byli panujący i ich otoczenie, w którym znajdowała się też znaczna część czytelników. Na wydawanie książek nie żałowano pieniędzy. Przeglądając książki zgromadzone w turyńskim Palazzo Reale miałem wrażenie, że w porównaniu z nimi nawet nasze *livre d'art* i *tirages limités* w lśniących okładkach są bardzo skromnym towarem, noszącym znamiona masowej produkcji. Druki barokowe należą do tej samej kategorii przedmiotów co rzeźby, obrazy i meble wypełniające wnętrza ówczesnych pałaców.

Przepych pałaców i wnętrz był dla władców absolutnych rodzajem dodatkowej legitymacji: do błogosławieństwa niebios dodawał świadectwo geniuszów architektury i malarstwa. Literatura piękna była również ornamentem władzy. Stąd jej uroczysta dekoracyjność i niezliczone aluzje do bogów Olimpu. Luis de Góngora zaczyna swój cykl sonetów takimi słowami:

Sobre dos urnas de cristal labradas

Uroczysty dźwięk tych słów i wywoływane przez nie asocjacje należą do tego samego świata co kolorowe marmury i złocenia barokowych pałaców. Literatura była nie narzędziem lecz ozdobą władzy. Na dworach oceniano ją z punktu widzenia przydatności dekoracyjnej czyli od strony artystycznej. Nie bez przyczyny więc

francuski *privilège du roi* bronił literaturę od cenzury parlamentu, badającej zgodność książek z nauką kościoła, to jest ich treść. Siedemnastowieczna wersja *l'art pour l'art* nie jest też pozbawiona pewnego hermetyzmu. Wydaje się nawet, że l'abbé Brémond ze swą teorią „poezji czystej” jest doskonałym przewodnikiem po urokach poezji barokowej.



Zwycięska burżuazja przejęła spadek po monarchii i arystokracji. Niwelacja bogactw zwiększyła jedynie popyt na dawne ornamenty posiadania i władzy. Większa część mebli w „stylu Ludwików” — jak twierdzą antykwariusze — jest dziełem rzemieślników francuskich z pierwszej połowy XIX wieku. Gdy chodzi o gusty literackie, przejęcie spadku przyszło tym łatwiej, że według świadectwa Furetière'a mieszczańskie salony literackie znano już w końcu XVII w. Znajomość klasycznych wzorów i rozważanie artystycznej strony czytanych utworów pozostało znamiem przynależności do wyższych sfer towarzyskich. Jakkolwiek mniej rzucające się w oczy od zabytków architektury, obyczaje te są być może też częścią naszego spadku po Baroku.



Wtajemniczenie w sprawy personalne, w zakulisowe i anegdotyczne życie otoczenia panujących było niezbędne dworzanom wszystkich szczebli. Obraz roztaczający się przed wtajemniczonymi musiał posiadać niezwykłą siłą przyciągającą. Dla Saint-Simona wyjazd na prowincję był pogrążeniem się w *obscurité*, rodzajem śmierci cywilnej. Ponieważ życie literatury skupiało się dokoła dworów, można stąd wnosić, że już wówczas znajomość spraw personalnych i anegdot była rysem właściwym publiczności literackiej. Rys ten będzie jej towarzyszył aż do naszych czasów. Spisując anegdoty, Saint-Simon a później Chamfort stworzyli rodzaj literacki przeznaczony do zawrotnej kariery.

Wpływ wzrostu czytelnictwa na literaturę rozważany był już przez licznych historyków literatury i socjologów, zatrzymam się więc tylko na jednym jego aspekcie, mianowicie na ostatnich przemianach odziedziczonych po Baroku zamiłowania do personalii i anegdot.

Pierwsze rozpoznanie głównych zarysów tej ewolucji zawdzięçam konsierżowi niewielkiego hotelu przy rue Lafayette, M. Fourneau, którego poznałem przed czterdziestu laty. Jakkolwiek zacząłem pisać dopiero w dziesięć lat później, M. Fourneau — czyli z warszawska pan Piecyk — odgadł we mnie od razu przyszłego

literata i zaprosił do swej loży. Wszystkie ściany tego skromnego pomieszczenia były zastawione regałami pełnymi książek. Stały tam *opera omnia* Prousta, wszystkie książki wyróżnione w ostatnich latach przez nagrody literackie i wiele innych nowości wydawniczych.

O nowej warstwie czytelników mówił mi wiele Georges Crès, wydawca paryski, który w 1917-1918 drukował w Zurychu *livres d'art*, aby po zakończeniu wojny rozporządzać od razu zapasem książek dostosowanych do gustów nowej publiczności.

— Klienci w pańskim rodzaju — mówił — przestali mnie interesować. Wojna przerzuciła ich i zrujnowała. Wypadki wojenne wyniosły na powierzchnię życia nowe warstwy społeczne, którym musimy dostarczyć książek.

W loży konsierża mogłem wreszcie zobaczyć z bliska jednego z nowych nabywców książek. Pan Piecyk odbiegał korzystnie od przewidywań Crèsa, który swych przyszłych klientów widział jako barbarzyńców, nie tyle czytających ile kupujących ozdobne książki ilustrowane dla względów prestiżowych. Pan Piecyk był niestrudżonym czytelnikiem nowości literackich. Czuł się wobec nich trochę bezradny, lecz nie rezygnował z prób opanowania ich myśli. Upraszczał w tym celu sprawy literackie i dostosowywał je do kondycji konsierża. Sekret jego był prosty. Czytał nowości, lecz nie znał literatury starszej. Brakło mu miary rzeczy opartej na porównaniach. Nie umiając ocenić tekstów zbierał wszystko, co było wiadome o autorach, na których patrzył jak gdyby byli lokatorami jego hotelu.

Literatura francuska przyszła z pomocą czytającym konsierzom, dostarczając im odpowiedniej lektury. Przed kilkunastu laty przeczytałem nie bez pewnej zabawy książkę napisaną jak gdyby na zamówienie p. Piecyka. Był to obszerny tom Maurois o George Sand. Można w nim było znaleźć wszystko, co tylko było wiadome o amorach autorki *Indiany* i czego się można było o nich domyślać. Maurois pominął natomiast twórczość literacką sławnej niegdyś autorki, wymieniając zaledwie kilka powieści, w których można było dopatrywać się aluzji do jej przeżyć romantycznej natury. Istotnie, od tej strony George Sand jest najdostępniejsza dla pana Piecyka i jego czytających kolegów. Mogą o niej rozmawiać jak o swojej lokatorce. Jeżeli pan Piecyk żyje, czyta dziś zapewne pilnie także Henri Guillemain'a, który pierwszy bodaj dla swych studiów o romantykach francuskich wyzyskał archiwa polcji. Henri Guillemain i doktor Cabanès zachęca być może pana Piecyka do rozszerzenia swego wykształcenia i zapoznania się z dawniejszymi klientami hotelików paryskich czyli z klasykami literatury francuskiej.

Moda na powieści pisane w pierwszej osobie, w których autorzy z rozbijającą szczerością spowiadają się z rzekomych grzechów i klęsk, zbiega się zabawnie i być może nie przypadkowo z pojawieniem się wśród czytelników większej liczby kon-sierżów.

Przysposobiony do cywilizacji przemysłowej i masowego czytelnictwa, barokowy gust do sekretów i anegdota pałacowych pozostał dotąd jednym z motorów literatury i ruchu wydawniczego.



Gdy szukam w literaturze polskiej utworu w stylu barokowym, przychodzi mi na myśl przede wszystkim *Zofiówka*. Mimo pochwały Epikura i szczegółów, wskazujących u autora na znajomość z dziełami La Mettrie i innych mistrzów Oświecenia, utwór ten pozostał wybitnie barokowy. Tytuł: *Zofiówka w sposobie topograficznym wierszem opisana* budzi pewne zastrzeżenia. W istocie nie ma tam żadnego opisu parku. Piszący te słowa widział był jeszcze Zofiówkę. Twór Szczęsnego Potockiego był opuszczony, zbiedzony, przydzielony jako teren doświadczalny do rosyjskiej szkoły rolniczej, ale nawet jako ruina Zofiówka pozostawała wciąż wspaniałą rywalką sławnych parków Zachodu. W poemacie Trembeckiego na próżno szukam jej znajomych rysów. Znajduje tylko girlandy antycznych aluzji zawieszone na jej bramach, tylko gloryfikację parku i jego właściciela. O ileż dokładniej i „topograficzniej” opisałby Zofiówkę Petrarca. Trembecki pozostaje odległy także od współczesnego mu Delille’a, również opisującego parki, ale w innym stylu i z inną myślą. *Zofiówka* jest spóźnym pomnikiem barokowej poezji dworskiej. Ostatni król polski już nie żył, ale pozostało kilka dworów magnackich. Na świadków przepychu dworu Szczęsnego Potockiego Trembecki, według starej recepty, mobilizuje bogów Olimpu i mędrców starożytności.

Zofiówka jest ostatnim fajerwerkiem Baroku. Trembecki miał otrzymać za swój poemat dwa tysiące dukatów, po cztery za wiersz. Honorarium to będzie też ostatnim przeblyskiem barokowych splendorów. Zaraz potem w historii polskiej publiczności literackiej otwiera się wielka cezura. W poezji romantycznej pozostał jeszcze cień Akteona, złocenia i ozdoby słowne, ale koncepcja literatury jako ornamentu władzy i posiadania kończy się na Trembeckim. Dla utrzymania ciągłości barokowych tradycji brak w Polsce — jak zresztą w całej Europie Środkowo-Wschodniej — odpowiedniej publiczności literackiej. Brak więc dworów; magnaci mają dla literatury mierne zainteresowanie; ich topniejące fortuny nie wymagają więcej ornamentów. Brak wreszcie burżuazji,

która na Zachodzie przejęła spadek kulturalny po tronach i arystokracji.

Rolę publiczności literackiej przejmują w Polsce warstwy nowe, ubożająca szlachta i nawet zaścianki. Wydawcami zostają potomkowie Jankiela, żyjący od dawna już w rodzaju symbiozy z panami szlachtą. Brak kapitałów nie pozwala im wykonywać w większym rozmiarze roli mecenasów.

Chciałbym zatrzymać się tu na mniej znanej części czytelników polskich XIX wieku, mianowicie na mieszkańcach zaścianków. Młodsze pokolenia znają dziś tylko bajeczny zaścianek Dobrzyńskich z *Pana Tadeusza*. W Warszawie zresztą nigdy nie znano dobrze tego zjawiska. Wyraz „zaścianek” przybrał tam znaczenie ujemne. Słownik wyrazów bliskoznacznych łączy go z „zacofaniem”, „głupotą”, „parafiańszczyzną”. Na kresach wschodnich natomiast zaścianki zachowały się do 1917 i nawet później, bo pewne wiadomości o nich znajdujemy w sowieckim spisie ludności z 1924. Znając kilka zaścianków kresowych, chciałbym tu wspomnieć o ich czytelnictwie.

Zaściankami nazywano wsie zamieszkałe przez szlachtę zagrodową, ubogą lecz honorną. Władze rosyjskie nie uznawały ich szlacheckich tytułów; katolikom nie pozwalały nabywać gruntów z parcelacji; wsie szlacheckie były na ogół uboższe od sąsiednich wsi ukraińskich, ale ludność ich była piśmienna.

Nie wszystkie wsie tej kategorii zachowały język polski. Pamiętam np. wieś Radziejowce, gdzie mieszkało trzy tysiące Radziejowskich, dawnych unitów nawróconych przemocą na prawosławie. Nikt z nich nie mówił po polsku, ale jeden z przyjezdnych opowiadał mi, że w 1925 był świadkiem uroczystego otwarcia w Radziejowcach szkoły polskiej, do której pierwszego dnia zgłosiło się 62 dzieci.

Z racji bliskiego sąsiedztwa pamiętam dobrze inny, katolicki zaścianek, liczący stu pięćdziesięciu mówiących po polsku szlachciców. Jako ludzie wolni, mieszkańcy jego zostali pominięci przy nadziale gruntów podczas uwłaszczenia włościan. Dziadek mój chciał wyrównać tę krzywdę i, ponieważ ustawy zakazywały darowizn na rzecz katolików, wydzierżawił im na 99 lat część majątku i kształcił część młodzieży w szkołach zawodowych. Stosunki między nim a zaściankiem pozostawały jednak dość luźne. Szlachta zagrodowa stroniła na kresach od zamożniejszych ziemian, jak ci ostatni od magnatów.

Zaścianek był małą wyspą w morzu ukraińskim, zamkniętą w swej szlacheckości, w swych obyczajach, folklorze i języku. W tym ostatnim zachowało się trochę wyrazów starych, które można znaleźć tylko u Lindego; rusycyzmy były rzadkie, wymowa śpiewna, bliska ukraińskiej. Jak we wszystkich wsiach

o dobrze zachowanym folklorze, układano tam śpiewki okolicznościowe, z aluzjami do miejscowych osób i wydarzeń. Pamiętam początek jednej z nich; niech służy tu za próbkę języka:

*W Suprowicza chata duża,
Panna Mania gdyby róża...*

Mimo że lata 1905-1912, do których się moje wspomnienia odnoszą, były w Rosji okresem wielkiego rozwoju ruchu wydawniczego i czytelnictwa, nie widziałem w zaścianku ani jednej książki rosyjskiej. Czytano tam w starych wydaniach książki polskie, niekiedy francuskie. Te ostatnie czytały kobiety, bo honorna szlachcianka, chociażby zagrodowa, brzydziła się językiem rosyjskiego okupanta i z urzędnikami rozmawiała po francusku. Szczegół istotny, rzucający światło także na wybór lektur polskich.

Można przypuszczać, że w zaścianku nie brakło *Pana Tadeusza*. Nie przypominam sobie jednak, abym go kiedyś tam widział, bo skierowałbym zaraz rozmowę na Dobrzyńskich. Czytano Kraszewskiego, Józefa Korzeniowskiego, Orzeszkową, Sienkiewicza. Wychowany wśród literatów, dziwiłem się trochę popularności Korzeniowskiego, znanego dziś tylko polonistom. Dziś rozumiem, że była to sprawa języka.

W początku XX wieku nawet Warszawa robiła wrażenie miasta na pół rosyjskiego. Szkoły były rosyjskie, ulice pełne policji i żandarmerii, szyldy dwujęzyczne. Nic nie wróżyło zmiany stosunków. W tym położeniu język stał się jedyną bronią ludów pod panowaniem trzech cesarzy. Aby się utrzymać, język musiał być giętki, jasny, szkolony, aktualny, mogący zwycięsko współzawodniczyć z językami okupantów. W Europie Środkowo-Wschodniej wiek XIX był okresem szlifowania i usprawniania języków. Na małej wysepce językowej była to sprawa zasadnicza. Szlachcice zagrodowi nie umieliby tego zapewne sformułować, ale w jakiś sposób wyczuwali, że język Mickiewicza jest przestarzały, kresowy, zbyt podobny do ich własnego, i że prozie Kraszewskiego brak szkolonej przejrzystości składni. Korzeniowski wydawał się im po prostu bardziej poprawny.

O ile pamiętam, *Nad Niemnem* ceniono na równi z *Trylogią*. Błyskotliwy talent Sienkiewicza nie zaćmił tam spokojniejszej prozy pani Elizy. Miało to dwie przyczyny. Niejeden z zaściankowych szlachciców wyszedł był do lasu w styczniu 1863. Starsi pamiętali te wypadki i wyciągali z nich wnioski. Dlatego „robienie szablą” nie budziło w nich tego samego entuzjazmu co u czytelników miejskich, nie zdających sobie dobrze sprawy z realiów takiego przedsięwzięcia. Społeczne aspekty *Trylogii* budziły również sceptycyzm. Jak już wspominałem, szlachta zagrodowa trzymała

się z dala od ziemian i magnatów, miała z nimi swoje porachunki, i widok szlachciców trzymających się klamki księcia Wiśniowieckiego nie trafiał jej do przekonania.

Szlachta zagrodowa nie miała pieniędzy na książki, i wydawcy nie liczyli się z jej gustami. Na kilkanaście tomików, które oglądałem w znajomym zaścianku, złożyło się kilka pokoleń. Tomiki te były jednak ukrytym skarbem, nieocenionym narzędziem w walce o odrębność i skromną egzystencję tej wyspy. Zresztą sąd zaścianków nie był zapewne odosobniony i pokrywał się częściowo z opinią innych grup czytelników.

Rola zaścianków była bardzo skromna, ale historia ich jest wymownym świadectwem przemian, jakim od czasów Trembeckiego ulegli w Polsce czytelnicy i ich stosunek do literatury. Historia ta posiada także epilog, którego nie chciałabym pominąć. Stosunek utylitarny do literatury, chęć podporządkowania lektur potrzebom praktycznego działania, obrony i bezpieczeństwa nie pozostaje bez dalekich, często nieprzewidzianych skutków. Przy sprzyjających warunkach utylitaryzm, wyszkolony na sprawach literackich, przenosi się mianowicie na inne dziedziny życia. Po raz pierwszy przyszło mi to na myśl, gdy przed laty przeglądałem sowiecki spis ludności z 1924, szukając w nim wiadomości o zmianach demograficznych, jakim znane mi gminy uległy w latach rewolucji i wojny cywilnej na Ukrainie. W wspomnianym wyżej zaścianku spis nie wykazywał ubytku ludności. Nowością natomiast była liczba komunistów, wynosząca równo połowę mieszkańców. W sąsiedniej wsi ukraińskiej ludność cofnęła się z 1200 na 1000 mieszkańców, wśród których spis stwierdzał obecność dwóch komunistów. Ludność tej wsi wzięła udział w ruchu niepodległościowym ukraińskim i była dwukrotnie dziesiątkowana przez karne oddziały sowieckie. Z mieszkańców zaścianka — o ile wiem — jeden tylko młody szlachcic przystał do ukraińskich powstańców i zginął z bronią w ręku. Rówieśnicy jego natomiast w krótkim czasie objęli część najważniejszych posad w administracji rejonu.

Paweł HOSTOWIEC

Gaude Mater Polonia

GAWĘDA*)

Z Tarnowa do Krakowa jechało się pociągiem strasznie długo: całe dwie godziny. Pośpiesznym tylko godzinę z minutami, ale któż by tam jeździł pośpiesznym? Trzecia klasa „osobista” kosztowała 2 złote 40, pośpiech aż cztery 20. Różnica nie w kij dmuchał! Co prawda, przyjemność pośpiesznym była większa, ale osobowy otwierał niewyczerpane widoki przygód. Musiał wszak przebrnąć przez tyle ślicznych miejscowości i miasteczek: stawał w nowozbudowanych Mościcach, w Biadolinach, Bogumiłowicach (skąd końmi do Wierzchosławic), w Słotwinie-Brzesku (skąd do Okocimia) i w kazimierzowskiej Bochni, szedł w puszcę niepołomską, mijał Grodkowice, wynurzał się z puszczy w Sterkowcu i stąd gnał przez bezkresną równinę ze stadami gęsi, przez Kłaj, wypiańskie Węgrzce Wielkie i Podłęże (ku Wieliczce), by przystanąć okrutnie długo w zakopconym Płaszowie (czyli Podgórzu), po to zapewne, by dotrzeć na dworzec główny, jak rodzeni krakowiacy mówili, solidnie „spóźnięty”. A po drodze na dworcach trzymając się ciasno pod ręce defilują tam i sam brzany rosochate, do przedziałów z piskiem się tłoczą uczenniczki dojeżdżające do szkół w Tarnowie, Brzesku, Bochni i Krakowie, a to z kolan ma-

*) Gawęda ta powstała z pamięci. Już po jej napisaniu autor otrzymał kilka wydawnictw jubileuszowych U.J. z Krakowa i dzięki nim mógł dorzucić jeszcze garść historycznych faktów i obudzonych wspomnień. Te wydawnictwa to: „Materiały Informacyjne Komitetu Jubileuszowego 600-lecia” nr 1, 2, i 3 (prace K. Wyki, K. Lepszego i K. Estreichera); A. Bochnaka „Les insignes de l'Université Jagellonne”; L. Tochowicza „Zarys historii krakowskiej Szkoły Medycznej”, „Patrząc ku młodości” — wspomnienia wychowanków U.J. (red. i wstęp K. Wyki); L. Ehrlicha „Rektor Paweł Włodkowie”; M. Chamcówna „Jan Śniadecki”.

żeńskich zrywa się spłoszona, ale rezolutna damulka zadając z miejsca pytania ledwie co do przedziału przybyłym pasażerom: — Pani do Krakowa? Pan do Krakowa? Wszyscy do Krakowa! Do Krakowa, do Krakowa, do Krakowa!

Zaś Żydzi, koszerni i postępowi, z drobiem w kojcach i betami, aby sobie zjednać ludzką życzliwość, milczą, a gdy trzeba, honorują towarzyszy podróży: pan żołnierz, pan posterunkowy, pan gospodarz, pan student. Pociąg roi się nie tyle od kolejarzy co od ich rodzin, opatrzonych w „regie”, czyli legitymację upoważniającą do zniżki ceny biletu o dwie trzecie, więc żywo podtrzymujących ruch pasażerski na Polskich Kolejach Państwowych. Robotnicy z młotkami, czązkami, szpilorami, kluczami francuskimi, bębniami drutów i karbidówkami. Dobędzie ten i ów — bywało — flaszę ocechowaną trupią główką z fioletową zawartością „spirytyusu skażonego” — i wychyli, a poda sąsiadowi starannie przedtem otarłszy szyjkę. I zaraz w stronę Żydów pejsatych: „To ci krakowiaki!”.

Jeździło się nieraz za szkolnych czasów do Krakowa, z wyieczkami na Wawel albo do teatru, to znów na zniżki świąteczne w pojedynkę, ale teraz z pękatym koszem nad głową to było już całkiem co innego. Pierwszy krok w nowe życie.

Konduktorzy długo wołali: „Kraków! Kraków!”, chociaż już od Płaszowa kto żyw cisnął się w korytarzach, by być blisko okien i na czas zawołać: „Pakier!”. No, ale studentowi za żadne skarby świata nie wypadało posługiwać się numerowymi. Koszyk na lewe ramię i skrzyp-skrzyp na Krowoderską. Bo i fiakra wołać nie przystało. Mógłby jeszcze odpowiedzieć: „Wal, smarku, piechty!”. Zresztą stan studencki zobowiązywał: akademik winien być biedny i nie rozbijać się powozami. Więc na Krowoderską z koszykiem dygował przez Basztową, plac Matejki, św. Filipa, Kleparz, Długą i plac Słowiański. Pół godzinki, spacerku, furda! Skrzyp-skrzyp, ugiął się obojczyk, ale co krok to bliżej celu.

Na parterze pod numerem 43 Krowoderskiej mieszkanko dziwnie ciemne pani Sokołowskiej. Na wizytówce przyszpilonej do drzwi zardzewiałymi pluskiewkami i nie okurzanej od wielu pokoleń akademickich nazwisko i tytuł: „wdowa po inżynierze górniku”. Ktoś fioletowym ołówkiem „w” zmienił na „g”. Tym sposobem zrobiła się „gdowa”.

Studia akademickie należało zacząć od dwu nieuniknionych czynności: wynajęcia stancji i kupna czapki odpowiedniego wydziału. Przedmiot można było wybrać później, wydział należało obmyśleć z góry, żeby móc zacząć od czapki. Zresztą co do przyjęcia na medycynę, farmację i rolnictwo klamki już pozapadały wcześniej. Więc kandydaci na lekarzy walili jak w dym na Grzegórzki w czerwonych czapeczkach, pigularze na Olszewskiego w

bordowych, rolnicy na aleje w szarzielonych z kłosem przypiętym do otoka. Klerycy poprzestawali na sutannach, ale że teologię w Krakowie studiowali alumni z trzech aż seminariów: krakowskiego, częstochowskiego i śląskiego, mieli tam między sobą jakieś kolorowe szarfy, guziczki i tasiemki. Prawo nosiło czapki czarne, filozofia granatowe. A wszystko pluszowe. Czasem się wplątał w krakowskie kolory jakiś cudak z białą-czerwoną rogatywką warszawską, i od razu budził niechęć. Bo tak: studenci warszawscy nosili na głowie sukienne krakuski, zaś krakowscy, na odmiannę, aksamitne maciejówki. Aby było inaczej niż w powzednim zwyczaju dzielnic.

Dopiero w czapce wypadało iść do zapisu, mając już zapewnioną stancję.



Rzeczpospolita Krakowska istniała wcale długo, bo 30 lat i było jej tak dobrze z tym tytułem i rolą stolicy dla siebie samej, że się to na zawsze odbiło na jej charakterze. To miasto nie przypomina żadnego innego na świecie. Stolica państwa, a raczej imperium federacyjnego przez osiem wieków, szkatułka z precjozami, od kopców i Smoczej Jamy aż po wiek XX, nawarstwionymi na sobie i obok siebie jak w Rzymie, najbardziej ceniła sobie jednak sławę stolicy polskiej nauki. Przed kazimierzowskim Studium Generale z roku 1364 istniała wyższa katedralna szkoła krakowska, po śmierci Jadwigi Akademia, potem Szkoła Główna Koronna. Traktatem wiedeńskim zawarowano Krakowowi tytuł i rolę stolicy naukowej dla wszystkich zaborów, i odtąd Uniwersytet Jagielloński, używając tego tytułu od roku 1817 miał udzielać wiedzy całemu krajowi. Nie zamykała zatem Akademia od sześciu wieków swoich dębowych bram i nie spuszczała żelaznych krat niemal nigdy, bez względu na to, jakie burze szły krajem i jaki najeźdźca przytracał go do swoich rydwanów. Zresztą Akademia krakowska pozostała przez całe swe dzieje wolną, polską. Nie złożyła nikomu hołdów, nawet Karolowi Gustawowi, gdy już opanował całe miasto. Nie zniemczyła się wcale, gdy jej próbowano narzucić po rewolucji krakowskiej germańskie pęta, 6 listopada 1939 wszyscy profesorowie uczelni, docenci, asystenci i pracownicy naukowci poszli za druty obozów śmierci, by świadczyć, że nie umieją być niewolni. „Ne cedat Academia!”.

Przed godnością, dostojnością i polskością Krakowa i jego wszechnicy cofali się najeźdźcy i traktowali miasto i uczelnię jako ostatni skrawek Polski. Ten statut wolności Krakowa opierał się o dwa fundamenty: wzgórze wawelskie i kwartał ulic przecięty Jagiellońską, św. Anny i Gołębią. Żył Kraków Wawelem i uni-

wersytetem. Ponad to nie było nic tutaj większego. Wcale nie pogrzeby, ale wszystko, cokolwiek się działo na Wawelu, ożywiało Kraków: nabożeństwa, procesje, manifestacje, wystawy, przedstawienia, wizyty, nawet dzwon Zygmunta oznaczał wielkie święta w kalendarzu krakowskim. Grobowce czcili Kraków owszem, ale jako pomniki potęgi i chwały.

Tak samo uniwersytetem swoim żył cały Kraków: każde dziecko, przekupki na Rynku, robotnicy, piaskarze na Wiśle, ludwisarze i murarze zwierzynieccy, andry z Czarnej Wsi i Piasku, Żydzi na Stradomiu. Wszyscy znali nazwiska profesorów, wiedzieli o najważniejszych wydarzeniach akademickich. Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego uchodził w Krakowie za najwyższy autorytet ziemski. Tylko z grymasu wielkopańskiego — jak mniemano — nie obejmuje władzy nad krajem. Kiedy w czasie jakichś niepokojów studenckich wojewoda usiłował telefonicznie przekazać rektorowi swoje zarządzenia, zde gustowany Rector Magnificus przerwał tę mowę: „Z tymi sprawami proszę do janitora!”.

Kraków liczył niezmierną ilość ludzi, którzy by życia w tym mieście nie zamienili na żadne inne, na żadną także godność. Nie było w Polsce wyższego honoru ponad katedrę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Doroczny zjazd Polskiej Akademii Umiejętności był obchodem równym świętu narodowemu i w rzeczy samej zwano go świętem nauki. Kraków stroił się na ten dzień we flagi biało-czerwone.

Otóż Rzeczpospolita krakowska była przede wszystkim uniwersytecka, w dwudziestolecie niepodległości tak samo jak do wiosny ludów, kiedy to senat Wolnego Miasta Krakowa obradował w Collegium Nowodworskiego. Miasto żyło uniwersytetem, dla uniwersytetu i z uniwersytetu. Dla uczelni pracowały gromady woźnych, sprzątaczy, laborantów. Dla uczelni pracowały drukarnie, piapiernie i introligatornie, ogrody, stacje doświadczałne, szpitale. Dla studentów wydawały posiłki niezliczone garkuchnie. Z utrzymywania stancji dla młodzieży akademickiej żyły zastępy obywateli krakowskich.



Stancje były rozmaite: na rynku i w uliczkach przyrynkowych, w przepaścistych kamienicach średniowiecznych najbardziej starożytne, pamiętające czasy Twardowskiego. Tymi mrocznymi komnatami rządziły przeważnie hrabiny i wysadzone z siodła ziemianki, przyjmujące tylko rezydentów z lepszej sfery lub zamożnych. Izdebki mieszkalne, powstałe z przepierzeń, biegły wokół jednej dużej sali, przeznaczonej na naukę, gdyż tylko w niej świeciło się przez cały dzień światło elektryczne, a gdzie zwykle w opa-

rach dymu dawali upust swym namiętnościom, nie jedząc nie pijąc, młodociani karciarze.

Panienki ze średnich domów, inteligenckich i mieszczańskich, kupiły się nieco dalej od rynku, na Straszewskiego, Dunajewskiego, na Podwału, Podzamczu, Wolskiej, Retoryka i ku Błoniom, w schludnych izdebkach, gdzie do godziny 9 wieczór wolno było przyjmować kolegów na herbatki i ciasto z paczek otrzymanych z domu, ewentualnie na wspólną naukę.

Młodzież męska rozporządzała znacznie rozleglejszymi możliwościami, a zwłaszcza przestrzenią. Za naszych czasów już wprawdzie wilki nie chodziły po ulicach Krakowa, ale wracając panience o zmierzchu na Dębniki, Zwierzyniec, Czarną Wieś lub Krowodrzę nie było całkiem przyjemnie. Tam więc gnieździli się ubożsi studenci. Czasem po sześciu i siedmiu w izbie, przy jednym szkiełku na lampie naftowej, ozdobionym napisem dydaktycznym w stylu: „Ucz się pilnie jak Mickiewicz w Wilnie” albo „Wyrażaj się przyzwoicie”.

Stancje służyły po to, aby je często zmieniać. Ryzykanci potrafili przemieszczać nawet i dwa tygodnie nie zapłaciwszy czynszu, po czym, zwykle nocą, spuszczać się po rynnie z dobytkiem, aby znaleźć inne locum. Ale to były wyjątki. Zwykły student płacił mało i wymagał niedużo. Temperaturę na stancjach utrzymywało najpewniej zagęszczenie pogłowia. Poza łóżkiem, korzystało się ze wspólnego stołu, lampy elektrycznej lub naftowej, wspólnej miednicy i dzbanka z zimną wodą, czasem piecyka żelazniaka. Imbryk i prymus albo maszynkę spirytusową trzeba było mieć własne. Nie zbywało tylko na stancjach pcheł, pluskiew i dwu odmian karaluchów: małych czerwonych, zwanych prusakami, i dużych czarnych, zwanych szwedami.

O domach akademickich będzie mowa dalej, tu tylko wypada zaznaczyć, że każdy z nich odznaczał się szczególnym zapachem: mieszkańcy sodalicyjnego rozsiewali woń starzyzny, I Domu przy Jabłonowskich odór karbolu, a II Domu na Oleandrach zaprawy murarskiej. Katolicki Dom Akademicki miał specyfikę kapusty. Odpowiednie wonie konserwowały też małe stancje. Doświadczeni studenci w mig poznawali po zapachu, gdzie kolega ostatnio zamieszkuje: czy u pani Sokołowskiej na Krowoderskiej, czy u sióstr Hempel na Piotra Kochanowskiego (gdzie gospodynie grzały nogi przy świnkach morskich), czy na Czarnowiejskiej, gdzie od pobliskiej fabryki tytoniu mieszkańcy przesiąkali aromatem nikotyny, a sublokatorzy panny Gołas dodatkowo wonieli pieluszkami (bo pannie przytrafiło się śliczne bobo płci męskiej), czy na Zduńskiej pod 14, gdzie gaz uchodził z nieszczelnej rury, czy u pani Miszewskiej na alei Słowackiego, gdzie się chował niezmiernie towarzyski piesek Wiernuś, który skakał w górę na

powitanie każdego gościa, ale rzucał się z zębami na każdego, kto by próbował mieszkanie opuścić.

Oczywiście, stacja z wiktem i opierunkiem dostępna była tylko pieszczoszkom i maminsynkom. Matki wyprawiały synów na naukę z zapasem żywności, do którego sakramentalnie wchodził ogromny bochen razowego chleba, wian suchej kielbasy, połów wędzonki i garnuszek smalcu ze skwarkami. Roniąc łzy na pożegnanie pociech matki rzucały im na drogę ostatnie zlecenie: „Pisz często i przysyłaj brudy!”.

Za naszych czasów rodzice już się dowiedzieli co to „plusquamperfectum”, więc na ten sprawunek trudno ich było nabierać. Niemniej synkowie a i córeczki innymi sposoby wyłudzały od rodziców drobne kwoty. W latach trzydziestych upamiętniła się taka historia: opłat, jak wiadomo, za naukę w niepodległej Polsce nie było, ale było chesne. Głupstwo: najpierw, zdaje się, kilkadziesiąt, potem bodaj 120 złotych rocznie. Kto, biedak, nie miał, musiał jakoś zabiegać albo po prostu porzucić studia. Kwestor z czarną bródką, dr Czesław Matus, ojcowsko usposobiony wobec młodzieży, pisał zrazu upomnienie do rodziców. No i wystosował taki pasztet do rodziców jakiegoś drągala. Matka, zdziwiona wielce, zapytuje syna, dlaczego nie zapłacił chesnego, na które przecie wziął pieniądze. A on do matki: „Mamo, popatrz, w indeksie mam przecież pokwitowanie. Pomylił się stary Matus”. A kwestura po miesiącu z nowym upomnieniem. Tego już było dość drągalowi. Wpada do kwestury z gębą i tak prawi: „Coś pan narobił dobrego, panie Matus? Ja starą w bajer, bo mi forsa była pilnie potrzebna, no i musiałem pana w indeksie podpisać. A pan zaraz grandę! Coś pan narobił, panie Matus?”. Kwestor rzeczywiście oniemiał. I odtąd, kto miał jakieś trudności z chesnem, zaraz go pytano: „Coś pan narobił, panie Matus?”. A dodać trzeba, że był to prawdziwy Anioł Stróż dla biedoty studenckiej, zwłaszcza potrzebującej leczenia.



Zatem kandydat na studia, złożywszy koszyczek z dobytkiem i zmianą bielizny na stacji, walił na Grodzką po czapkę wydziałową i jak wicher pędził do Collegium Novum dokonać uroczystej imatrykulacji.

Okrażał najpierw wszechnicę, udawał, że on tu bywały, wchodził w progi Collegium i wychodził, jak lis zwodził. Podpatrywał innych, od czego by tu zacząć. Nareszcie, nie wybadawszy wiele, walił do janitora. Janitorami bywali dostojni, rośli barczyści i nie pierwszej młodości panowie o aparycji wysokich dygni-

tarzy. Dwu na trzech nowicjuszy brało janitora za figurę prawie tej miary co rektor. Ów zaś cedził z wysoka:

— Kandydat w jakiej sprawie?

— Zapisać się.

— Na jaki wydział?

— Filozoficzny.

— Fiu, fiu! A na jaki to przedmiot?

— Na polonistykę.

— Hu, hu! A czy kandydat wie, kto jest profesor Nitsch?

— Nie.

— To się kandydat dowie. Nie było wypadku, żeby kto zdał egzamin za pierwszym razem.

— Ale ja jeszcze nie wpisany.

— Wolnego! A czy kandydat zna łacinę?

— Tak.

— No myślę. Bez łaciny trzeba do rzemiosła. Uniwersytet, panie kandydacie, to przede wszystkim łacina. Większość egzaminów po łacinie, indeks po łacinie, inauguracja po łacinie, przysięga doktorska po łacinie, część wykładów po łacinie. I mój urząd łaciński. Kandydat zrozumiał?

— Tak z grubsza.

— Niech więc teraz kandydat zdejmie czapkę z głowy i na paluszkach na pierwsze piętro zajdzie do dziekanatu wydziału filozoficznego i tam czeka cierpliwie na swoją kolejkę, aż pedel da znak.

Tłok pod dziekanatem panował nielada. W kolejce stali kandydaci, a dla towarzystwa i ci, co już wpis mieli za sobą. Gawędy toczyły się u drzwi dziekańskich godzinami. Tłum składał się z zacukanych, przeważnie z prowincji przybyłych, kandydatów i z chojraków, głównie z miasta Krakowa, oblatanych, wszystko-wiedzących i siejących postrach.

— Kolego, dajcie sobie spokój z polonistyką! Łacinę i grekę trzeba śpiewać jak kanarek, na pierwszym roku starocerkiwny, na drugim niemiecki, potem kupa gramatyki, historia literatury polskiej i europejskiej, filozofia i ten tego. Zresztą najgorsze pierwsze siedem lat. Potem idzie jak z płatka.

— A jaki słowiański bierzecie za poboczny? Trzy wschodnie, pięć zachodnich, czy cztery południowe? Bo niby jak już bułgarski, to za jednym zamachem najlepiej i serbochorwacki, słoweński, no i macedoński.

— W katalogu Jagiellonki kolega, naturalnie, się wyznaje, bo bez tego szkoda nawet zaczynać. A w bibliografii Estreichera? A w palatogramach? A w tablicach Albińskiego, a w atlasie Bochenka?

— Dziekan was może po prostu nie przyjąć — drwili już w żywe oczy. — Tak na optykę: nie spodobacie się.

— Ale, ale, czyście dali janitorowi co w łapę? Mógłby się wstawić.

Brała pokusa, by uciec, gdzie pieprz rośnie, wycofać się, póki czas.

Imponowali, onieśmielali, tumanili, straszili. Nogi drżały kandydatom. Minął czas średniowiecznych „otrzęsin”, kiedy otrocka czy beanusa z prowincji poddawano wymyślnym próbom wody, języka i kułaków, ale zwyczaj ten znalazł sobie przytułek u drzwi dziekańskich w dniu imatrykulacji. „Otrzęsiny” pokazywano już tylko na dziedzińcu Collegium Maius. Z widowiska tego przez długie lata czerpał środki do życia Adam Polewka, a aktorami byli ci sami niemal żelaźni studenci, obdarzeni przez naturę zaiste stwoszowską urodą: Mączka o powierzchowności żołdaka rzymskiego powalonego Zmartwychwstaniem Pańskim lub Niedbałowski, istny gnom z Breughelowego „Schlaraffenlandu”. Pierwszy grał rolę prześladowcy, drugi kołtuna-beanusa.

Tymczasem ogonek do dziekanatu posuwał się sprawnie. Już pedel brał do rąk papiery i instruował co trzeba. Za biurkiem siedział przysłonięty stosem indeksów dziekan wydziału filozoficznego, profesor Władysław Szafer, imponującej postury i jowiszowej prezencji. Krzaczaste brwi słowiańskie zdradzały lekkie zniecierpliwienie przedłużającym się seansem biurokratycznym. Brał do rąk papierki i błyskawicznie znaczył na nich jakieś tam literki.

Kandydat z przejęciem oczekiwał chwili uroczystego ślubowania akademickiego.

— Ślubuje pan? — zapytywał nagle dziekan.

— Ślubuję.

Dziekan unosił nad stołkiem jedną połowę potężnego korpusu i miękko podawał dwa palce.

I po paradzie. Indeks szedł do podpisu rektorskiego, a do rąk otrzymywał go student dopiero po wpłaceniu pierwszej raty czesnego, od kwestora.

Książeczka ta towarzyszyć miała studentowi przez całe studia. Wpisywało się do niej przepisane wymaganiami wydziału i przedmiotu quorum i quantum wykładów — na filozofii 20 godzin tygodniowo, wraz z seminariami — przy czym każdy profesor czy wykładowca obok tytułu wykładu stawiał swój „nomen” lub „test” o odbytym przez studenta seminarium. Wpisywało się też do indeksu niektóre zdane colloquia, wpłaty czesnego i inne szczegóły. Indeks miał ogromną cenę jako dokument i otwierał nawet drogę do kredytu i dobroczynności obywateli. Pierwszą stronę książeczki zdobiły podpisy rektora i dziekana wydziału z

roku, w którym indeks wystawiono, a nad nimi piękną antykwą wypisana formuła:

NOS
RECTOR ET DECANUS
UNIVERSITATIS JAGELLONICAE

hac tabula profitemur testatumque esse volumus
Dominum
oriundum
in alium Civium Universitatis
rite relatum esse.

Zbieranie nominów nastęczało niejake trudności. Wypadało bowiem chociaż raz w ciągu trymestru (nomen miał ważność na trymestr) wybrać się na wykład osobiście, zwłaszcza że niektórzy prefesorowie miewali zwyczaj zagadywania studentów, a niektórzy nawet, zresztą bardzo nieliczni, mieli tak dobrą pamięć i ambicję, że jednorazowa obecność słuchacza im nie wystarczała, więc — bywało — odkładali indeks nie podpisany. Tylko bardzo zuchwali studenci, szanujący przesadnie swój czas, umieli zdobyć nomen ani razu w ciągu roku nie zjawiwszy się na sali wykładowej. Niektóre też podpisy wręcz prosiły się o podrobienie. Profesor Nitsch na ten przykład zamiast podpisu stawiał coś w rodzaju trójkąta bez jednego boku, zaś Chrzanowski obok litery C rysował kilka zakrętasów.



Tak więc kandydat po ślubowaniu wobec dziekana stał się pełnoprawnym studentem. Miał za sobą stancję, czapkę wydziałową i imatrykulację. Nie oznaczało to bynajmniej kresu strachów i niepewności. Nowe życie wymagało całkiem nowych umiejętności.

Po pierwsze nikt studenta do nauki nie pędził, żadne rygory nie obowiązywały, każdy egzamin czy colloquium można było powtórzyć po raz drugi i trzeci. Wolność akademicka w toku studiów była pełna. Jak we wszystkim, tak i w tym istniała, owszem, pewna granica, lecz dyktował ją tylko własny rozsądek. Toteż uniwersytet był głęboką wodą dla uczących się pływać. Kto szedł na dno, działo się to zwykle z własnej jego winy. Tylko na wydziałach o ściśle ograniczonej ilości miejsc i kosztownych dla państwa, więc na medycynie, farmacji, rolnictwie, ogrodnictwie itd., obowiązywały terminy i pomyślne wyniki egzaminów.

Spotykało się wśród słuchaczy „żelaznych studentów”, ale

prawdę rzekłszy nikt dłużej nie popasał na uniwersytecie jak sześć, najwyżej siedem lat, i to zwykle z powodu przerzucania się z wydziału na wydział. Starsze rarogi to były zazwyczaj cudzoziemskie ptaki, zaokrąglający swoje specjalności. Kiedy jakiś 25-letni student Podhalanin w rubryce podania o stypendium brzmiącej: „inne dane mogące służyć do poparcia” wpisał: „sierota bez ojca i matki”, chodziła o tym żartobliwa dykteryjka po wydziałach, że niby staruszek żarty sobie z władz stroi. A już najczęściej śmiechu wywoływał „tata Święch”, wiekowy polonista nauczyciel, który pragnął zdać magisterium. Ogłoszono oto, że zniżki kolejowe na wakacje i święta otrzymywać będą tylko studenci do lat 30. Tata przekroczył trzydziestkę i trząsł się z oburzenia na niesprawiedliwość. Zwołał nawet pismem, przyszpilonym do tablicy ogłoszeń, zebranie trzydziestolatków w tej sprawie. Na zebranie przybyła spora gromada ciekawskich, jak też wyglądają 30-letnie mamuty. Ale jako jedyny zainteresowany sprawą stawiał się na wiecu tylko tata Święch.

Illo tempore, 30 lat to już była starość. Kto normalnie kończył studia, miał lat 22 lub 23, lekarze 24. Czwierć wieku uchodziło za ostateczny kres młodości.



Jesienią, w pierwszej dekadzie października, wychodził z Collegium Novum pochód rektora, dziekanów i profesorów, ozdobionych w togi, birety, gronostaje i insygnia władzy, łańcuchy i pierścienie, w otoczeniu pedli niosących nad głowami dostojników berła rektorskie i dziekańskie, ku kościołowi akademickiemu św. Anny, do grobu św. Jana Kantego. Uniwersytet Jagielloński posiada nadal po dziś dzień trzy berła sięgające pierwszego i drugiego stulecia jego istnienia, a więc najstarsze na świecie. Są to laski ze srebra, częściowo pozłacane, ponad metrowej długości, ozdobione dolną gałką, trzonem i szczytowym zwieńczeniem w kształcie korony. Berło rektorskie pochodzi z roku 1400 i jest darem królowej Jadwigi. Przedstawia ono zagadkę dla heraldyków i historyków, gdyż jego pole szczytowe zdobi herb Wielkopolski, a ponadto na trzonie figuruje dziewięć tarcz w trzech grupach: herb Małopolski i zarazem Państwa, Pogoń, herb Andegawenów oraz kilku dygnitarzy i dobrodziejów odnowionej akademii. Uczeni przypuszczają, iż berło to jest tylko jednym z czterech, jakie otrzymały od królowej wszystkie wydziały, i na których zapewne wryto na szczytowych polach herby trzech innych dzielnic królestwa, zaś na trzonach herby innych dobrodziejów wymienionych w dokumencie odnowienia uczelni.

Trzy inne berła uniwersyteckie pochodzą z darów kardynała

Zbigniewa Oleśnickiego, zarazem kanclerza uniwersytetu, kardynała Fryderyka Jagiellończyka oraz kardynała Bernarda Maciejowskiego. Nie to ważne, że są to wszystko arcydzieła złotnictwa krakowskiego, lecz ważne pierwotne tych berel przeznaczenie. Oto kiedyś noszono je przed kardynałami jako oznakę ich wysokiej godności. Rektorskim stało się pierwsze berło kardynalskie, a po nim dwa inne, dopiero z woli Oleśnickiego, wyrażonej w testamencie. Tradycja noszenia przed kardynałami „mazza d'argento”, lasek czy też berel srebrnych, sięga wieku XV i zachowała się w zwyczaju po wiek XIX. Tak więc Uniwersytet Jagielloński w głównych swych insygniach zachował pamięć o pierwotnym związku uczelni z Kościołem.

Wszystkie berła wydziałowe (dziekańskie) są pochodzenia późniejszego, w stylu już zwulgaryzowane, gdyż zamiast zwieńczeń szczytowych posiadają po prostu figuryнки zasłużonych profesorów. Warto chyba tylko wzmiankować, że berło dziekańskie wydziału filozoficznego pochodzi z daru miasta Wilna z roku 1900.

Po powrocie pochodu rektorskiego z kościoła św. Anny do Collegium Novum, w auli zaczynała się uroczysta inauguracja roku akademickiego. Wczoraj, jak i dzisiaj, wysoko sklepioną salę o drewnianym stropie, rzeźbionym w malowane kwiaty, upiększają obrazy Matejki związane z dziejami wszechnicy i trzy jego ręki portrety rektorów: Szujskiego, Dietla i Tarnowskiego. Lecz dumą tej galerii jest Kopernik w zachwyceniu wiekopomnego odkrycia.

Inauguracja zaczynała się wykładem naukowym, po czym szła mowa sprawozdawcza ustępującego rektora, zwanego prorektorem, wreszcie przekazanie przezeń władzy nowemu rektorowi.

— Accipe sceptrum regiminis — mówił prorektor wręczając następcy berło królowej Jadwigi.

— Accipe catenam dignitatis — wkładał łańcuch Anny Jagiellonki z orłem w koronie na barki rektorskie.

— Accipe annulum sponsialem — mówił zdejmując z palca złoty sygnet ze złożonymi na krzyż berłami rektorskimi, a więc pieczęć uniwersytetu.

Teraz mowę wygłaszał nowy rektor, kończąc ją słowami: „Quod felix faustum fortunatumque sit”. Na koniec unosząc głowę mocnym głosem wołał: „W imię Boga Wszechmogącego otwieram rok akademicki od założenia uniwersytetu 567”. Ten rok w historii Uniwersytetu Jagiellońskiego pokrywał się z rokiem kalendarza 1931. Prawie więc jedna trzecia czasu od przyjścia na świat Chrystusa.

Po wezwaniu Imienia Bożego przez rektora zrywała się pieśń chóru:

*Gaude Mater Polonia
Prole foecunda nobili
Summi Regis Summi Regis magnalia
Laude frequenta vigili.
Amen.*

Tymi samymi słowy otwierano, wedle podania, pierwszy rok akademicki Studium Generale, 37 Akademii i 567 Uniwersytetu Jagiellońskiego.



Czas do życia powszedniego. W auli bywał przeciętny student rzadko, czasem nawet nie zajażdżał do niej przez całe studia, chyba że kogoś ze znajomych promowano na doktora, która to uroczystość łączona była także z odpowiednią inwestyturą. Sala służyła wielkim uroczystościom, zjazdom, odczytom sław krajowych i zagranicznych, promocjom doktorskim. Gdy uniwersytet pragnął kogoś szczególnie uhonorować, otwierał mu aulę. Tak np. b. prezydent państwa Stanisław Wojciechowski mówił o swojej spółdzielczości w auli. Pilnie jednakże senat przestrzegał, aby dostojeństwa auli nie rozstrajała ani polityka ani nawet żadna inna Muza prócz wiedzy.

Uniwersytet, choć stare collegia stały obok siebie w kwartale okolonym Plantami i zamkniętym ulicą św. Anny, a przeciętym krzyżem ulic Jagiellońskiej i Gołębiej, rozrzucony był po całym mieście.

Filozofia jeszcze, jak tam filozofia: wszystko miała pod ręką. Z Collegium Novum można było przeskoczyć na Gołębią czy do Collegium Physicum albo na Wolską czy Straszewskiego, gdzie się mieściły różne psychologię, socjologię i pedagogikę. Podobnie prawo i teologia. Ale rolnicy, a zwłaszcza medycy, musieli gnać z Collegium Chemicum do siebie przez cały Kraków, żeby zdążyć na następną godzinę wykładów.

A trzeba wiedzieć, że profesorzy niczego bardziej nie znosili jak spóźniania się słuchaczy. Profesor Heinrich, psycholog, gdy się kto spóźniony wśliznął do wielkiego teatru fizycznego, gdzie wykładał, milknął i tak długo trwał w upartym milczeniu, aż student nałykawszy się wstydu chyłkiem opuszczał miejsce. Profesor Chrzanowski witał spóźnialskich sarkastycznie: „Przepraszamy, żeśmy zaczęli”. Profesor Nitsch mawiał w takich razach: „Albo pan zostanie albo ja”. Raz panna Ogrodzińska rzekła: „Ja zostanę”. Wtedy profesor palnął bez namysłu: „Idiotka!” — i ciągnął wykład. Ale trzeba było znać pannę Ogrodzińską: poszła na skargę do rektora. Wobec tego nazajutrz prof. Nitsch oświadczył: „Jed-

na pani poszła na mnie ze skargą do rektora. Doprawdy trzeba być idiotą, żeby się za słuszne nazwanie obrażać". Spór wyglądał na nierozstrzygnięty, ale panna Ogrodzińska dopięła swego, bo się z wykładu wyprosić nie dała.

Collegium Novum, jak mówi nazwa, neogotyckie, z końca XIX wieku, o strzelistych dachach i wieżyczkowej attyce, z herbami uniwersytetu na frontonie, choć nowe jako dzieło architektury, wewnątrz jest dostatecznie jak na starożytną tradycję uczelni mroczne i niewygodne, aczkolwiek rozłożyste schody i granitowe kolumny potężne wywierają wrażenie. Front zajmują kondygnacjami westybul i aula. Trzema pozostałymi bokami biegną zróżnicowane znacznie co do wielkości lectoria numerowane i nazwane po łacinie imionami sławnych profesorów i wychowanków uczelni. Największe lectorium, urządzone amfiteatralnie, to sala 62: Mikołaja Kopernika. Pod nią, na I piętrze, znacznie już mniejsze lectorium Johannis Długosz. Inne lectoria oznaczono imionami: Pawła Włodkowica, Andrzeja Frycza Modrzewskiego, Jana Ostroroga, Jana i Piotra Kochanowskich, Sebastiana Petrycego, Mikołaja Reja, Piotra Rójzjusza, Józefa Strusia, Marcina Kromera, Jakuba Górskiego, Józefa Szujskiego itd. W stuleciach XV i XVI wszyscy niemal nasi uczeni, pisarze i statysci ukończyli lub co najmniej zawadzili o krakowską akademię.

Sala Kopernika służyła, oczywiście, na najtłumniejsze wykłady, tudzież manifestacje, wiece i zebrania studenckie. Tutaj odbywały się wykłady prof. Chrzanowskiego, najlepszego oratora uczelni w latach akademickich 567-573. Prócz tłumów studentów przybywali na nie licznie starsi wielbicieli, a zwłaszcza wielbicielki profesora w staromodnych kapeluszach. Również niektóre wykłady prawa, szczególnie rzymskiego, Rafała Taubenschlaga, i historii ustroju Polski, Stanisława Kutrzeby, mogły skupić słuchaczy tylko w lectorium Kopernika. W latach trzydziestych ogromna masa studentów rzuciła się na prawo, a wysłuchanie wykładów było tam nie tylko obowiązkowe, ale i konieczne, bo przy braku skryptów większość profesorów żądała dużej precyzji odpowiedzi. Nic dziwnego: prawo nie literatura piękna. Rozumie się, że osobista wykładnia prawa rzymskiego czy staropolskiego przez studentów nie przyniosłaby nic dobrego. Zatem przezorniejsi słuchacze zajmowali miejsca w sali Kopernika już wieczorem w przeddzień wykładu, aby spędziwszy noc w ławach, móc rano wysłuchać wykładów Taubenschlaga. Owe nocne koedukacyjne okupacje po kilku tygodniach zaniepokoiły senat, toteż pedle zaczęli zamykać lectorium na klucz po ostatnim wieczornym wykładzie.

Tedy więc, lectorium Kopernika było od wielkiego dzwonu. W mniejszych salach i salkach tuliły się mniej liczne lub zgłę

elitarne grona amatorów wykładów o mniejszym rozgłosie. Wbrew akademickiej regule „tres faciunt collegium”, zdarzało się, że profesor czy lektor mówił nawet do pojedynczego słuchacza.

Ekonomia nakazywała wykorzystać każdy kąt Collegium. To też korytarze poprzedzielano przepierzeniami, za nimi zaś uruchomiono zbiory naukowe, szafy biblioteczne, nawet niektóre zakłady, dla seminariów, kół naukowych etc.

Na parterze, prócz janitora, miał swoją izbę „bedellus”, spolszczony w codziennym języku na pedla. Główny pedel był jeden, ale w sumie pedli liczyła uczelnia mnóstwo. Do najpopularniejszych w Collegium Novum liczył się maleńki jak mysikrólik Wielgus i chytry, czarny, ze strzelającymi oczkami Cygan. Polonistyka, na Gołębiej, miała niezrównanego Rychlika, rodem z Bronowic, który odgadywał wyniki egzaminów, dostarczał cennych informacji o humorach profesorów i nie ukrywał swoich sądów o ludziach. „Panie — mówił — to językoznawstwo schodzi całkiem na psy, skoro taki Stanko Bunc mógł zdać doktorat”. „A rudzi — twierdził — to wszystko ludzie fałszywi”. „No dobrze — ktoś wysunął zastrzeżenie — to dlaczego pan się przyjaźni z prezesem Koła Polonistów?”. (Był nim wtedy piszący te słowa). Pan Rychlik się zadumał i rzekł: „Bywają wyjątki, ale lepiej się mieć na ostrożności”.

Wróćmy do Collegium Novum. Po lewej stronie od wejścia za szybą janitor. Obok ogromna czarna tablica z nazwiskami studentów, którzy mają do odebrania pocztę adresowaną na uniwersytet. Co rana i południa wypisywał starannie kredą te nazwiska sam janitor. Tablica pokryta setkami nazwisk służyła doskonale celom informacyjnym: pilne jej studiowanie pozwalało odkryć znajomych. Niebagatelne także były wiadomości o paczkach dla koleżanek.

W lewym skrzydle gmachu mieściły się tablice organizacji studenckich. Działo ich na uczelni chyba parę setek. Tamże pod tablicami kół i zrzeszeń, na prapetach okien — prywatna poczta i ogłoszenia, a także kąty randek, spotkań i gruchań. Ogłoszenia prywatne służyły przeważnie celom rozrywkowym: ów szukał „prawniczki do wspólnej nauki”, tamten „kolegi na kajak”, itp.

W prawym skrzydle, później na tyle westybulu — archeologia klasyczna i prehistoria. Na korytarz wyległy tu bezpieczne okazy: zwaliste posągi, baby kamienne, urny wysokości ludzkiej, sarkofagi.

Na półpiętrze rozległy taras — trybuna dla wieców. Na pierwszym piętrze siedziby urzędów: Rector Magnificus ze swoim sekretariatem (dr Ottman i dr Jan Reguła), Senatus, Quaestor, Decanatus Philosophiae, Decanatus Iuris i najbardziej nobliwe

lectoria. Na drugim piętrze, oprócz sali Kopernika i pomniejszych lectioniów, korytarz historyków z masą szaf bibliotecznych.

Najstarsze collegia uniwersyteckie nie służyły już za naszych czasów na wykłady.

Sercem Akademii od XV stulecia pozostawało Collegium Maius, nabyte i wyposażone za klejnoty królowej Jadwigi. Kazimierzowskie Studium Generale mieściło się na Wawelu, potem w pobliżu placu Wolnica. Pierwszy wykład w Collegium Maius odbył się dnia 22 lipca 1400. Była to wówczas stara już kamieniczka na rogu ulic Jagiellońskiej i ówczesnej Żydowskiej (dziś św. Anny). Za fundusze Jana Długosza przyłączono do niej jeszcze dwie inne i rozbudowano jako architektoniczną całość: Spaliły się te staroświeckie gmachy w roku odkrycia Ameryki przez Kolumba. Nawiasem wtrącając, przechowała się dotąd pamiątka tego wydarzenia w zbiorach uniwersyteckich, mianowicie globus zwany jagiellońskim z dorysowaną na nim nową częścią świata, określoną jako „America terra noviter reperta”. Pożar Collegium spadł zaiste z samego nieba. Gdy przystąpiono do gruntownej przebudowy starych kamienic, na wzór uniwersytetów włoskich, w murach znaleziono skarb w dukatach, pieścieniach, kamieniach, łańcuchach, perłach, szacowany wówczas na sumę 100 tysięcy złotych. Dzięki temu skarbowi niewiadomego pochodzenia można było zbudować prawdziwą perłę architektury, aczkolwiek stary zarys murów uszanowano, tak że dzisiejsze Collegium Maius, mimo znacznie poważniejszych przeróbek w XIX stuleciu, pozostało w rysunku takie samo jak za życia królowej Jadwigi, która to miejsce upatrzyła na siedzibę akademii.

Wtedy to stanął okazały dziedziniec, otoczony arkadami, powstała duża aula na pierwszym piętrze, wspólna izba profesorska („stuba communis”), rezydencja prywatna profesorów i kilka sal wykładowych. W kilkadziesiąt lat później dobudowano jeszcze i czwarte skrzydło z dużą salą Obiedzińskiego na bibliotekę, gdzie rzadkie cimelia pergaminowe i druki przymocowano do pulpity łańcuchami. Od lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia aż do drugiej wojny światowej starodawny gmach Collegium Maius, połączony z dawnym Collegium Nowodworskiego, służył na pomieszczenie Biblioteki Jagiellońskiej, zanim tuż przed wojną nie zbudowano przy alei Mickiewicza nowoczesnego budynku na magazyny i lectoria biblioteki.

Główna fasada Collegium Maius rozciąga się wzdłuż ulicy Jagiellońskiej. Surowe, proste, prawie klasztorne mury wieńczą trzy gotyckie szczyty z przełomu wieków XV i XVI. Osobliwie pięknym w tej fasadzie jest wykusz izby wspólnej, nakryty barokowym daszkiem.

Przez bramę od ulicy św. Anny prowadzi główne wejście do

wnętrza budynku. Z obszernej sieni, wspartej na kolumnach, a sklepionej gotycko, wiedzie wejście do małej kapliczki św. Jana Kantego, na prawo jego mieszkanie. Już od końca XV wieku magister teologii, a profesor wszechnicy krakowskiej Jan Wacłęga z Kęt był czczony przez lud jako święty za życie ascetyczne, miłość bliźnich i cnotę miłosierdzia. Uniwersytet obrał sobie swojego profesora za patrona i mieszkanie po nim zachował jako kaplicę, umieszczając tam figurę świętego modlącego się na klęczkach. Szczątki jego przeniesiono do kościoła św. Anny, zbudowanego jako akademicki z końcem XVII stulecia i ozdobionego stiukami Baltazara Fontany. Akademia usilnie zabiegała o kanonizację swojego profesora, do czego ostatecznie doszło w r. 1775.

To od niego, od św. Jana Kantego, bierze rodowód tradycja Uniwersytetu Jagiellońskiego przyjmowania w swoje mury i ugaszczania ubogich. Gdy zmarł Jan Wacłęga, na jego miejscu zawsze sadzano ubogiego przy wspólnym stole profesorskim witając go słowy: „Pauper venit, Christus venit”. Akademia i uniwersytet krakowski dały wiedzę i wybitne stanowiska w państwie wielu uczonym pochodzenia chłopskiego i mieszczańskiego. Ów charakter uniwersytetu tak się rzucał w oczy, że w memoriale z połowy wieku XVI o konieczności przebudowy studiów znajdujemy słowa: „Wszyscy tu są plebejusze i swoich tylko plebejuszów kochają, ściągają do siebie i do swego collegium. Szlachty w nim jest niewiele, którą niechętnie między sobą znoszą, której nienawidzą gorzej od psów”. Jasne, że opinia to przesadna, ale rozumiemy też dlaczego początek każdego roku akademickiego U.J. zaczynał się od grobu św. Jana.

Poprzez sień wchodzi się na słynny wirydarz, czyli podwórzec arkadowy Collegium Maius. Obiegają go ciosowe kolumny, ponad nimi ganki, na środku stoi pomniczek Kopernika dłuta Cypriana Godebskiego i studnia, którą się zachwycił Sebastian Petrycy z Pilzna, profesor akademii, w wierszu:

*Sliczna Akademiei w budownym Krakowie,
Studnio, kto kiedy chwały twe wypowie.
Tyś naprzód od Jagiełła króla założona,
W domu mądrości środkiem położona.*

*Woda twa przeźroczysta jak naczynie szklane,
Godna, by słodkie z nią było mieszane
Wino: już byś kwiatkami dawno obrodziła,
Gdzie by tam gęsta stopa nie tłoczyła.*

*Tyś jest między studniami sławniejsza wszytkimi,
Którerekolwiek są w tey tu polskiej ziemi...*

Dziś, po przeniesieniu zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej na

aleję Mickiewicza, w Collegium Maius pozostała tylko najstarsza część jej zbiorów, owe inkunabuły i kodeksy pergaminowe, przy mocowane łańcuchami do pulpitów, poza tym muzeum uniwersyteckie, istniejące tu od średniowiecza jako tzw. „camera raritatis”, a obejmujące stare monety, szkielet ludzki, jaja strusie, bęben i chorągwie zdobyte przez akademików na wojskach austriackich w r. 1588. Obok tego w dawnej sali, zwanej Alchemia, zebrane są pamiątki po Koperniku i jego nauczycielach Marcinie Bylicy i Wojciechu z Brudzewa i przyrządy, jakimi się posługiwali, więc stare instrumenty fizyczne, chemiczne i astronomiczne, globusy, astrolabium arabskie z r. 1054, portret Kopernika z połowy XVI wieku. Jest tu także biblia pergaminowa Twardowskiego, zwęglona przyłożoną do niej dłonia czartowska. Na portalu auli, zwanej też salą jagiellońską, dewiza uniwersytetu: „Plus ratio quam vis”. Przechowuje się tu dzisiaj wszystkie insygnia uniwersyteckie i pieczęć wielką królewską, która była przyłożona do aktu fundacyjnego Studium Generale 12 maja 1364, wyobrażająca Kazimierza Wielkiego na majestacie i herby ziemi kujawskiej. Akt sam zakopany do ziemi przed Niemcami we wrześniu 1939 zniszczał, ostała się tylko woskowa pieczęć.

Collegium Nowodworskiego przy ulicy św. Anny 12, dawna biblioteka, zwana popularnie „Jagiellonką”, nie była pierwotnie uniwersyteckim collegium, lecz pomieszczeniem dla szkoły średniej pod opieką uniwersytetu, istniejącej od r. 1588, zwanej „classes”. Budynek wzniesiono w pół wieku po założeniu szkoły, sumptem dwu ofiarodawców: Gabriela Władysławskiego i Bartłomieja Nowodworskiego. Na otwarcie szkoły przybył jej wychowanek król Jan Sobieski.

Dziedziniec arkadowy pomyślany był jako theatrum szkolne i charakter ten zachował dotąd. W latach trzydziestych (pięćset siedemdziesiątych uniwersytetu) wystawiono tu sztukę L.H. Morstina „Kłós Panny”. Leopold Kielanowski na krążganku Jagiellonki wcielił się wielką sztuką aktorską w Kopernika z obrazu Matejki. Dodać należy, że Mikołaj Toruńczyk był nie tylko przez cztery lata studentem na Akademii krakowskiej, ale w czasie pisania dzieła „De revolutionibus” podtrzymywał szczególnie żywą łączność z „matką i żywicielką” przez wymianę listów.

Duże lectoria Collegium Nowodworskiego, dialektyki i retoryki na piętrze, poetyki i retoryki na parterze, zajmowały w naszych czasach czytelnie i zbiory Biblioteki. Zaraz na prawo od wejścia wypożyczalnie, krążgankiem na prawo — czytelnia rękopisów, na wprost przez dziedziniec — czytelnia starych periodyków, na piętrze czytelnia nowych czasopism, sala katalogowa i lectorium główne. Przechadzki po krążgankach były ulubioną formą oderwania się od książek i manuskryptów, gdyż w Jagiellonce

zazwyczaj spędzało się cały dzień, a zwolnić miejsce w czytelnicy było niebezpiecznie.

Dyrektorem Biblioteki był Stanisław Piotrowicz, zamordowany w Katyniu. Jagiellonka zatrudniała spore grono uczonych i bibliotekarzy; do pamiętnych postaci należał młodziak dr Adam Bar z arcywysoką małżonką dr Ireną Turowską Barową, dr Gielecki, ochoczy adorator płci pięknej, odziany wszakże regularnie w kalosze, i przykładowie żegnający się przed każdą dosłownie czynnością osobistą, zwalista jak gdańska szafa Helena d'Abancourt, o której lektor Bernard mówił, że z Napoleonem przybyła do Polski, dr Wanda Żurowska. Ale najważniejszy, bo i najbardziej znany, był pan Aleksander, chłop wielgachny o kartoflanym nosie, pracownik głównego lectorium, który miał w ręku każdą książkę i wiedział gdzie jej szukać. Kiedy nowicjusz przychodził do lectorium, Aleksander tylko się uśmiechał pod wąsem. Wreszcie znudzony jałowymi manipulacjami, zadawał pytanie: „Czego dusza potrzebuje?”. A jeśli, nieświadom, parweniusz usiłował go zbyć, Aleksander pytał: „Co pan(i) myśli, że ja wróbel?”.

Ze starodawnych collegiów uniwersyteckich nie pozostało już wiele więcej. Ze sławnej Bursy Jerozolimskiej (fundacji kardynała Zbigniewa Oleśnickiego), wznoszącej się kiedyś na miejscu dzisiejszego Collegium Novum, oraz z Bursy Jana Długosza przy ulicy Grodzkiej przechowały się tylko tablice erekcyjne, umieszczone na dziedzińcu Collegium Maius. W całości przetrwały do dziś jeszcze dwa inne wiekowe collegia: Juridicum przy Grodzkiej i Minus przy Gołębiej. Pierwsze, budowla renesansowa, ongiś własność Sędziwoja z Szubina, posła w sprawie małżeństwa Jadwigi z Jagiełłą, przekształcono na collegium testamentem Jadwigi. W naszych czasach nie prawnicy pobierali tu naukę, lecz antropologowie. Collegium Minus, ufundowane i urządzone w XV wieku, na wzór Maius, bo też i wyłonione organizacyjnie ze swej macierzy, w późniejszych wiekach tak obmurowano i przerobiono że nie wiadomo, jaki był jego pierwotny, późnośredniowieczny wystrój i wygląd. Na portalu od ulicy Jagiellońskiej zachowała się najstarsza znana tarcza herbowa Uniwersytetu Jagiellońskiego z końca XV wieku: dwa skrzyżowane berła. W Collegium Minus mieściła się przez pewien czas Akademia Sztuk Pięknych, gdzie kształcił się Matejko.

Instytut Geograficzny przy ulicy Grodzkiej u stóp Wawelu to także budynek stary, ale wcale nie uniwersytecki. Wzniósł go na polecenie Władysława IV generał artylerii Paweł Grodzicki jako arsenał koronny. Stąd geografię w Krakowie studiowało się na beczce prochu.

Dawne Collegium Physicum, kiedyś siedziba medycyny, zbudowane za czasów Kołłątaja, stoi naprzeciw Collegium Maius przy

ulicy Jagiellońskiej. Tu właśnie dwaj profesorowie U.J., Zygmunt Wróblewski i Karol Olszewski, skroplili tlen. Dziś gmach służy geologom.

Z czasów Kollatajowskich pochodzi także ogród botaniczny z zakładem oraz obserwatorium astronomiczne na piętrze tegoż, pomieszczone w zgrabnym klasycznym budynku. Obserwatorium zakładał i urządzał dla uniwersytetu Jan Śniadecki w pałacyku pojezuickim przy końcu ulicy Korpenika, wtedy już poza miastem. Tu Śniadecki obliczył szerokość geograficzną Krakowa. Ogród botaniczny był faworytnym miejscem romantycznych spotkań studenckich, podobnie jak Planty (pod pomnikami Grażyny albo Lilli Wenedy) i wejście do Smoczej Jamy na Wawelu.

Poza Collegium Novum, nowe były także Collegia: Philologicum, Chemicum i Physicum. Dwa pierwsze naprzeciw Novum, przez miedzę ulicy Jagiellońskiej, trzecie przez bruzdę ulicy Gołębiej. Kolegium Filologiczne, czyli Gołębia 20, albo po prostu „Gołębnik”, na samym swym szczycie, jak przystało z tytułu nauki, mieściło astronomię i matematykę. Nieliczne, ale wyboro-we było grono wymoczków za okularami — studentów matematyki, przedwcześnie dojrziałych i napiętnowanych trudem myślenia, nad wiek poważnych i pochłoniętych bez reszty nauką. Na szczycie Gołębnika siedział z lunetami mózgów wycelowanymi w niebo legendarny łowca planet profesor Wilk i jego socjusz Tadeusz Banachiewicz, a także w dobranej kompanii matematycy, dłuższy od Wilka o trzy litery Witold Wilkosz i Stanisław Zaremba.

Przez hałaśliwe pierwsze piętro Gołębiej przechodzili indyferentnie matematycy i astronomowie, by snąć nie obrazić swej naukowej powagi w królestwie polonistycznej fantazji.

No, a inne wydziały i przedmioty miały dach już nieco dalej: medycyna, jak się rzekło, miała swoje miasto na Grzegórkach, teologowie, poza Collegium Novum, trzy budynki seminaryjne, z których najpiękniejszy był ślaski, rolnicy przy alei Mickiewicza, pedagogia i socjologia przy Straszewskiego i Wolskiej, higiena na Lubiczu, wychowanie fizyczne na Zwierzynieckiej, pielęgniarki przy medykach itd.



Największą niedogodnością życia profesorskiego było wychodzenie na Kraków. Wszyscy się profesorom kłaniali, tak że kapelusze sfruwały co chwilę z uczonych głów, na różne sposoby, w zależności od stosunku do osoby oddającej ukłon: ledwie uniesione w górę, uchylone bliżej i dalej, odchylone faliście i długotrwale, spuszczone nisko, niekiedy ledwie dotknięte dłonią. Tak

się kłaniał Stanisław Estreicher. Niektórzy profesorowie nawet albo w ogóle nie dostrzegali albo też udawali, że nie dostrzegają ukłonów. Rafał Taubenschlag mógł naprawdę nie dostrzegać, był bowiem całkowicie pochłonięty dialogami, jakie wiódł głośno ze sobą. Gestykulował przy tym zamasyście i miotał obelgi. Miał szczególne upodobanie do chodzenia jedną stopą po krawężniku bruku, drugą po jezdni, czym z daleka przypominał kolebiącą się kaczkę.

Taubenschlag przyjął chrzest katolicki w latach trzydziestych i z prawdziwie dziecięcą wiarą wyrażał swoją dumę z odręcznego na tę okoliczność pisma papieskiego. Ale oblewał studentów, żydowskich i chrześcijańskich, także i potem niemiłosiernie. Ha, prawo rzymskie nie przelewki: 316 stron formuł łacińskich na pamięć! To arcyzwięzłe kompendium opracował sam Taubenschlag. Największym odtąd zmartwieniem jego życia — czemu nie omieszkiwał wielokrotnie dawać wyrazu w czasie wykładów — był skrupuł, że zbyt mało miejsca poświęcił różnym Ulpianusom, Gaiusom itp. Nic dziwnego, że 316 stron formuł łacińskich uważał za absolutne minimum dla przyszłego prawnika, i jedna niezapamiętana linijka zagradzała studentowi drogę na drugi rok studiów.

Na drugich skrzypcach prawa rzymskiego grał Stanisław Wróblewski, mniej od Taubenschlaga nieużyty, a w nauce bodaj poważniej zapisany.

Profesorowie prawnicy wyróżniali się elegancją i dziwactwami. Cywilista Dziurzyński, mocno już szpakowaty i lekko podagryczny lew salonowy, miał jeszcze w oczach żar uwodzicielski i kopał się ochoczo ku młodszy studentkom. Do najwytworniejszych i szarmanckich jurystów liczyli się Maciej Starzewski, postać żywcem przeniesiona z pięknej epoki Młodej Polski oraz zawsze uśmiechnięty, dowcipny i rad życiu, jak na wykładowcę prawa i procedury karnej przystało, Władysław Wolter. Uniwersytet krakowski miał jeszcze drugiego Woltera, ale żaden z nich nie był wolterianinem.

Miał też wydział prawa swoją ekscelencję: b. ministra Kumanieckiego (z gabinetu Juliana Nowaka). Wymagał, żeby studenci do egzaminu przychodzili w smokingu, a już co najmniej w czarnym ubraniu. Gdy egzaminowany nazwał go profesorem, ekscelencja zwykł był przerywać słowami: „ministrem byłem także”. Lektor języka francuskiego Bernard szydził z końcówek polskich nazwisk na-ki. — Ale — dodawał — to normalne, że każdy Polak ma-ki z tyłu. Ale Kutrzeba ma ją z przodu, a Kumaniecki i z tyłu i z przodu. *Imaginez!*

Nieco trwalej niż Kumaniecki zapisał się ministrowaniem i udziałem w polityce Adam Krzyżanowski, jedna z najtęższych głów w polskiej ekonomii, światowiec prawie nigdy nie opuszcza-

jący Krakowa, mędrzec łączący demokrację z przystosowaniem do grymasów władzy, szyderca o fizjognomii Mefista. Profesor Krzyżanowski w czasie zamieszek przeciwyżydowskich młodzieży wkraczał zwykle w tłum jak tur gotów do ataku. Ale prawdę mówiąc nie było nigdy potrzeby profesorskiego pogotowia.

Na antypodach ideologicznych stał Adam Heydel, ekonomista, o duszy artysty, bodaj najlepszy w Krakowie koneser sztuki, autor monografii o Rafale Malczewskim, zamordowany w niemieckim obozie.

Późniejsza ofiara Oranienburga, Stanisław Estreicher, z dynastii profesorskiej, chociaż z wiedzy historyk prawa, parał się głównie kontynuacją ojcowskiej pomnikowej „Bibliografii polskiej”. Powierzchność miał schludnie mieszczańską.

Seniorem wśród prawników był Fryderyk Zoll, bardzo wiekowy, także z profesorskiego rodu, encyklopedysta w naukach prawniczych, a wykładający miodową polszczyznę. Rozkoszą dla uszu był sam dźwięk jego mowy. Jednakże Zoll miał też swoje słabości. Po pierwsze był trochę nudziarzem i rygorystą: lubiał dosłowne odpowiedzi ze swoich skryptów. Potem: nie uznawał kobiet i na wykładach, często tłumnie obesłanych przez studentki, zwracał się nieuchronnie do audytorium słowami: „Proszę panów!”. Lubił, dalej, wspominać o swoich przewagach prawnych, ściśle o jednej, mianowicie „lex Zoll”, czyli ustawie waloryzacyjnej, oczywiście jeszcze z czasów c. i k. monarchii. Nareszcie, nie należało zdawać egzaminów z procedury cywilnej u Zolla w czasie deszczów i opadów.

Piastowską krzepą i urodą odznaczał się wśród prawników Stanisław Kutrzeba, temporibus illis prezes Polskiej Akademii Umiejętności, historyk prawa i ustroju Polski, głowa potężna, umysł jasny i dostojęństwo patriarchy pod sumiastym wąsem Sarmaty. Sam ojciec dwu córom, miękkie serce miał dla panienek, które go szykiem brały pod włos przy egzaminach. Kutrzeba po prostu nie umiał być nieuprzejmy wobec płci pięknej i tylko bardzo rzadko obcinał białogłowę. Raz też studenteczka pewna zasiadła do egzaminu w cud-sukni i uruchomiła wszystek wdzięk swojego rodzaju. Ale nie domyślała się, że egzaminuje ją nie Kutrzeba, lecz inny historyk ustroju, Zakrzewski. Gdy dość już długo zamiast wiedzy dziewczę roztaczało przed egzaminatorem urok osobisty, profesor rzekł wreszcie:

*Jam Zakrzewski,
nie Kutrzeba:
Jemu trzeba,
mnie nie trzeba.*

Inni profesorowie wydziału prawnego już jakoś, mimo tęgich głów, uchodzili za wielkości drugorzędne.

Więc Jerzy Langrod (prawo administracyjne), trochę brat-łata, autor mnemotechnicznych powiedzonek w rodzaju: „Województwo jest to władza, która nikomu nie dogadza, dzieli się na działy, wydziały i podwydziały, żeby strony nie wiedziały, gdzie się sprawy ich podziały”.

Więc słabowity Abdon Kłodziński, wykładowca polskiego prawa prywatnego, udręczony przez niesforną studenterię.

Więc Jerzy Lande, teoretyk i historyk filozofii prawa, o manierach i powierzchowności sportowej.

Więc Adam Vetulani, kanonista, zwany popularnie „Wytulany”, zerkający ku ludowcom, który musiał zabiegać usilnie, aby utrzymać czarną głowę powyżej katedry. Pewien studencina, zapytany przy egzaminie, jakie są przeszkody, by zostać proboszczem, rąbnął, widąc pragnąc sobie zjednać profesora: „przynależność do stronnictwa ludowego”.

Więc Szczęsny Wachholz, Lulek, drobny i śmieszkowaty Gwiazdomorski, pies na formalistykę i ordynację wyborczą za czasów sprawowania funkcji kuratora Bratniej Pomocy. Więc popędliwy Sarna. I inni.

Nareszcie małeńki cywilista Gołąb, o którym gadano, że zaopatruje swoje książki w portrety autora naturalnej wielkości i że robi co może, aby nikogo z prawa nie wypuścić. (Egzamin u niego był ostatnim w programie studiów).

Masówka studencka na prawie nie sprzyjała wytworzeniu się na tym wydziale ani tradycji, ani mocniejszych węzłów koleżeńskich, ani trwalszej wspólnoty. Na wydział uczęszczało najwięcej studentów z prowincji, doskakujących tylko okazynie do Krakowa, sporo też takich ludzi, którym prawo było potrzebne do karier czy po prostu do utrzymania się na stanowiskach urzędniczych. Toteż nawet seminaria prawne traktowali studenci jako obowiązek, który trzeba zbyć i odbębnić.

Jedyną platformą społeczną było tam Towarzystwo Biblioteki Słuchaczy Prawa, rozporządzające ogromnym księgozbiorem, a zwłaszcza skryptami do egzaminów. W okresie napięć ideowo-politycznych Towarzystwo budziło żywsze zainteresowanie, ale raczej u przywódców młodzieży, choć ilość głosów w wyborach do Biblioteki (TBSPUJ) przekraczała jedną trzecią słuchaczy wydziału.

O wiele ściślejsze więzy łączyły studentów innych wydziałów. Medycyna była tradycyjnie profesją solidarystyczną i zamkniętą. Medycy tworzyli klan dumny ze swej odrębności i niezmiernie czuły na punkcie lojalności zarówno wobec profesorów jak i koleżeńskiej.

Rolnictwo, farmacja, wychowanie fizyczne oraz prawie wszystkie przedmioty wydziału filozoficznego zbliżały studentów za-

wodowo i towarzysko. Z reguły małżeństwa zawiązywały się na ławach seminaryjnych i wykładowych. Rolnicy dodatkowo wyznawali jeszcze coś w rodzaju świadomości klasowej, ziemiańskiej, przy czym tytuł studiów i stopień naukowy zastępował już w naszych czasach szlachectwo, zresztą taka też była odwieczna tradycja wszechnicy krakowskiej.

Jan BIELATOWICZ

Powyższa „Gawęda” jest fragmentem książki, która w najbliższym czasie ukaze się w ramach „Biblioteki KULTURY”.

TOM XCII BIBLIOTEKI « KULTURY »

WE WŁASNYCH OCZACH

**ANTOLOGIA WSPÓŁCZESNEJ LITERATURY
SOWIECKIEJ**

A u t o r z y :

Aleksander SOŁŻENICYN, Włodimir MAKSIMOW, Aleksander JASZIN, Leonid STADNIUK, Fiodor ABRAMOW, Borys DIAKOW, Leonid SIOMIN.

W tłumaczeniu Józefa ŁOBODOWSKIEGO, Kazimierza OKULICZA i Zdzisława MIŁOSZEWSKIEGO.

Str. 524

Cena egz. 24 F (35 sh., dol. 5,00)

Filozofowie

(TRZY OPOWIADANIA AMERYKAŃSKIE)

Prolog

Nad grobem Sokratesa szumią liście eukaliptusowe... Nie! To nie eukaliptus, to brzoza! Nad grobem Sokratesa szumią brzozowe liście... Brzozowe, ale nie nad grobem, bo grobu Sokrates nie miał! — Aaa, tak, grobu rzeczywiście nie miał, ale nad czymś szumiało. Może więc to coś było niczym i nawet nie wiemy na pewno czy eukaliptusy czy brzozy. Więc lepiej tak: szum niewiadomych liści nad wiadomą pamięcią. Liście „X”, pamięć „Y”. Niektórzy z nich mieli prawdziwe groby na prawdziwych cmentarzach, inni tylko litery nad ruinami a byli tacy, którzy nawet ruin i liter nie mieli. Mieczysław, Jan, Bolesław, Danuta, Aleksander, Stanisław. Porzucone rękopisy. Nienapisane książki. Książki uratowane od bomb. Tak... w pierwszej linii, żeby zrozumieć. Przez granice aby udowodnić. W kanał bez wyjścia aby odnaleźć. W milczenie aby zawołać. W śmierć aby przeżyć...

— Każdy ma prawo wybrać swój los, zawód, studia.

— Tak, ale za każdy wybór się płaci!

— Wybrałem filozofię.

— I co?

— Będę płacić.

— Czym?

— Na dobrym uniwersytecie sama nauka kosztuje co najmniej 1000 dolarów rocznie, a trzeba studiować co najmniej 6 lat aby otrzymać doktorat, więc 6 razy 1000 równa się 6000. *Sześć tysięcy dolarów!* A do tego dochodzą jeszcze wydatki na życie. Drogo!

A może Sokratesa nie było... może to tylko legenda... legenda, a więc wyobraźnia... Może... Ale skoro wyobraźnia jest w gruncie rzeczy pamięcią...

Tak... pamięcią o innych, a więc nie ważne czy był czy nie był i jaka była jego data urodzenia...

A *propos*, to porównywanie dat urodzenia jest bardzo interesujące. Może na przykład Danuta urodziła się nie tylko w tym samym roku, ale i w tym samym miesiącu co Bill, Ronald tego samego dnia co Jan, Bolesław w tym dniu co Dick...

Ale nie chodzi tu oczywiście ani o mistycyzm zbiegu okoliczności, ani o zbieżność epok. Chodzi raczej o kontrast imion, który jest kontrastem cywilizacji. I o identyczność zawodów, która jest bez znaczenia. *Mieczysław, Sokrates, Danuta, Ronald, Stanisław, Dick, Jan, Bolesław, Bill, Aleksander* — wszyscy oni *wybrali filozofię*.

Bill

Nie rozumiem po co mnie pytasz o matkę, ojca, rodzeństwo, miejsce urodzenia. To wszystko jest nieważne i nie ma nic wspólnego z tym dlaczego wybrałem filozofię. Oczywiście, że się urodziłem, bo inaczej nie mógłbym cię w tej chwili całować. Czy to nie wystarczający dowód? A ponieważ się urodziłem, musiałem mieć co najmniej matkę... no i ojca. Mam zresztą i rodzeństwo. Ojciec, matka, brat, siostra. To wszystko było naokoło mnie-dziecka. Więc jeśli „być naokoło” to „mieć”, więc, tak... miałem rodzinę i oni mnie także mieli. Chyba odpowiedziałem w ten sposób choćby częściowo na twoje pytanie.

Ale raz jeszcze zaznaczam: to całe „mienie” było i jest bez znaczenia. *Ważne było jedynie to, że należałem do ekipy footballowej już w szkole średniej i że potem, jako wybitnemu graczowi dano mi stypendium footballowe do College*. Pytasz gdzie. W moim rodzinnym stanie, bo ekipa nasza reprezentowała jedno z Collegów Alabama i w tymże College studiowałem. Co studiowałem? Ależ to nie ma najmniejszego znaczenia! Widzę, że się w tym wszystkim w ogóle nie orientujesz. Przecież ci powiedziałem, że grałem w ekipie footballowej, byłem zawodowym graczem reprezentującym College i *wszystko wydawało się raz na zawsze zapewnione*. Nie rozumiem swoją drogą skąd cię mogą interesować takie szczegóły jak rodzina, studia, miejsce urodzenia. O rodzinnym stanie już ci zresztą powiedziałem, jeśli nie bezpośrednio, to pośrednio. To był oczywiście stan Alabama, a ponieważ coś trzeba było studiować więc studiowałem buchalterię. Ale nie miałem naturalnie zamiaru zostać buchalterem! Nie

wiem czy się orientujesz *kim jest* gracz footballowy na kampusie amerykańskiego College. Miałem *wszystko*: sławę, podziw, najładniejsze dziewczyny, podróże, emocje, zwycięstwa, przyszłość. No i oczywiście ta przyszłość nie miała nic wspólnego z buchalterią. Tak, to była pełnia życia! Życie miało wówczas *sens* i przyszłość była przedłużeniem tej pełni... Ale już na drugim roku College złamałem rękę i wówczas odebrali mi stypendium i *nagle skończyło się wszystko!* Oczywiście nie kontynuowałem studiów bo po co? Ale trzeba było jeść więc pracowałem jako księgowy. Tak, nadal w Alabamie, ale daleko od College. Zapuszczałem na wszelki wypadek wąsy aby mnie nikt nie poznał i ubierałem się inaczej. Ale nie stałem się *kim innym*. Miałem co jeść i gdzie mieszkać ale byłem *nikim* i to było nie do zniesienia. Na szczęście wybuchła wojna... Nie dziw się, że mówię „na szczęście”... nadal tak uważam. Bo gdy się jest *nikim* każda zmiana jest nadzieją. No i później, po kilku latach, wojna rzeczywiście pomogła. To znaczy nie wojna jako taka, ale *pewne wydarzenie*. Tak, oczywiście, że ci o tym opowiem, ale proszę, nie pytaj za dużo o to co było przedtem. Bo przedtem były trzy lata wojny, ale one są bez znaczenia. Byłem w Europie, Afryce i potem dopiero na Pacyfiku. Tak, zabijano ludzi, oczywiście, ale cóż z tego, ludzie przecież i tak codziennie umierają... W tym samym czasie w kraju zginęło więcej ludzi w wypadkach samochodowych niż u nas na froncie. Dawano nam dobrze jeść i wszystko było z góry zdecydowane więc pod tym względem było to znacznie lepsze niż moja praca buchalteryjna. Jako księgowy zarabiałem wprawdzie na życie, ale ciągle musiałem coś interpretować, o czymś decydować: tu obliczyć odpowiedni procent od podatku dochodowego, tam wykombinować co wynikło z takiej a takiej inwestycji... Tyle rzeczy trzeba było ciągle kwestionować i tyle zawsze zostawało niejasności! Co? Mówisz znowu, że podczas wojny zabijano ludzi. Jasne, że zabijano, ale ludzie wszędzie umierają i tu nie ma na szczęście nic do kwestionowania, interpretowania czy zrozumienia. Tak, wojna była pod tym względem dużo mniej wymagająca! Czasem patrzyłem na rany umierających i pytałem lekarza co znaczą te zmieniające się kolory. Najpierw rana jest krwista, potem naokoło powstaje jakby purpurowa obwódka, zmieniająca się powoli we fioletową albo w ciemno-żółtą... Co? Pytasz czy patrzyłem w oczy umierających. Nie, nigdy mi nie przyszło na myśl aby patrzeć w ich oczy... Obserwowałem tylko rany bo z ran można się najwięcej dowiedzieć o procesie umierania, czyli o życiu jako takim. Muszę przyznać, że lekarze bardzo dobrze mi to wszystko wytłumaczyli, tak, że właściwie nic więcej nie pozostało do zrozumienia. Sam nigdy nie myślałem, że i mnie mogą zabić. Jakoś mi to po prostu nie przyszło na myśl...

Nie żebym był jakimś bohaterem, ale tak, po prostu wydawało mi się to nieprawdopodobne. Więc, w sumie, widzisz, moje życie podczas wojny zmieniło się trochę na lepsze, ale to była tylko niewielka zmiana więc nie warto się nad tym rozwodzić. Ale potem, już na Pacyfiku *zdarzyło się tamto. Wówczas zdecydowałem się na filozofię.* Wjechaliśmy na minę i okręt nasz wyleciał w powietrze. Wszyscy prawie zginęli. Uratowało się tylko kilku i pamiętam jeszcze doskonale ten moment na łodzi ratunkowej, ten strach przed śmiercią i co ciekawsze, tę niepojętą chęć przeżycia. Niepojętą... bo po co żyć skoro się nie ma *żadnego celu*, gdy się nie widzi *żadnego sensu*... Może jednak nie samego życia chciałem wówczas na tej maleńkiej łodzi ratunkowej wśród fal, dymu i prochu... Chciałem pewno *życia i sensu*, chciałem *sensu życia* i wówczas postanowiłem tak w jednej chwili, że o ile przeżyję, będę tego sensu szukał przez filozofię. Pytasz dlaczego filozofię? Czy w Alabamie słyszałem o filozofii? Oczywiście, ani wśród graczy footballowych, ani wśród studentów buchalterii nigdy się o filozofii nie rozmawiało, tak, że naprawdę nie wiem skąd mi to wówczas przyszło... może po prostu dlatego, że znałem to słowo... No i jak wiesz przeżyłem, uratowano nas i jak tylko skończyła się wojna pojechałem do New Yorku aby studiować filozofię. Wybrałem oczywiście najlepszy uniwersytet, wybrałem *Columbię*. Ale New York był drogi i mimo to, że jak wiesz, weterani wojenni nie płacili nic za naukę, to co zostało mi na życie z mego *GI bill* było rzeczywiście niewystarczające aby *naprawdę żyć*. Naprawdę, to znaczy wygodnie i bez kłopotów o przyszłość, bo jakże tu można spokojnie myśleć w innych warunkach. Więc wówczas, przyszło mi na myśl, że powinienem się ożenić z bogatą i znacznie ode mnie starszą kobietą, tak, żeby, rozumiesz, nie było z jej strony żadnych wymagań, i w ten sposób spokojnie, powolutku skończyć studia filozoficzne. Tak, oczywiście, z doktoratem włącznie i potem...

Nie, nie ma w tym absolutnie nic złego... Niemoralne? Dlaczego? Po prostu wymiana przysług. Ileż kobiet w pewnym wieku ma wszystko prócz męża i oddałoby wszystko aby mieć męża choćby na jakiś czas, bo wówczas inaczej wygląda ich pozycja społeczna, kredyt, życie towarzyskie... To jest dla nich ważne nawet jeśli nie mają prawa niczego wymagać... A mnie, jak wiesz, pieniądze nic nie obchodzą. Chodziło mi tylko o dobre warunki do studiów, o wolny czas, spokój, książki.

Więc zacząłem szukać. Zajął mi to aż pięć miesięcy ale bez detektywa trwałoby znacznie dłużej, bo nikogo w New Yorku nie znałem kto by mnie mógł poinformować. Ale w końcu znaleźliśmy taką właśnie odpowiednią kobietę, moją obecną żo-

nę. Nie rozumiem twego zdziwienia. Że nie masz szacunku dla takiego postępowania? Ależ, *honey*, prawdę mówiąc to raczej ja zrobiłem zły interes, więc nie ma tu mowy o żadnej nieuczciwości. Mamy jedynie wspólność majątkową i to niecałkowitą bo ten dom w Long Island, który wynajmujemy, jest na jej imię. Ale mnie, jak wiesz, nie chodzi o pieniądze. Jedynie o dobre warunki do studiów, wygodne mieszkanie, auto, spokój wolny czas... Ale muszę przyznać, że czasem mam już tego dość i bardzo mnie męczą te ciągłe obowiązki towarzyskie, to przebywanie z ludźmi z którymi nie ma o czym rozmawiać. Męczą mnie to zwłaszcza teraz gdy pracuję nad magisterium. Tak... etyka Heideggera, a jak wiesz, Heidegger nie jest łatwy, więc trzeba mi skupienia, ale z tych obowiązków towarzyskich ani rusz się wymigać nie mogę. Zresztą nawet gdybym mógł, nie uważałbym tego za stosowne. Więc pomyślałem, że może przyszedł odpowiedni moment aby wycofać się z tego interesu. W tym momencie zresztą spotkałem ciebie, *darling*... Chodzi teraz jedynie o to aby skończyć to magisterium bo potem trzeba mi tylko jednego semestru wykładów, dwóch kursów epistemologii i jednego metafizyki... Potem, rozumiesz, już można zacząć uczyć w przyzwoitym Collegu, pracując jednocześnie nad doktoratem, więc musisz mieć trochę cierpliwości, *honey*... zresztą w międzyczasie muszę coś jednak zrobić z tym domem w Long Island, on już od dawna powinien był być przepisany na mnie...

Bo widzisz, w Los Angeles, bo tam chcę cię zabrać, *honey*, będziemy potrzebowali więcej pieniędzy niż tutaj... Co znowu mówisz o szacunku? Ależ nie przesadzaj, *darling*, przecież ona beze mnie lokatorów by nawet znaleźć nie potrafiła... Więc coś mi się chyba za to należy, a jeśli chodzi o szacunek, to sama przecież kiedyś mówiłaś, że najważniejsze jest *poszukiwanie sensu w życiu*. Nie wiem czy go kiedykolwiek znajdę, ale ważniejsze jest samo poszukiwanie, prawda? Więc uspokój się, *honey*, i porozmawiajmy lepiej o Heideggerze. Czy chcesz żebym ci przeczytał piąty rozdział mojej tezy? Jeszcze go nie znasz...

Dick

Jak mogłaś zrozumieć, że zaofiarowałem ci mój pokój tylko ze względu na Kongres Filozoficzny! Przecież to było jasne, że chodziło mi o *co innego*. A teraz nie chcesz... Mówisz, żebym przenocował u Smithów... Ależ, nie zdajesz sobie sprawy, że jeśli przenocuję u Smithów, wszyscy moi koledzy z Wydziału będą wiedzieli, że nie chciałaś ze mną spać i co wówczas o mnie pomyślą? Nie, na to nie możesz mnie narażać... już sobie wyo-

brażam ich uśmieszki... Tak, pójdę do hotelu, albo jeszcze lepiej pojadę do motelu, daleko za miastem bo w hotelu też mogę spotkać znajomych. Byłoby najlepiej gdybyś mi pozwoliła przespować się tutaj, choćby na dywanie lub w łazience, ale jeśli nawet na to nie chcesz się zgodzić, pozwól mi przynajmniej posiedzieć tu z tobą kilka godzin! Kongres zaczyna się o 9-ej rano więc o 1-ej będą już wszyscy spali... wtedy się wymknę. A w międzyczasie możemy pogadać. Będzie dość czasu aby odpowiedzieć na te twoje pytania i może nawet przeczytam ci mój jutrzejszy referat. Tak, o etyce Encyklopedystów. Mówisz, że nie mieli etyki... ależ to przecież zależy od definicji tego terminu! Wedle mojej definicji mieli, jak najbardziej! Co? Nie chcesz referatu dopóki ci nie odpowiem *dlaczego wybrałem filozofię*, a nie medycynę. Czemu nie? Jak najchętniej. Wybrałem filozofię właśnie dlatego, że jestem z takiej lekarskiej rodziny. Z powodu mego ojca, a może jeszcze bardziej z powodu brata. Widzisz, on był zawsze starszy, a ja oczywiście młodszy. Nie można przestać być młodszym, ale można zacząć robić co innego, coś bardzo innego. On był starszy i studiował medycynę, wobec tego ja *wybrałem filozofię*. A z doktoratem tak się pośpieszyłem też z tego powodu, no i trochę z powodu ojca. Bo według niego ludzie dzielą się na dwie kategorie. Ta nieskończenie wyższa to lekarze, *doctors* — ta bezspornie niższa to zwykli ludzie, *misters*. Więc, mając 15 lat pomyślałem, że im zrobię kawał, że będę także doktorem, ale nie medycyny. Na złość bratu, ojcu i temu całemu środowisku. I na złość nie będę zarabiał tyle co oni, bo co mnie obchodzą pieniądze! Ale mimo to będę doktorem, doktorem filozofii i w ich obecności, wbrew im wszystkim tak mnie właśnie będą tytułować! Tak sobie postanowiłem mając 15 lat a potem jako student filozofii, gdy mój brat miał już dobrą praktykę, dom z ogrodem i basenem do pływania no i luksusową *housewife*, wówczas wymyśliłem jeszcze lepszy kawał: że mianowicie nie ożenię się z żadną *housewife*, ale ze studentką filozofii, no i jak wiesz wybrałem June. Z tym to mi się nienajlepiej udało bo przez nią opóźnił się mój doktorat, no i poza tym jej jednak zawsze chodziło o pieniądze chociaż udawała, że interesuje się tylko metodologią. W jaki sposób opóźnił się doktorat? No więc po prostu June uparła się, że ona musi zrobić doktorat wcześniej i robiła mi dzikie awantury ile razy otwierałem książkę. Uciekałem z domu do biblioteki, ale tam zawsze taki zamęt, że niebardzo mogłem czytać. Więc wracałem do domu, ale w domu nie podobna było pracować. Zresztą to planowe przeszkadzanie mi było dla June tak absorbujące, że i ona sama nie mogła wówczas nic robić. Więc zdecydowałem się zmienić taktykę i po prostu pomóc jej w zrobieniu doktoratu, a potem dopiero zabrać się do

swojego. Załatwiałem wszystkie sprawunki, gotowałem, prałem nie tylko moją, ale i jej bieliznę, prasowałem, nawet czyściłem buty, no i razem z nią wgryzałem się w metodologię szkoły fenomenologicznej, bo taki był jej temat. No i zrobiła ten doktorat bardzo prędko i zaraz potem zaofiarowano jej posadę w *Temple University*, wiesz, to taki uniwersytet w Filadelfii, zaledwie kilka ulic od naszego mieszkania. Ale ku memu zdumieniu, June powiedziała wówczas, że nie chce pracować! — Jako zameźna kobieta — powiedziała — ma prawo do pieniędzy męża, więc niby ja powinienem poszukać pracy bo ona ma już dość „takiego marnego życia”, a jeśli nie chcę pracować aby uzupełnić mój *GI bill*, to przecież zawsze zawsze mogę przyjąć pieniądze od ojca, „bogatego ojca” — powiedziała — „który i tak ci pieniądze wciska, tylko ty, taki głupiec, nie chcesz ich przyjąć!”.

Muszę przyznać, że nie od razu zareagowałem, bo jakoś nie potrafię reagować szybko na takie niespodzianki, ale gdy się nawinęła pierwsza posada, właśnie tu na pittsburskim uniwersytecie, zapakowałem manatki i wyjechałem. June, oczywiście nie chciała jechać do Pittsburga i zaraz zaczęła sprawę rozwodową oskarżając mnie o dezercję, żądając alimentów... nadal to wszystko trwa. Ale ja w międzyczasie, jak wiesz, pośpieszyłem się z doktoratem i dwa razy już miałem okazję *im się pokazać*. Oni oczywiście śmieją się i mówią, że przyjdzie czas gdy nie wyżyję z tej mojej „udoktorowanej filozofii” i przyjdę po *ich dolary*. Ale mylą się bardzo! Nie doczekają się nigdy! Ty to rozumiesz bo jesteś inna i dlatego cię kocham. Co znowu mówisz, że to nieprozumenie semantyczne, że myślę słowo „kocham”, że słowem „pragnę”. Ależ, moja droga, jaka to różnica? Nigdy mi nie wytłumażyłaś...

Skąd wiem, że cię kocham? Wiedza *apriori*, tak *apriori*, a jeśli chcesz dalszych argumentów to opowiem ci o pewnym incydencie. Więc parę tygodni temu zatelefonowałem do June i powiedziałem, że cię kocham. O ile powiedziałem, to chyba znaczy, że kocham, bo po co bym się inaczej narażał? A rzeczywiście się naraziłem, bo June natychmiast tu przyjechała i... rzuciła się na mnie z nożem. Takim długim kuchennym nożem, bardzo ostrym, który ze sobą przywiozła. Nic mi na szczęście nie zrobiła bo jej ten nóż zaraz odebrałem, ale muszę przyznać, że mi tym *zaimponowała*! Bo czasem wykształcenie tłamsi w nas takie odruchy, nie wiem na przykład czy by mnie było na to stać, a ona tak od razu z nożem mimo doktoratu z filozofii... Więc bardzo mnie to wzięło, ale ta fascynacja minęła szybko bo jak tylko odebrałem jej nóż poprosiła mnie aby ją zawieść do sklepu i tam chciała mnie wprost zmusić abym jej kupił futro. Ponieważ nie doszło jeszcze do rozprawy rozwodowej — twier-

dziła — jestem nadal jej mężem i mam obowiązek kupienia tego futra, a były to takie szare perskie baranki, bardzo drogie... Ledwo się z tego sklepu wydostałem! O co teraz pytasz? A, o filozofię... Czy znaczy to, że nie chcesz więcej słyszeć o miłości... A szkoda bo tak ładnie wyglądałoby twoje ciało na tej seledynowej kanapie... Już, już zaraz wyjdę, chyba, że chcesz rzeczywiście mówić o filozofii, że to nie próba zmienienia tematu... *Czym jest dla mnie filozofia?* Chyba sama potrafisz teraz na to odpowiedzieć. Obroną? Tak, obrona... Przed śmiercią? O nie, kto by tam myślał o śmierci? Raczej przed życiem, *przed ich życiem*, przed lekarzami, dolarami, medycyną, ojcem, bratem, kolegami ojca i brata...

Ronald

Jestem tu dopiero od dwóch miesięcy. Przedtem byłem *gdzie indziej*. Daleko stąd. Na wschodzie. Koło Cleveland. Jak wiesz, jestem tylko *assistant profesor*. Mimo mego wieku. Trochę wstyd, ale to dlatego, że *przedtem* uczyłem *nie tylko filozofii*. Zresztą nie chodzi mi o karierę. O to jedynie mi chodzi aby nie stracić posady, a powiedziano mi, że chwilowo przyjęli mnie tylko na rok, więc nie wiem co będzie potem. Pytasz nad czym pracuję. Prawdę powiedziawszy to nad niczym, to znaczy przygotowuję z dnia na dzień wykłady: filozofia grecka, etyka, wstęp do filozofii i seminarium o Platonie. Ale nie piszę nic i nie mam zamiaru bo po co? O ile zatrzymają mnie na przyszły rok, awansować będę mógł również bez pisania, więc po co pisać skoro, jak ci mówiłem, nie chodzi mi o karierę, a teraz mówię, że o sławę też mi nie chodzi. Dlaczego się dziwisz? Acha, pytasz czemu wobec tego *wybrałem filozofię*. Więc najpierw muszę zaznaczyć, że filozofię *naprawdę* *wybrałem*. To była jedyna rzecz, którą *rzeczywiście* *wybrałem*, wszystkie inne mi się po prostu zdarzyły. No, bo jakiś zawód trzeba mieć aby żyć. Trzeba zarabiać na życie, to jasne. Ale dlaczego filozofię? Tak, na to pytanie też potrafię odpowiedzieć. Wybrałem filozofię bo była *trudniejsza*. Pytasz od czego trudniejsza? Oczywiście *od tego czego uczyłem przedtem*. Wybrałem filozofię bo filozofia jest zbyt trudna, aby się nią znużyć. No i rzeczywiście od piętnastu lat nie nudziłem się ani razu czy to przygotowując wykłady czy ucząc, podczas gdy *tamto nudziło mnie potwornie*. Ale przez te piętnaście lat jedynie jedna trzecia moich wykładów była z dziedziny filozofii. Od *tej reszty* aż mnie czasem mdliło. Od *tej łatwizny!* Acha, tak, prawda, nie powiedziałem ci jeszcze co to było. Więc była to teologia, ale potem tak mi już dokuczyły ten fałsz i przede wszystkim ta

łatwizna, że postanowiłem z *tym zerwać*. Pytasz z czym? No, z uniwersytetem na którym uczyłem; dlatego jestem tutaj *daleko od nich*, ale podobno dopiero gdy się ma etat jest się pewnym, że zatrzymają na stałe, a w moim wypadku nie wiadomo nawet czy zostanę na przyszły rok bo nic mi dotąd nie powiedziano. Poprzednio miałem *wszystko zapewnione*, ale mimo to nie żałuję, że zerwałem...

Staram się oczywiście robić wszystko aby mnie zatrzymali. Żadnego zaproszenia na *coctail party* dotąd nie odmówiłem, no i dwa razy zaproszono mnie nawet na obiad, raz do dziekana Wydziału, drugi raz do wicedziekana. Więc może mnie jednak zatrzymają. W biurze codziennie po osiem godzin siedzę, z kolegami nigdy się w żadne dyskusję nie wdaję i nawet artykuł o Bergsonie zdążyłem tu napisać i posłałem go zaraz do *Journal of Metaphysics*, no ale wiesz sama jak długo trzeba czekać na odpowiedź i dziekan też wie... No i lubią mnie także koledzy spoza Wydziału bo nigdy się nikomu nie narażam. Niedawno na przykład dwie profesorki z Wydziału Gospodarstwa Domowego powiedziały mi tak: „Słuchaj, Ronald, ty się tą posadą nie martw, bo nie tylko dla Wydziału Filozoficznego jesteś cennym nabytkiem, ale i dla całego Uniwersytetu, bo w twoim wypadku ma się przynajmniej pewność, że radykałem nie jesteś i studentom głowy zawracać nie będziesz szkodliwymi ideami”. No, więc jak sama widzisz są dane na to, że mnie jednak zatrzymają. Ale pewności nie ma, a gdy się miało w przeszłości *wszystko zapewnione* bardzo trudno wytrzymać taką niepewność. Mimo wszystko jednak decyzji mojej nie żałuję. Bo widzisz, filozofia jest trudna, a przewyżczając trudności nie można się nudzić... Ach, jak ja się poprzednio nudziłem! Ale przyjmując tę posadę nie zdawałem sobie sprawy ile lat czekać trzeba na etat, no i teraz czasami zastanawiam się czy gorsza nuda czy ta ciągła niepewność. A co by się na przykład stało gdyby mnie stąd na przyszły rok wyrzucili?

Bo przecież każda inna praca byłaby jeszcze nudniejsza niż *to co przedtem!* Tak, tak, mam na myśli teologię... tak... katolicką, bo to był jezuicki uniwersytet. Gdyby mnie stąd po roku wyrzucili nie wiadomo czy bym znalazł tak łatwo inną uniwersytecką posadę, a przecież ja niczego innego nie umiem robić. Swoją drogą nie spodziewałem się, że *życie jest takie!* Rzuca się *wszystko*.. Pytasz co? Przecież już ci powiedziałem, że miałem *wszystko zapewnione*. Co *zapewnione*? No, jedzenie, dach nad głową, ubranie... to przecież zasadnicze. Człowiek ma chyba prawo do zaspokojenia swych zasadniczych potrzeb! Ja na przykład żadnych ambicji nie mam, niczego od życia nie chcę: ani bogactwa, ani szacunku, ani władzy, ani sławy, ani podróży.

Chcę tylko mieć gdzie mieszkać, w co się ubrać, nie być głodnym, to są te zasadnicze ludzkie potrzeby. No i chcę miłości... to też zasadnicza potrzeba. Nawet zwierzę ma do tego prawo. I *miałem* to wszystko prócz prawa do miłości. Tak... zaraz ci o tym opowiem... ale pamiętaj, że mówię bo jesteś kobietą, której *warto powiedzieć*... rozumiesz o co mi chodzi... chyba rozumiesz? Wobec tego ci powiem, zresztą już się pewno domyślasz, że moja przeszłość była związana z *nimi*, a u *nich*, u Jezuitów ma się wszystko prócz prawa do miłości. A przecież mężczyzna potrzebuje kobiety tak jak dachu nad głową, jedzenia, ubrania, to jest jedna z tych zasadniczych ludzkich potrzeb... Więc już ci powiedziałem, a dlatego ci powiedziałem, bo wydawało mi się że *warto* ci było powiedzieć. I poza tym muszę od razu dodać, że mam poważne zamiary, że nie chodzi mi o randki lub coś w tym rodzaju, ale o małżeństwo. Tak... wolę to od razu powiedzieć żeby nie było potem żadnych nieporozumień. Tak, lepiej najpierw powiedzieć, a potem się będziemy mogli raz lub dwa razy na tydzień spotykać i *nad tym pracować*. Mówisz, że się jeszcze nie znamy... No, to się możemy poznać, za dwa trzy tygodnie będziemy się znali, a zresztą mogę o sobie opowiedzieć... Nad czym pracować? Przecież ci powiedziałem, że tak jak wszyscy ludzie potrzebują dachu nad głową, jedzenia i miłości, więc trzeba tę miłość po prostu... *wypracować*...

Chcesz o mnie więcej wiedzieć? Więc widzisz, ja właśnie dlatego z *nimi* zerwałem. Aby żyć pełnią moich ludzkich praw. Czasami jeszcze gdy byłem u *nich* — bo ja dopiero od dwóch miesięcy jestem wolny — czasami wracając z wykładów przez park publiczny *widziałem całujących się ludzi*... Tak, oczywiście... byli to sami młodzi... dziewczyny i chłopcy. I całowali się na ławkach, pod drzewami, leżąc na trawnikach. Tak, powiedziałem „ludzie”, ale nie o to chodzi. Zresztą większość z nich to byli Murzyni, więc ta ich miłość była raczej zwierzęca niż ludzka, nie to jednak ważne... — Nawet Murzyni — myślałem — nawet zwierzęta, wszyscy prócz mnie mają prawo do miłości! — I pewnego dnia, tak z punktu, to jest powiedzmy w ciągu trzech minut powziąłem decyzję. A reszta to już tylko konsekwencje tej decyzji. I od razu zacząłem *nad tym pracować*. Bo *to* był oczywiście pierwszy punkt mego programu. Ale, podobnie jak z tobą, i z *innymi stawiałem sprawę uczciwie*. Mówiłem im od razu o co mi chodzi. Jednej z tych kobiet nawet się spodobałem. Mój wzrost się jej spodobał i solidne podejście do życia, i pensja wydała się jej wystarczająca. Niestety jednak była to protestantka nawrócona na katolicyzm i gdy się dowiedziała, że z *nimi* zerwałem bardzo ją to przeraziło. Gdybym był rozwiedziony — powiedziała — wyszłaby za mnie za męża, ale w tej

sytuacji nie może. Bo zerwać z *nimi* to gorszy grzech niż rozwód. A gdy ktoś już tak myśli, kategoriami winy, zasługi czy grzechu, nic na to nie można zwykle poradzić. Tego rodzaju myślenie tak mi zwykle *u nich* przeszkadzało. To był ten fałsz. *Bo przecież na świecie nie ma ani dobra ani zła „Dobro” i „zło”*; to nic nieznaczące pojęcia. A łatwizna polegała na powtarzaniu w kółko takich głupstw o życiu. Bo życie to przede wszystkim ja i ty i oni, to ludzie... i mamy chyba prawo do zaspokojenia minimum naszych potrzeb! Ale teraz widzę, że *tutaj, po tej stronie* nawet o to jest trudno! Więc może życie jest po prostu śmiesznym nieporozumieniem...

Epilog

Tak, *zapłacili drogo!* Nie jest to oczywiście ściśle, ale założmy, że każdy z nich studiował 6 lat. Bill pewno dostał doktorat dopiero po 8-u latach, ale Ronald się za to pośpieszył i dostał swe PhD w 4 lata. Jedynie studia filozoficzne Dicka trwały dokładnie 6 lat. Ale mniejsza o to! 8 plus 4 plus 6 równa się 18, a 18 podzielone przez 3 równa się 6. Więc niewątpliwie każdy z nich studiował filozofię przeciętnie przez 6 lat, a ponieważ każdy rok kosztował 1000 dolarów, więc w sumie ich to kosztowało 6000 razy 3 czyli *osiemnaście tysięcy dolarów*. Rzeczywiście *bardzo drogo!* Bill i Dick mieli co prawda *GI bill* więc sama nauka nic ich nie kosztowała, a za Ronalda płacili oczywiście Jezuici, ale prócz nauki trzeba było przecież *płacić za życie!*

— *Z czego płacili? Czym płacili? Z czego żyli?*

— No, przecież wiesz, a jeśli nie wiesz to się domyślasz. Za Ronalda oczywiście płacili Jezuici. Bill i Dick musieli sobie jakoś radzić, no i radzili sobie nieźle...

— *A teraz?*

— A, tak, przecież oni *mają „teraz”*, wszyscy trzej *żyją*, więc nie powinno się mówić o nich w czasie przeszłym! A ponieważ *każde „teraz” ma „jutro”*, więc może tak pogawędzimy o ich *jutrze*, bo każdy z nich ma oczywiście kolosalne długi...

— Każdy? Chyba nie Ronald bo przecież za Ronalda *wszystko* płacili Jezuici!

— Ronald też, *bo nawet Jezuici nie potrafią zapłacić za wszystko!* Ronald płaci, Dick płaci, Bill, płaci... Tak, tak... Bill, Dick, Ronald *bardzo dużo* płacą!

— Każdy ma prawo wybrać swój los, zawód, studia!

— Tak! Ale za każdy wybór się płaci!

— *Wybrali filozofię.*

— Wybrali słowa, nie filozofię i zostało im tylko życie...

— To straszne! Straszne! Straszne!

Nad grobem Sokratesa szumią brzoźowe liście... A może by tak coctail z trucizną?

Zbiórka, zbiórka na długi Dicka! Zbieram, zbieram ziarnka gorczycy!

Garść gruzów na życie Billa... I niech mu droga będzie lekka!

A Ronald? — On jeden ma do czego wrócić. I pewno wróci...

Dla Ronalda krótki ogonek do okienka biletowego! Dla Ronalda kaftan bezpieczeństwa po cenie niższej !

— Kaftan bezpieczeństwa? — Tak. Ale tu nie chodzi o patologię indywidualną. Z punktu widzenia patologii indywidualnej Ronald jest zresztą najmniej patologiczny. Tu chodzi raczej o patologię społeczną. O to, że w jednej epoce, w danej cywilizacji Sokrates. W innej epoce, w innej cywilizacji — Danuta, Mieczysław, Jan, Bolesław, Aleksander, Stanisław. W tej samej epoce, w innej cywilizacji — Bill, Ronald, Dick. U jednych śmierć w imię przekonania. U innych śmierć w imię życia. U innych życie wbrew filozofii.

— Nie, to nie kwestia charakteru narodowego! Bo nawet Ronald, nie jest typowym przedstawicielem swego narodu. Tu chodzi raczej o narodowo-historyczne zabarwienie patologii społecznej. *O to, że w jednym kraju — trucizna, w innym — uniwersytecki etat. Że w jednej epoce poszukiwanie, w innej... ucieczka. W jednym kraju niepokój — w innym... nuda.*

Szumią, szumią „X”-y nad „Y-grekami”. „Z-1” — pamięć... „Z-2” — zapomnienie...

Sacramento, California, w listopadzie 1963 r.

Alicja IWANŃSKA

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.



HASKOBA LTD.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA LTD

121 Earls Court Rd, London S. W. 5

Ten człowiek

Ten człowiek obok mnie śpi i nie wiem właściwie, kim jest. To znaczy wiem, że jest moim mężem, że spotkałam go kiedyś wieczorem, gdy kupował gazetę. Odtąd gazety czytaliśmy razem. Ponadto wiem, że wygląda ani tak, ani siak. Podobno jest przystojny, ma piegi na plecach, ale tego przecież nie widać. I nikt nie wie, jak zabawnie wygląda w piżamie w paski, kiedy chodzi sztywno, na rozstawionych nogach. To są nasze sekrety. Spotkania przy łóżku w koszuli, w piżamie.

Idziesz już spać?

Tak — lub — nie, jeszcze nie.

Są jeszcze spotkania poranne przy śniadaniu.

Zjesz jajko?

— Tak — lub — nie, dziękuję, proszę tylko kawy.

Ciężkie kroki na schodach. Zatrzasnęły się drzwi. To poszedł mój mąż, człowiek, którego nie znam, mimo że widuję go co dzień z daleka, a czasem z bliska, tak że czuję jego oddech na twarzy i wiem, że ma szorstki policzek (jeszcze się nie golił). Tylko nie wiem o czym myśli, kiedy koło mnie leży. Może wprost nie myśli o niczym?

Bo u niego białe jest białe, czarne czarne i „tak” jest zawsze „tak”. Podpisał, złożył, zamknął szufladę z trzaskiem. „Tak” jest tylko „tak” i nigdy nie będzie „nie”, ani „czy”, ani „albo”. Bo on wie. A ja nie wiem i męczę się myśleniem. Tyle wielokropków... Czy ja to ja? Czy on to on? I czemu właściwie ja i on i czy już na zawsze?

Czy zjesz jajko? Czy wypijeś już kawę? Weź aspirynę. Zadzwoń do państwa X. Chciałam Ci powiedzieć, że buty zaniósłam do szewca. Będą gotowe jutro. Czy idziesz już spać? Ja już tak, a Ty?

I czy to wystarczy na każdy ranek i na każdy wieczór, wszystkie dni życia, kiedy pustka zewsząd na nas czyha i pod stopami otwiera się wciąż przepaść, że boli w gardle od patrzenia w dół?

Chciałam Ci powiedzieć, ale już Ci nie powiem, że się boję, kiedy Ty śpisz spokojnie, oddychając równo, i widzę kolory, całą masę kolorów, w których tonę, tonę, a białe zawsze zlewa się z czarnym i nie wiem, kim jestem i nie wiem, kim Ty jesteś.

Człowiek, którego nie znam, ma twarz, ręce i nogi, tylko nie wiem, czy ma coś ponadto, bo tylko twarz, ręce i nogi widać, więcej nic.

Wszystko tam jest

Wszystko tam jest, co trzeba, ściany i drzwi. Ściany się nie sypią, podłoga nie skrzypi, drzwi się otwierają i zamykają. Można patrzeć przez okna, chować się do szaf, można zapalać i gasić światło, palić światło w dzień, palić w nocy — jak kto chce. Można jadać na schodach, albo na parapetach, z nogami zwieszonymi na zewnątrz. Można spać w wannie, albo spać obok wanny. lub nie spać wcale. Można grzać się przy ogniu, lub chłodzić się w piwnicy, jak kto lubi. Tyle radości za nic w poniedziałek, wtorek i środę. Tyle rozkoszy w niedzielę, dla dwojga ludzi w bieliźnie, między jednym, a drugim tapczanem (albo i bez tapczanu, jak kto chce).

Tylko jak ten dom znaleźć, na jakiej stoi ulicy, w jakim mieście. Może trzeba go szukać daleko, u kresu dróg, przy ostatniej stacji linii kolejowej, skąd już nie jedzie się dalej. Może jest tuż obok za rogiem, trzeba tylko minąć placyk, wejść w bramę szybko, nie oglądając się. Klucz tkwi w zamku, lub nie, klucza nie ma, klucz wziął dozorca i odszedł z nim daleko... nie, nie ma klucza.

Nie wiem teraz, co zrobić. Każdy inny by wiedział, a ja nie. Może by wezwać policjanta, ślusarza, ale co im wtedy powiem? Że w tym domu mieszkałam, już nie mieszkam, może będę mieszkać, ale nie wiem kiedy i czy prędko. Że tam wszystko jest — i znałam tamte ściany i podłogę, która nie skrzypi. Że chodząc z kąta w kąt wydeptałam własną ścieżkę, ścieżkę mego życia w lesie moich ścian. Że byłam tam wesółą w poniedziałki i wtorki i znałam rozkosz niedzieli w bieliźnie, między jednym a drugim tapczanem, kiedy można było zapalać lub gasić światło, lub grzać się przy kominku, lub chłodzić się w piwnicy.

Potem zgubiłam ślad i już wrócić nie mogłam, a wciąż jestem na tropie. Może by trzeba ogłosić się w gazecie: tak... i tak... Szukam swego domu i nie wiem, czy jest w tym mieście,

czy u kresu dróg. Czy powinnam doń iść daleko, czy szukać go w pobliżu za rogiem. I nie wiem, czy jeszcze umiem siadać na parapetach i patrzeć w dół, bo już teraz wiem, że można spaść i że spadanie boli i że nie ma końca...

Człowiekowi bez twarzy...

Człowiekowi bez twarzy, temu kogo spotkałam lub chciałam spotkać, temu który dał mi różę, żółtą różę na śniegu, a może tylko myślał o róży — nisko się kłaniam. Jeśli go spotkacie w barze, za rogiem, na ulicy, czy w kolejce do kina, a poznać go nie trudno, bo przecież nie ma twarzy, powiedzcie mu, że czekam i że ślę mu *priwiet*. Powiedział kiedyś „Jutro”. Jutra przeszły, spadło wiele kartek z kalendarza i żółta róża uschła, a ja wciąż stoję patrząc w jego okna. Może go tam zobaczę, za szybą, z książką w ręku, ze szklanką małej czarnej. Tyle się przepaliło uczuć, tyle słów przełknięto przy kawie, upadł jeden domek z kart i ostatnia nadzieja spłynęła do rynsztoka ze śniegiem. Jutro znowu będzie jutro, ale dzisiaj wołam: Przyjdź!

Człowiekowi bez twarzy, który rzucił na mnie cień, który patrzył na mnie nie patrząc i wołał mnie nie wołając, który był ze mną nie będąc i został, mimo że odszedł, poprzez dnie i noce ślę *priwiet*. Przyjdź! Obudzę się ze snu. Przyjdź! kupię ciastka i wyjrzy spod śniegu wiosenny strzępek trawy. Czekam wciąż znaku, zaklęcia, jednego ruchu ręki. Gdy mnie wezwiesz, pójdę, zupa wykipi z garnka, pieczeń spali się w piecu (dobra pieczeń barania), a ja pójdę wprost przed siebie, nie zacierając śladów, nie paląc żadnych mostów, bo trzeba będzie wrócić, zdjąć pieczeń z ognia (dobrą pieczeń baranią). Dziecko powie: „Mamo, kiedy będzie obiad?”.

Pochylona nad otwartą walizką czekam ciągle znaku. Może przyjdzie jutro, może przyjdzie pojutrze, słów parę na bibułce, biały gołąb pokoju, przyklejony ze znaczkiem. Pochylona czekam, myśli zbieram i nie wiem, co mam zabrać. Może mi się przyda biały gołąb pokoju i palma Wielkanocna, palma z nieśmiertelników? Może trzeba zabrać wszystkie myśli podarte i wrzucone do kosza, może trzeba zdmuchnąć nawet popiół wspomnień. Może trzeba mieć dużo odwagi, aby temu człowiekowi spojrzeć w oczy, bo ten człowiek nie ma twarzy...

Czemu inni mają twarze, a Ty nie? Czemu inni mają słowa, a my nie? Że mówimy do siebie w milczeniu, podzieleni a ciągle razem, że już mi ciąży czasem Twoja nieobecna obecność, ten wieczny żal za czymś, czego nie było, za czymś, czego nie będzie, jak ta róża na śniegu. Zupa kipi w garnku, pieczeń smaży się

w piecu. Czy mam ci przywieźć różę, czy mam ci przywieźć palmę, czy mam ci przywieźć pieczeń? Pieczeń i ja. Czy to mało, czy dużo? Czy wystarczy na dzisiaj, czy wystarczy na jutro, czy wystarczy na wczoraj? Czy te nieśmiertelniki grobem pachną, czy niebem?

Człowiekowi bez twarzy *message* ślę, szukając światła w nocy. Kraczą nade mną wrony, duże, czarne i złe i spacerują w śniegu, zanurzając dzioby i skrzydła. Boję się wron i myśli złych i ludzi, którzy dziobią. Tonę w powodzi czarnych piór. Wołam Cię. Nawet gołąb nie pomoże, ani palma, ani pieczeń. Wołam Cię.

Dziecko powiedziało: „Mamo, już ciemno, czy mam zapalić światło”?

Danuta Irena BIENKOWSKA

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU” — Za \$ 6.00 rocznie przychodzić będzie do Ciebie dwa razy na tydzień — to największe pismo Polonii Kanadyjskiej.

Wiersze

W I E K X X

*Udajemy radość
w ogrodach
zwiędtych kwiatów
na suchej gałęzi
zawieszamy
ptaka z odpustu
wypchanego trocinami
który nocą
nakręcony na czas
udaje słowika.*

*Udajemy miłość
w sypialniach
bez łóżek
o ścianach z lustrami.*

*Udajemy nieszczęścia
wymyślnym
kostiumem nędzarza
i ciemnymi szklami
ślepcy.*

*Udajemy przyjaźń
chudymi sercami
wykarmionymi
pustką
w domach
skąpego czasu.*

S Ł O W A

*progami ust
całowane
w niepewnym kroku
ślepcy
na obcej ulicy
nie przeniknęły
żrenicy serca
a zęby
brama rozumu
nie poszarpały
ich narodzin.*

T A N I E C

*w skoku
twarz niespokojnej wody
z twarzą ognia
zmienne
twarze miłości
zmienne
maski tańca*

*twarzy spopielatej
kiedy przyjdzie pętać
mądrością żyć tylko
zapomnieć o grzechu
przez linie zmarszczek
wyskokiem
uśmiech ostatni
najwyższy
osiągnie rekord.*

D Ł O Ń

*bez oczu
palce
struny*

*nut światła pełne
wyśpiewać mogły
tkance serca
kolor włosów
skóry ciepło
a w czerni
wyrysować
profil głowy*

*ona
poda ramię
śpiewającej
dłoni.*

Krystyna BEDNARCZYKOWA

D W I E W I E Ż E

*Wieża tak
wieża nie
dwie wieże bełkotu*

*Na głuchym pniu
samotnie
nad przepaścią mieszkać
wtedy złoty ptak*

*Wtedy z nas wróżą
(w piątki na półtora)*

*na sztandarach niosą
dobrze umierają*

*orzą swe dziedzictwo
biczów i przysłowia*

*wierzą w piękny lot
i czas gwiazdozbioru*

*Wieża tak
wieża nie
dwie bełkotu wieże*

*cip cip
nakręcane
graby ich zegarów:*

*Konieczność Dziejowa
Jednostka i Naród*

*raz złapią
i na zawsze
cipa na posyłki
pocztowy gołąb*

LUSTRO

*To było dziwne lustro
i bardzo głębokie
i mieszkała w nim Pani
podobna do mamy*

*Siedziały z sobą często
z rozczesanym wzrokiem
i o czymś bardzo ważnym
namiętnie milczały*

*I ja tam raz spojrziałem
stojąc na szufladzie
w środku był inny chłopak
pewno syn tej Pani
i język mi pokazał
i ja mu też*

*Nigdy przedtem nikomu
tak nie uczynilem
to ten inny chłopak
on złego mnie uczył*

*Ale to było dawno
bardzo dawno temu
i już nie pamiętam
kiedy się rozbiło*

Ciekawe czy on żyje
czy urósł i czy wie
jak ja się strasznie bałam
że tak zostaniemy

z wywieszonym językiem
długim nieskończenie

i że się zamknie z nami
dębowa szuflada
że śmiać się po nas będą
cyniczne grzebień

SEN TZW. WIECZNY

Uśmiechający się przez sen
powiedzmy śródletni
mają tylko blady
błędny cień uśmiechu
— westchnienie go rozwieje

Uśmiechający się przez sen
tzw. wieczny
im widać wszystkie zęby

Dlaczego myślicie oni
śmieją się tak
„całą gębą”?
Czy przypadkiem nie z nas
że ich optakujemy?

Leżą sobie
w ziemi obiecanej
wśród cyprysów
pod kołdrą z kamienia
zdmuchnęli swoje gwiazdy
i spokojnie śnią
ten ich sen
ten ich sen
wieczny

— to jest nas
jak dobijamy rano
na trzeszczących tratwach
do brzegu dnia
skaczemy
każdy w swoją skórę
szukamy butów
w lustrze
i pod łóżkiem twarzy
mówimy be
baran do owcy
spóźnię się cholera

Nie zazdroszczą nam
poznali koszmar życia
swoje odsypiają

zagrane mają wszystkie
karuzeli konie

zegary za nich pracują

Jan DAROWSKI

Problem centralny XX wieku

Czy musiało dojść do likwidacji imperializmu brytyjskiego i francuskiego w Afryce? Czy Sowiety są istotnie bezwzględnym przeciwnikiem kolonializmu?

Sumienny badacz i naukowiec Walter Kolarz na którego pośmiertnie wydanej książce pt. „Communism and Colonialism” — w znacznej mierze opieram niniejszy artykuł — odpowiada negatywnie na powyższe pytania.

Antykolonializm sowiecki jest warunkowy. Komuniści są przeciwnikami kolonializmu tylko w wypadku gdy dane mocarstwo imperialne posiada rząd nie-komunistyczny. Gdyby Francja, Wielka Brytania, Belgia czy Portugalia były mocarstwami komunistycznymi o de-kolonizacji ich zamorskich posiadłości nie byłoby mowy.

Francuska partia komunistyczna dwukrotnie opierała się polityce de-kolonizacji. W okresie „frontu ludowego” jeszcze przed wojną, oraz w latach 1945-47, kiedy komuniści wchodzili w skład rządu.

Gdyby w epoce „frontu ludowego”, lub w latach 1945-47 komuniści doszli do władzy — wówczas kolonie francuskie pod inną nazwą pozostałyby pod zwierzchnictwem Paryża. Ludy afrykańskie dzieliłyby los Uzbeków, Gruzinów i Ukraińców. Wolno jednak przypuszczać, że rządy francuskich komunistów byłyby w porównaniu z sowieckimi znacznie bardziej światłe i ludzkie.

Problem tzw. „trzeciego świata” — jest zespołem zagadnień rasowych, narodowościowych, religijnych i językowych. Sprawy gospodarcze stanowią problem oddzielny.

Marksizm jako doktryna jest całkowicie bezradny wobec kompleksu tych problemów. „Stapianie się” języków i narodów, podobnie jak „obumieranie państwa” — to są nonsensy nie wymagające komentarza.

Weźmy dla przykładu kwestię murzyńską. Rzeczoznawca Kominternu, Japończyk Sen Katayama stwierdził w roku 1928 —

że Murzyni stanowią najbardziej rewolucyjny element w Ameryce i odpowiednio zorganizowani mogą zaważyć na losach kontynentu. Stworzono specjalny wydział Kominternu dla spraw Murzynów amerykańskich a wyliczenie wszystkich organizacji „frontu murzyńskiego” zajęłoby dwie strony druku.

Obiektywnie należy uznać, że propaganda sowiecka w pewnej mierze skupiła uwagę na zagadnieniu murzyńskim, a tym samym przyspieszyła ewolucję tego problemu w Stanach Zjednoczonych. Lecz również należy stwierdzić, że problem Murzynów amerykańskich, który stanowił olbrzymią szansę dla komunizmu w sferze problemów rasowych — przyniósł komunizmowi całkowitą klęskę.

W roku 1938 — około 13.000 Murzynów amerykańskich (mniej niż jeden procent) należało do partii komunistycznej. Po zawarciu paktu Mołotow-Ribbentrop — zaczął się masowy odpływ. Amerykańscy komuniści głosili wówczas politykę appeasement'u w stosunku do Hitlera — rasisty i sojusznika Mussoliniego, który podbił Abisynię, afrykańskie niepodległe królestwo.

Gdy w czerwcu 1941 — Hitler uderzył na Rosję — Kreml wydał instrukcję komunistom amerykańskim, by bezlitośnie zwalczali wszystko co grozi zwolnieniem tempa amerykańskiej produkcji. Propagandę na rzecz równouprawnienia Murzynów uważano wówczas w Moskwie za zdradliwy sabotaż wysiłku wojennego.

Lecz niezależnie od powyższych faktów komunizm zawiódł, ponieważ marksizm-leninizm nie ma odpowiedzi na te problemy. Theodore Draper w książce pt. „American Communism and Soviet Russia” — stwierdza, że Kreml polecił amerykańskim komunistom wysunąć postulat samostanowienia dla Murzynów amerykańskich. Wyrazem owego samostanowienia miało być utworzenie „Murzyńskiej Sowieckiej Republiki” w stanach południowych. Jeszcze kilka lat temu sowieccy „spece” wysuwali ten obłąkany pomysł.

Innymi słowy, sowieccy komuniści doradzali przekształcenie Stanów Zjednoczonych w Afrykę Południową z „apartheid” doprowadzonym do perfekcji. Utworzenie republiki czy stanów czysto murzyńskich byłoby równoznaczne z usankcjonowaniem rasowej segregacji. Specjaliści moskiewscy długo nie mogli pojąć, że Murzyni amerykańscy uważają się za Amerykanów, dumni są ze swej amerykańskości i walczą o równouprawnienie w swojej ojczyźnie.

Nim jednak w Moskwie poddano rewizji ideologię i politykę „frontu murzyńskiego” — na arenie politycznej pojawił się nowy czynnik, który całkowicie zmienił sytuację. W sprawie murzyńskiej w Ameryce zaczęły wywierać nacisk nowo-powstałe niepodległe państwa afrykańskie a czarni dyplomaci w Waszyngtonie i w ONZ stali się widomym symbolem świeżo zdobytego równouprawnienia czarnej rasy.

Komuniści sowieccy przegrali nie tylko jedną ze swych największych kart, lecz zademonstrowali również światu całkowitą

nieudolność tak w zrozumieniu jak i w rozwiązywaniu konfliktów rasowych i narodowościowych.

Komuniści nie mogą rozwiązywać skutecznie zamorskich problemów rasowych, ponieważ wykazują lekceważenie i pogardę dla tych zagadnień u siebie w domu, w orbicie świata komunistycznego.

Klasycznego przykładu w tej dziedzinie dostarczają nieszczęśliwi Kazacy. Po stronie sowieckiej język kazacki „wzbogacany” jest forsownie wyrazami rosyjskimi i oczywiście pisany jest i drukowany w alfabecie rosyjskim. Po drugiej stronie granicy Chińczycy narzucili Kazakom alfabet łaciński, w którym drukuje się książki, podręczniki szkolne itd. Język „chińskich” Kazaków — jak głosi oficjalne rozporządzenie Pekinu z 1962 r. — będzie „poszerzany i wzbogacany” wyrazami zaczerpniętymi z języka chińskiego. Celem tej operacji jest utworzenie z Kazaków „chińskich” odrębnej grupy etnicznej.

Identyczną politykę stosują Rosjanie w Mołdawskiej SRR. Język mołdawski jest w gruncie rzeczy językiem rumuńskim. Różnice są minimalne. Władze sowieckie narzuciły Mołdawianom alfabet rosyjski „wzbogacając i poszerzając” przy tej okazji język mołdawski wyrazami rosyjskimi. I w tym wypadku chodzi o stworzenie odrębnej grupy etnicznej w myśl klasycznej zasady *divide et impera*.

Komuniści sowieccy są niezdolni do rozwiązywania problemów rasowych i narodowościowych ponieważ zainteresowani są wyłącznie własną polityką imperialistyczną.

Jak wiemy nacjonalizm z definicji jest burżuazyjny i reakcyjny. Niepodległość i wyzwolenie z jarzma kolonialnego w Afryce i w Azji przynieść mogły tylko ruchy postępowe kierowane przez komunistów. Bezpieczeństwo Związku Sowieckiego wymagało by „ludom radzieckiem” proces de-kolonizacji w Afryce i w Azji przedstawić jako fałsz. Dopóki nacjonalizm burżuazyjny osądzano nie tylko za reakcyjny, lecz również za niezdolny do wywalczenia prawdziwej niepodległości — dopóty ludy sowieckie trzymać było można w izolacji i niewiedzy. Można było tłumaczyć sowieckim ludom Azji, że nie mają powodu zazdrościć Nigerii czy Ghanie — bo w rzeczywistości są to ofiary neo-kolonializmu, a nie państwa niepodległe.

Lecz tej fikcji nie dało się utrzymać. W roku 1962 w jednej z oficjalnych publikacji Sowieckiej Akademii Nauk — stwierdzono z rozbrajającą szczerością, że walkę przeciwko imperializmowi w Indiach, Burmie, Ceylonie, Syrii, Egipcie itd. — prowadziła nacjonalistyczna burżuazja.

Klaus Mehnert (Niemiec urodzony w Rosji, który wiele lat spędził w Sowietach i w Chinach) opisuje w swojej książce pt. „Peking und Moskau” następujący epizod:

Mehnert brał udział w przyjęciu wydanym na cześć Chruszczowa w czasie jego pobytu w New Delhi w styczniu 1960 r. Nehru otoczony był tłumem korespondentów zagranicznych. W pewnym momencie dwóch Rosjan ze świty Chruszczowa postano-

wiło za wszelką cenę dotrzeć do Nehru. Jeden z nich zaczął energicznie rozpychać się łokciami i powiedział do stojącego przed nim dziennikarza induskiego: „zrób pan miejsce bo mój towarzysz jest zięciem Chruszczowa”. Na to ów dziennikarz nie ruszywszy się z miejsca odpowiedział: „pański towarzysz może być zięciem Chruszczowa, ale ja nie jestem Czechem tylko Hindusem”.

Poczucie godności i dumy trudne jest do pogodzenia z satelitem, a jeszcze trudniej pogodzić je z kolonializmem.

Kreml od roku 1954 zaczął posługiwać się na terenie Afryki i Azji dyplomatami pochodzenia azjatyckiego. Pierwszym sowieckim ambasadorem w Togo był muzułmanin Dżabar Rasulew z Tadżyckiej SRR. Następcą jego został Uzbek Anwar Kuchkarow. Przykładów tego typu można by przytoczyć więcej. Lecz Tadżyk czy Uzbek akredytowany przy rządzie afrykańskim czy azjatyckim — nie reprezentuje swojej ojczyzny tylko Związek Sowiecki. Nie reprezentuje nawet kolonii, którą *de facto* jest jego ojczyzna — lecz reprezentuje „rasę panów”, którzy jego ojczyznę skolonizowali. Jednak i to nie jest jeszcze wszystko. Ten sam Uzbek, który w Togo reprezentuje Związek Sowiecki — w Uzbekistanie nie ma prawa reprezentować Uzbeków, ponieważ o wszystkich istotnych sprawach decydują nie Uzbeki lecz Rosjanie.

W epoce w której de-kolonizacja objęła kontynenty — czy jest rzeczą możliwą wyizolowanie Rosji z tego historycznego procesu?

Kolarz w cytowanej książce wysuwa następującą tezę:

„Albo nacjonalizm afro-azjatycki dokona ideologicznego podboju Sowietów powodując w konsekwencji de-kolonizację Związku Sowieckiego — albo komunizm zniweczy afro-azjatycki nacjonalizm ratując w konsekwencji kolonialne imperium sowieckie. Jesteśmy dopiero na starcie tej gigantycznej walki”.

Istnieje szereg sprzeczności w polityce sowieckiej, które na dalszą metę grać będą na korzyść ruchów nacjonalistycznych. W pierwszym rządzie istnieje zasadnicza sprzeczność pomiędzy sowieckim prawem konstytucyjnym a praktyką.

Istnieje również sprzeczność pomiędzy statusem republik sowieckich a państwami satelickimi.

Z teoretyczno-prawnego punktu widzenia Kazachstan, Armenia czy Litwa są władne mianować i odwoływać własnych posłów i ambasadorów akredytowanych przy rządach obcych państw. W przeciwieństwie do państw satelickich republiki sowieckie nigdy nie były w możności zrealizowania powyższych konstytucyjnych uprawnień.

Małe Węgry mają własnych ambasadorów we wszystkich ważniejszych stolicach świata, a wielka Ukraina nie ma nigdzie ani poselstw ani ambasad. W Kijowie istnieją polskie i czechosłowackie konsulaty, lecz ukraińskich konsulatów nie ma ani w Warszawie, ani w Pradze ani nigdzie.

W sensie ideologiczno-ustrojowym pomiędzy Polską a Ukrainą nie ma żadnej różnicy. Tak Polska jak i Ukraina są państwami komunistycznymi i należą do tego samego sowieckiego obozu.

Jednak w płaszczyźnie narodowej różnice są olbrzymie. W Polsce nie istnieje ponad-narodowa partia komunistyczna. Nie ma „ludzi radzieckich”, istnieje natomiast Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, która w pewnym sensie jest partią narodową. Innymi słowy, w Polsce czy na Węgrzech narodowy komunizm jest legalny, a na Ukrainie czy w Uzbekistanie stanowi niebezpieczne odchylenie. Ukraiński przywódca komunistyczny, który zechciałby być Gomułką — wyładowałby w więzieniu.

Mongolska Republika Ludowa, która składa się z pustyni i niepełnego miliona mieszkańców — jest członkiem ONZ. Natomiast status członka organizacji Narodów Zjednoczonych jest niedostępny dla Armenii czy Gruzji — mimo, że tytuły historyczne obu powyższych republik i narodów nie mogą być nawet porównane z tytułami „ludowych” Mongołów.

Jeżeli przyjąć, że o statusie państwa komunistycznego przesądza granica z Rosją Sowiecką — to należy stwierdzić, że dywizjom sowieckim jest równie blisko (czy daleko) do Kijowa jak do Warszawy. Polska posiada setki kilometrów wspólnej granicy z Rosją i w roku 1945 nie byłoby żadnych trudności w narzuceniu Polsce statusu sowieckiej republiki. Przeciwnikiem koncepcji 17-tej republiki był nie Bierut, lecz Stalin. Stalin uważał, że Rosjanie muszą stanowić narodową większość w Związku Sowieckim. Tym samym doktryna „narodu radzieckiego” została zde-maskowana. „Człowiek Radziecki”, podobnie jak „czarny Francuz” jest narzędziem imperialistycznej polityki. Z chwilą gdy Francja zdekolonizowała swoje imperium — „czarni Francuzi” zniknęli ze sceny. Murzyni chcą być Murzynami a nie Francuzami — podobnie Gruzini chcą być Gruzinami a nie „ludźmi radzieckimi”.

Gdyby państwa satelickie były republikami związkowymi, gdyby Rosjanie zarówno w partii komunistycznej Związku Sowieckiego jak i naczelnych organach federacji stanowili mniejszość — wówczas nikt nie mógłby posądzać Rosjan o imperializm. Koncepcja „człowieka radzieckiego” w takim ujęciu byłaby próbą wytworzenia typu międzynarodowego komunisty. Jednak „człowiek radziecki”, jeżeli miałby być ideałem międzynarodowego komunisty — nie mógłby równocześnie stanowić „super-ego” człowieka rosyjskiego.

Rosjaninem trzeba się urodzić, natomiast „człowiekiem radzieckim” może być każdy bez względu na pochodzenie i kolor skóry. Poprzez koncepcję „człowieka radzieckiego” rosyjskość została narzucona dziesiątkom milionów cudzoziemców. Bo tylko dla Rosjan obywatelstwo radzieckie nie oznacza wynarodowienia i tylko dla Rosjan siły zbrojne Związku Radzieckiego są w równej mierze rosyjskie jak i radzieckie. W sumie należy stwierdzić, że idea „człowieka radzieckiego” jest narzędziem internacjonalizacji poprzez rusyfikację.

W rosyjskim bloku wschodnim na dłuższą metę nie mogą istnieć obok siebie dwa typy komunizmu tj. radziecki i satelicki, nie można bowiem w Kijowie uważać za zbrodnię nastawienia,

które w Warszawie czy w Budapeszcie uważa się za legalne i zgodne z doktryną.

Nikt nie idzie na barykady by walczyć o powszechne i wolne wybory do parlamentu. Znakomita większość ludzi pojmuje wolność w kategoriach narodowych.

Pal Maleter (szkic biograficzny o tym rewolucyjnym generale przynosi V Zeszyt Historyczny „Kultury”) nie walczył ani o parlament, ani o demokrację ani o wolność prasy. Bojownikiem o wolność Węgier stał się dopiero, gdy zobaczył czołgi sowieckie na ulicach Budapesztu.

Maletera, mimo jego orderów sowieckich, mimo, że był i pozostał przekonanym komunistą — Rosjanie rozstrzelali, ponieważ stanął na czele anty-kolonialnej rewolucji.

W ramach radziecko-satelickiej doktryny komunistycznej nie jest rzeczą możliwą rozwiązanie jakiegokolwiek problemu narodowościowego czy rasowego. Doktryna radziecko-satelicka reprezentuje kolonializm dwustopniowy. Państwa satelickie korzystają z największego uprzywilejowania, lecz równocześnie wielkie narody radzieckie jak Ukraińcy nie mają żadnej szansy zdobycia statusu satelickiego, który przysługuje małej Albanii. W systemie sowieckim kolonie nie awansują do statusu dominiów — lecz przeciwnie, status dominialny jest wstępem do statusu kolonialnego. Bliżej jest Polsce czy Węgrom do statusu republiki radzieckiej, niż Ukrainie do statusu państwa satelickiego.

Czy jest rzeczą możliwą zde-kolonizowanie systemu sowieckiego? Jeżeli wyłączymy z naszych rozważań wojnę i kontr-rewolucję — to należy stwierdzić, że de-kolonizacja Związku Sowieckiego musiałaby oznaczać likwidację partii komunistycznej ZSSR. Rosjanie mają prawo do własnej narodowej partii komunistycznej, podobnie jak każdy inny naród w bloku wschodnim. Nie mają jednak prawa do ponad-narodowej partii, która w gruncie rzeczy jest administracyjno-polityczną organizacją narodu panującego.

Kolarz w swojej książce kontrastuje losy Turkiestanu z Nigerią. Turkiestan mógł dziś stanowić zjednoczone narodowe państwo — lecz imperializm sowiecki do tego nie dopuścił. Nigeria, która była mozaiką szczepów stała się państwem i narodem dzięki wspólnemu wysiłkowi nacjonalistów nigeryjskich i Brytyjczyków. W roku 1960 Nigeria uzyskała niepodległość a zjednoczeni Nigeryjczycy są dziś największym narodem na czarnym lądzie.

W tym wypadku nie chodzi o wybielanie zachodnio-europejskich kolonialistów tylko o stwierdzenie faktu. Faktem natomiast jest, że w Afryce ludzie nie wybierają pomiędzy kapitalizmem a socjalizmem tylko pomiędzy kolonializmem a niepodległością. Jak pięknie zauważył Sekou Touré istnieje znacznie większa przepaść pomiędzy kolonializmem a wolnością — niż pomiędzy kapitalizmem a socjalizmem. Sądzę, że w tych słowach mieści się postanie ludów Afryki dla narodów „radzieckich” i „satelickich”.



Lektura książki Kolarza, niestety niedokończonej, nasuwa wiele refleksji.

O jakichkolwiek zmianach istotniejszej natury nie może być mowy dopóki komunizm nie jest zdekolonizowany. W ramach imperialistycznego komunizmu nie ma miejsca ani na rewizjonizm ani na policentryzm.

Komunizm imperialistyczny jest po prostu stalinizmem. Rosjanie wzdragają się odstąpić od stalinizmu ponieważ, po pierwsze, są urodzonymi imperialistami, a po drugie, nie wypracowali żadnej doktryny zastępczej.

Losy komunizmu zależą będą od tego czy okaże się rzeczą możliwą łączyć ustrój komunistyczny z niepodległością.

Wiadomo, że niepodległość jest jednym z kardynalnych bodźców ekonomicznych.

Gospodarki kolonialne i satelickie są niewydajne.

Carowie i Stalin byli w daleko lepszej sytuacji niż Chruszczow i jego następcy. Wówczas bowiem nie tylko car rosyjski uprawiał imperialistyczną politykę, lecz w różnych wydaniach uprawiały ją wszystkie mocarstwa europejskie. Kolonizatorzy i ciemniężyciele asekurowali się nawzajem.

Można mieć socjalizm w jednym kraju — lecz czy można mieć kolonializm w jednym imperium w całkowitej izolacji od reszty świata?

Sowiety mogłyby utrzymać swoje imperium kolonialne tylko wówczas gdyby w Afryce i w Azji sowieckim imperializmem zastąpiły zlikwidowany imperializm brytyjski i francuski. Nie wydaje się by to było możliwe.

Jak wynika z świetnego jak zawsze szkicu Borysa Lewickiego („Dwa oblicza sowieckiej polityki narodowościowej”, „Kultura” nr 194) w Sowietach toczy się dyskusja nad problemami autonomii, narodowości, roli języka rosyjskiego itd. Nie wszyscy uczestnicy tych dyskusji są szowinistami — wielu wykazuje dobrą wolę i zrozumienie. Lecz program partii jest w dalszym ciągu stalinowski.

Niewątpliwie narzucenie języka rosyjskiego i stworzenie jednego „narodu radzieckiego” jest pewną koncepcją polityczną. Trudno oprzeć się wrażeniu, że partia forsuje stalinowską politykę ponieważ nie ma innych koncepcji a Chruszczow i jego koledy łudzą się, że przyspieszenie realizacji tego programu uwolni ich od współczesnych rozwiązań problemów narodowościowych. Oczywiście gdyby dziś proces rusyfikacji narodów wchodzących w skład Związku Sowieckiego był już zakończony — problem narodowościowy przestałby istnieć.

W praktyce jednak szowinistyczna polityka partii zaostcza tylko ów problem i jeszcze wydatniej kontrastuje kolonializm sowiecki z niepodległościową ewolucją narodów w Afryce i w Azji.

Gdyby obserwator zagraniczny powiedział Chruszczowowi, że jeżeli Związek Sowiecki pragnie uniknąć wielkich wstrząsów powinien przekształcić się w „commonwealth” niepodległych republik — premier sowiecki roześmiałby się od ucha do ucha. Lecz gdyby ktoś carowi na kilka miesięcy przed rewolucją powiedział, że niebawem „Międzynarodówka” zastąpi „Boże Cara chrań” — roześmiałby się niemiłej szczerze.

Cierpliwy Czytelnik zapyta w tym miejscu: skoro de-kolonizacja jest przesądzona, dlaczego Sowiety zdają się być wyjęte spod tego prawa?

Odpowiadam następująco: Mimo, że w walce wyzwolenczej w Azji i w Afryce przywodzili nacjonaliści — Sowiety prowadziły międzynarodową kampanię anty-kolonialną wymierzoną przeciwko mocarstwom zachodnim. Komuniści przyczynili się w znacznej mierze do wytworzenia anty-kolonialnego „trendu” w opinii społecznej wolnego świata.

A co uczynił Zachód, by zdekolonizować Związek Sowiecki? Odpowiedź brzmi: *nic*. Gdyby Ameryka, Anglia i Francja prowadziły tej skali antykolonialną kampanię przeciwko Sowiетom — jaką prowadziły i prowadzą Sowiety przeciwko Zachodowi — być może proces de-kolonizacji objąłby już dziś i ludy „radzieckie”.

Antykolonialna rewolucja budapeszteńska upadła na skutek braku poparcia z zewnątrz — komunistyczna rewolucja kubańska utrzymała się dzięki poparciu z zewnątrz.

Choć to jest oklepany frazes, trzeba powtórzyć, że mimo bierności Zachodu — czas gra przeciwko Sowiетom. Gra przeciwko nim w tym sensie, że ogólny awans ludów kolorowych Afryki i Azji postępuje szybciej niż rusyfikacja ludów radzieckich.

De-kolonizacja Związku Sowieckiego jest problemem nr 1 XX wieku i gdyby ludy Afryki i Azji przyczyniły się do rozwiązania tego kardynalnego zagadnienia — ich wpływ zaważyłby decydująco na losach świata.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

PROTEST

„Do Pana Premiera Józefa Cyrankiewicza — Warszawa.

Ograniczenie przydziału papieru na druk książek i czasopism oraz zaostrzenie cenzury prasowej stwarzają sytuację zagrażającą rozwojowi

kultury narodowej. Niżej podpisani uznając istnienie opinii publicznej, prawa do krytyki, swobodnej dyskusji oraz rzetelnej informacji za konieczny element postępu, powodowani troską obywatelską domagają się zmiany polskiej polityki kulturalnej w duchu praw zagwarantowanych przez konstytucję Państwa Polskiego i zgodnych z dobrem narodu.

Podpisali:

Leopold Infeld, Maria Dąbrowska, Antoni Słonimski, Paweł Jasienica, Konrad Górski, Maria Ossowska, Kazimierz Wyka, Tadeusz Kotarbiński, Karol Estreicher, Stanisław Pigoń, Jerzy Turowicz, Anna Kowalska, Mieczysław Jastrun, Jerzy Andrzejewski, Adolf Rudnicki, Paweł Hertz, Stanisław Mackiewicz, Stefan Kisielewski, Jan Parandowski, Zofia Kossak, Jerzy Zagórski, Jan Kott, Wacław Sierpiński, Kazimierz Kumaniecki, Artur Sandauer, Władysław Tatarkiewicz, Edward Lipiński, Melchior Wańkowicz, Stanisław Dygat, Adam Ważyk, Marian Falski, Jan Szczepański, Julian Krzyżanowski, Al. Gieysztor”.

Od bardzo długiego czasu sugerowaliśmy na łamach „Kultury” zbiorowe wystąpienie pisarzy i naukowców polskich w obronie podstawowych praw kultury narodowej. Protest jest tym skuteczniejszy i tym mniejsze pociąga za sobą ryzyko represji, im jest bardziej masowy.

Niestety wyżej zacytowana lista, choć zawiera wybitne i czcigodne nazwiska — jest bardzo niekompletna. Uderza brak młodych pisarzy i humanistów, brak pisarzy i naukowców, członków partii i wreszcie brak tzw. „rewizjonistów”.

Oczywiście można powiedzieć, że... młodzi mają przed sobą życie — członkom partii groziło wydalenie — a najboleśniejsze ciosy represji spadłyby na rewizjonistów. Z całą pewnością w ten sposób rozumowano, lecz w rezultacie, protest zamiast reprezentować kulturę narodową jest tylko protestem „pokoleniowym”.

„Neue Zürcher Zeitung” z dnia 8 kwietnia br. przyniosła spis nazwisk podpisanych pod protestem. Świetne pismo szwajcarskie podało tę wiadomość jako pierwsze. Następnie zainteresowały się tą sprawą inne pisma. W następnym numerze omówimy rezonans Protestu w prasie światowej.

Prasa i periodyki zachodnie mogłyby wywierać znacznie większy nacisk i znacznie skuteczniej niż dotychczas mobilizować opinię wolnego świata w obronie polskiej kultury. Trzeba by jednak przewyciężyć kilka paradoksów.

W większości pism zachodnich pokutuje do tej pory „mit październikowy”, który znakomicie harmonizuje z polityką koegzystencji. Nie mamy nic przeciwko polityce koegzystencji pod warunkiem, że nie opiera się jej na sfałszowanym obrazie rzeczywistości.

Na Zachodzie istnieją specjalne instytucje przeznaczone do kontaktów i do oddziaływania na kraje Europy wschodniej. Są to przeważnie instytucje amerykańskie, które odzwierciedlają politykę Waszyngtonu.

Amerykanie darzą nas tradycyjną przyjaźnią i skłonni są nawet w komunistycznej Polsce dopatrywać się rzeczy, których nie ma. Ponieważ owa klisza komunistycznej wprawdzie lecz „liberalnej”, dowcipnej, wygadanej Polski znakomicie odpowiada polityce koegzystencji — daleko łatwiej znajdują wspólny język z cytowanymi amerykańskimi instytucjami „koegzysten-

cyjni" intelektualiści krajowi niż „buntownicy”. Im więcej będzie mowy o „nie szkodzeniu”, „nie prowokowaniu” itp. — tym lepiej.

W ten sposób, zamiast oddziaływać na Amerykanów, firmujemy kurs, który nie zawsze dla nas jest korzystny.

Łatwo jest wysunąć zarzut, że wzmiankowane instytucje amerykańskie i ich współpracownicy inspirowani są przez polityczne czynniki amerykańskie. Nikt nie może oczekiwać, by instytucje finansowane z kieszeni podatnika amerykańskiego prowadziły inną niż amerykańska politykę. Lecz Stany Zjednoczone nie są Związkiem Sowieckim i omawiane instytucje korzystają ze znacznej samodzielności. W moim przekonaniu (opartym na doświadczeniu) „ko-egzystencyjni” intelektualiści z Europy wschodniej utwierdzają owe instytucje w przekonaniu, że byle nie protestować zbyt głośno, byle nie krytykować zbyt jaskrawo — to wszystko z czasem jakoś się ułoży. Odnoszę również wrażenie, że w pewnych, ugodowo nastrojonych kołach intelektualnych w Polsce — niektóre z owych amerykańskich instytucji są bardziej popularne niż paryska „Kultura”, która uporczywie przypomina, że „król jest nagi”, a jak wiadomo „król” bardzo tego nie lubi.

Oczywiście odgrywa w tym wszystkim rolę i polityka paszportowa. Łatwiej otrzymują paszport intelektualiści, którzy nie protestują. „Protestanci” i „rewizjoniści” muszą zadowolić się Ciechocinkiem albo albo Krynicią. Nie dla nich Paryż, Londyn czy Nowy Jork.

Toteż należy z tej sprawy wyciągnąć konkretne wnioski. Jeżeli emigracja polityczna ma chociaż częściowo spełniać funkcję niezależnej polskiej opinii społecznej — winniśmy przeprowadzić bojkot tych pisarzy i naukowców, którzy z protestem nie solidaryzują się. Należy przemilczać ich w prasie, nie sprzedawać w księgarniach ich książek, nie zabiegać o pomoce i stypendia — jednym słowem, trzeba umieścić tych panów na „czarnej liście”.

Oczywiście mógł ktoś nie podpisać protestu nie z własnej winy (choroba, nieobecność itp.). Wiemy również, że były wypadki zarówno wycofywania złożonych podpisów jak i późniejsze akcesy do akcji protestacyjnej.

Gdy niniejszy numer „Kultury” dojdzie do rąk naszych Czytelników — szczegóły tej sprawy będą znane i wyjaśnione. Będzie dokładnie wiadomo kto jest „za” a kto „przeciw”. I wówczas ci, którzy odmówią akcesu do akcji protestacyjnej winni spotkać się z konsekwentnym potępieniem tak w kraju jak i na emigracji.

GEOPOLITYKA IMPERIALIZMU

Piszemy „Europa środkowa”, „Europa środkowo-wschodnia”. Co to oznacza? Owe terminy — jeżeli rozpatrywać je jako określenia geograficzne — utraciły wszelką treść. „Europa środkowa” (Central Europe) przestała istnieć. Geografowie amerykańscy dzielą Europę na zachodnią i wschodnią i na tym kropka.

Bismarck napisał kiedyś, że kto rządzi obszarem położonym pomiędzy Rosją a Niemcami rządzi Europą. Lecz dziś nie ma obszaru pomiędzy Rosją a Niemcami. Kto więc rządzi Europą?

Przepaść dzieląca nasze pokolenie od „teenager’ów”, kończących obecnie szkoły — wymierzyć można w pełni przeglądając atlasy dziś obowiązujące.

jące w szkołach. Właściwie wszyscy powinniśmy jeszcze raz przestudiować geografię by zdać sobie w pełni sprawę z treści geopolitycznych przemian.

Przyjrzyjmy się geopolitycznej ewolucji Rosji Sowieckiej od roku 1939:

Sowiety w wyniku drugiej wojny światowej zyskały różne obszary o łącznej powierzchni 265.000 mil kwadratowych. Związek Sowiecki obejmuje dziś powierzchnię 8.606.300 mil kwadratowych i jest większy o równo 50.000 mil kwadratowych od carskiej Rosji, kiedy stała u zenitu swej terytorialnej potęgi w roku 1904.

Zdobyte terytorialne Związków można interpretować rozmaicie zależnie od punktu widzenia danego obserwatora. Na przykład zagarnięcie Małopolski Wschodniej tłumaczy się zwykle jako proces scalenia terytorium zamieszkałego w większości przez ludność ukraińską. Saul B. Cohen w swojej niezmiernie interesującej książce pt.: „Geography and Politics in a World Divided” — podaje jednak inną interpretację tej operacji. W nowym układzie Kraków jest odległy zaledwie o 130 mil od granicy sowieckiej, a co ważniejsze górnośląskie ośrodki przemysłowe znalazły się w odległości 50 mil od granicy sowieckiej. Sowiety zyskały wspólną granicę z Czechosłowacją i z Węgrami a Budapeszt odległy jest o 140 mil od granicy Związku Sowieckiego. Rosja zajmuje obecnie uprzywilejowaną sytuację w basenie naddunajskim, a jej wpływy sięgają Wiednia i Belgradu.

Weźmy inny przykład. W roku 1939 głównymi portami sowieckimi o znaczeniu międzynarodowym były: Odessa, Leningrad, Murmańsk, Archangielsk i Władywostok. Powyższe porty — z wyjątkiem Archangielska były miastami kresowymi. Odessa była odległa zaledwie o 20 mil od granicy rumuńskiej — Leningrad 12, a Murmańsk 50 mil od granicy fińskiej, Władywostok zaś dzieliło tylko 35 mil od japońskiej Mandżurii. Obecnie Odessa odległa jest od granicy Związku Sowieckiego o 50 mil, Leningrad 90 mil, Murmańsk 85 mil a Władywostok chronią południowy Sachalin i satelicka północna Korea.

Niezmiernie interesująco przedstawia się szczegółowa mapa ilustrująca terytorialną ekspansję sowiecką po roku 1939. Patrząc na mapę opracowaną przez Cohena widzi się jak na dłoni, że imperialistom sowieckim przyswiecały dwa cele. Moskwa pragnęła zabezpieczyć się przed agresją niemiecką — oraz uzależnić od siebie państwa satelickie. Polska jest dosłownie w kleszczach sowieckich. Nasza granica z Sowietami jest dłuższa od polsko-czechosłowackiej i polsko-wschodnio-niemieckiej granicy łącznie. Żadne z państw satelickich nie posiada równie fatalnej dyspozycji geopolitycznej jak Polska.

Wykaz terytoriów zaanektowanych przez Sowiety po roku 1939 — obejmuje 17 pozycji. Cohen twierdzi, że proces sowieckiej ekspansji terytorialnej nie jest jeszcze zakończony.

Na tym tle należy rozpatrywać problem Europy środkowo-wschodniej. W roku 1953 ukazała się książka Huberta Ripki pt. „Federacja Krajów Europy Środkowej i Wschodniej”. Polski tekst tej pracy odbity na powieleczu stanowi dziś jeszcze główny materiał propagandowy rozsyłany przez federalistów. Ripka pisze w pierwszym zdaniu cytowanej książki:

„Celem tego studium jest wykazanie konieczności zorganizowania Europy Środkowej i Wschodniej — po jej uwolnieniu z jarzma sowieckiego i komunistycznego — na zasadzie federalnej”.

Nieporozumienie polega na tym, że nie można federalizować czegoś czego nie ma. To nie jest tylko kwestia sowieckiego jarzma i wyzwolenia. Cohen

przekonał mnie całkowicie, że Europy środkowej nie ma i nie byłoby jej również gdyby była wyzwolona. Nawet gdyby Rosja wycofała się z państw satelickich — sfederalizowana Europa środkowo-wschodnia nie stanowiłaby żadnej przeciwwagi w stosunku do Sowietów. Uzależnienie geopolityczne (i gospodarcze) od Rosji trwałoby nadal a Polska, Czechosłowacja, Węgry — choć nie miałyby rządów komunistycznych — byłyby *de facto* państwami satelickimi. Wbrew woli Moskwy nie mogłaby w ogóle powstać żadna federacja.

Wskrzeszenie Europy środkowo-wschodniej byłoby możliwe tylko poprzez przebudowę Związku Sowieckiego. By wskrzesić Europę środkową i wschodnią trzeba zmienić nie tylko ustrój lecz i mapę.

Musimy zmienić definicję „wyzwolenia”. Jesteśmy ofiarami imperializmu sowieckiego w analogicznej mierze jak Ukraińcy czy Gruzini i wyzwolenie tak dla nas jak i dla innych ofiar sowieckiego imperializmu — oznaczać musi de-kolonizację Związku Sowieckiego. Tylko de-kolonizacja i przebudowa Związku Sowieckiego umożliwić mogą — (wybaczcie to słowo) de-satelizację Europy Środkowo-wschodniej.

W tym procesie mogłyby odegrać znaczną rolę państwa satelickie jak Polska, Węgry czy Czechosłowacja. Im pozycja przywódców satelickich będzie bardziej niezależna — im Polska, Czechosłowacja i Węgry bliższe będą niepodległości — tym ich oddziaływanie na narody Związku Sowieckiego będzie większe.

De-kolonizacja Związku Sowieckiego musiałaby oznaczać awans kolonii sowieckich do statusu państw satelickich. Musimy pamiętać, że w orbicie świata komunistycznego status satelicki jest jedyną formą niepodległości dostępną dla państw średnich i małych. Tylko w ramach państwa satelickiego można uchronić się przed russyfikacją jaką niesie z sobą status kolonii sowieckiej. Awans republik związkowych do statusu państw satelickich pociągnąłby za sobą automatycznie upadek koncepcji „narodu radzieckiego”.

Problemem naszych czasów jest pogodzenie nacjonalizmu z ideologią. By to się stało ideologia musi przestać być imperializmem a socjalizm kolo-nializmem.

HUMANISTA

Rozmawiałem niedawno z Kazimierzem Wierzyńskim o Herlingu-Grudzińskim. Wierzyński nazwał go wielkim polskim humanistą.

W tej rozmowie wypowiedziałem pogląd okrutny. Powiedziałem Wierzyńskiemu, że dobrze się stało, że Grudzińskiego wywieźli do Rosji. Dobrze się stało, że wylądował w łagrze, był „dochodzącą” i o mało nie umarł. Dobrze się stało jak się stało, bo inaczej nie byłoby „Innego Świata” — klasycznej i najlepszej książki o „największym doświadczeniu naszych czasów” (Sartre).

Z okazji ukazania się w Penguin Edition „Darkness at Noon” Koestlera — Philip Toynbee napisał, że to jest „classic of our time”.

Książkę Koestlera zdewaluował Chruszczow w swym „tajnym referacie” na XX Zjeździe.

Książka Herlinga-Grudzińskiego nie jest fantasmagorią tylko dokumentem, pełnym żaru choć wolnym od nienawiści.

Z współczesnych polskich eseistów może Hostowiec jest najbliższy mojej formacji umysłowej. Sceptyk — olśniewająco wykształcony, świetny znawca i miłośnik kultury antycznej. Lecz jeżeli chodzi o owo sartre'owskie „największe doświadczenie naszych czasów” — ani Hostowiec, ani Miłosz ani Gombrowicz nie mogą równać się z Herlingiem-Grudzińskim. On owo doświadczenie nie tylko przeżył, lecz artystycznie przetworzył. Gustaw jest wielkim humanistą w tym sensie, że nie jest sceptykiem. Na dnie jego zrównoważonej prozy tli się żarliwe zaangażowanie. W moim przekonaniu istotą humanizmu jest owo gorące ludzkie zaangażowanie, wolne od nienawiści.

Antykomunizm naszych „niezłomnych” nie ma nic wspólnego ani z humanizmem ani z zaangażowaniem — ponieważ jedynym jego źródłem i rodzicem jest nienawiść.

Książek Herlinga-Grudzińskiego jest niewiele — lecz one pozostaną. Podczas gdy z owej nienawistnej piany „niezłomnych” — nie pozostanie ani śladu ani popiołu. Nic co humanistyczne nie może wywodzić się z nienawiści — ponieważ nienawiść jest antyludzką jałowizną. Z nienawiści zrodzić się mogą tylko hitlerowskie piece krematoryjne lecz nigdy humanizm.

„Kocham pańską nienawiść” — cytował z dumą Józef Mackiewicz list jakiegoś białego Rosjanina. „Droga donikąd” — jest świetną *małą* powieścią bo brak jej humanizmu. Gustaw, „dochodiaga” w łagrze, nie dotarł „do nikąd” bo do ostatka wierzył w ludzkość i był zdolny dojrzeć ją w Rosjanach.

Nie jestem krytykiem literackim a powyższe refleksje nasunęły mi się w związku z tegoroczną nagrodą „Wiadomości”. Nagrody literackie bywają kontrowersyjne a sędziowie decydujący o przyznaniu nagrody są omylni i uwikłani zwykle w personalne intrygi. Lecz wszystko jest w końcu — jak mówią Anglicy — „matter of degree”. W tym wypadku owo „degree” zostało przekroczone. Nie jest skandalem, że nagrodzono przyjemną książkę Ireny Bączkowskiej. Jest natomiast skandalem, że za najlepszą książkę roku 1963 uznano nie „Drugie Przyjście”, lecz „Wróble Noce”.

„Drugie Przyjście” może się komuś podobać lub nie — ktoś może woleć prozę Miłosza, lub „Dziennik” Gombrowicza. To są kwestie otwarte, podlegające dyskusji. Lecz, naszym zdaniem, w gronie nieuprzedzonych i obiektywnie myślących ludzi fakt, że „Drugie Przyjście” jest najlepszą książką emigracyjną wydaną w roku 1963, jest chyba oczywisty.

Jak zaznaczyłem wszystko jest sprawą stopnia. W tym wypadku przekroczonego stopień, którego przekraczać nie wolno i dlatego cała sprawa budzi niesmak.

KATARZYNA

Za czasów Bieruta czytałem w prasie krajowej określenie, że „Stalin jest wielkim budowniczym Polski”. Okazuje się, że nie tylko Stalin był wielkim budowniczym Polski. Caryca Katarzyna — również.

W Warszawie wydano książkę pt. „Polska Stanisławowska w oczach Cudzoziemca”. Andrzej Kijowski w recenzji, ogłoszonej w marcowym numerze „Twórczości” pisze m.in.:

„Katarzyna dopuszczając do podziału Polski między trzy mocarstwa zmieniała istniejący stan rzeczy na swą niekorzyść: jako jedyny protek-

tor słabej Polski panowała nad nią niepodzielnie, jako uczestnik traktatu rozbiorowego uzyskiwała na własność część tego co już posiadała, a na korzyść Prus i Austrii traciła niepowrotnie to, nad czym uprzednio sprawowała kontrolę. Wniosek z tego taki, że Stanisław August prowadził słuszną politykę, gdy w katastrofalnej sytuacji tak bardzo liczył na protekcję Katarzyny: tylko ona mogła bronić resztek niezawisłości Polski”.

Żaden sowiecki historyk nie napisałby takich bredni, więc po co to pisze Andrzej Kijowski?

Czy dlatego, że Katarzyna odzyskała dziś to, co ongiś straciła na rzecz Prus i Austrii?

LONDYŃCZYK

PKO-

Dary do Polski wolne od cła

Od 7 lat za pośrednictwem

oficjalnego przedstawicielstwa Banku PeKaO

ALIMEX - Handels-GmbH

8 München 2

Neuhauser Strasse 34/V, Tel. : 55 06 41

Skrytka pocztowa : 8 München 33, Schliessfach 140

lub:

Berlin : Alimex-Büro, 1 Berlin 12, Kantstr. 165/VI. Tél. : 91 32 59

Przyjmujemy wpłaty na paczki standardowe, artykuły różne (z mieszkaniami i jednorodzinnymi domami włącznie) oraz przekazy pieniężne dla wypłaty gotówką w złotych po dogodnym kursie Banku PeKaO w tym: — spadki, odszkodowania (z wyjątkiem bieżących rent miesięcznych) i alimenty.

ŻĄDAJCIE BEZPŁATNYCH CENNIKÓW

Nasze biuro udziela chętnie wszelkich informacji w języku polskim.

Nowy etap

Występując na zebraniu wyborczym w Moskwie, 12 marca 1954 r., Prezes Rady Ministrów ZSSR, Georgi Malenkov, powiedział m.in.:

„Każdy myślący człowiek musi się zastanowić teraz nad tym, jak zrobić następny krok naprzód, jak znaleźć trwałą podstawę dla zabezpieczenia pokoju i przyjaźni między narodami. Mylą się ci, którzy twierdzą, że ludzkość musi wybrać jedną z dwóch możliwości: albo jeszcze jedną wojnę światową, albo tak zwaną zimną wojnę. Narody dążą do trwałego pokoju. Rząd sowiecki dąży do zmniejszenia naprężenia międzynarodowego i do ustanowienia prawdziwie trwałego pokoju; jest on przeciwny polityce zimnej wojny dlatego, że jest to polityka przygotowywania jeszcze jednej światowej rzezi, która, przy dzisiejszych środkach prowadzenia wojny, byłaby końcem cywilizacji światowej”.

8 lutego 1955 r. Malenkov „ustąpił”. Miesiąc później, w numerze marcowym teoretycznego pisma KC Partii Komunistycznej Z.S. „Kommunist”, ukazał się obszerny artykuł krytykujący tych przywódców, którzy „kapitulują przed szantażem atomowym imperialistów amerykańskich”. Artykuł ten zawierał ważne stwierdzenie, a mianowicie: bieg historii i rozwój narodów nie może być zmieniony przez wynalazki naukowe czy też ich techniczne zastosowanie.

To oświadczenie Malenkowa i ta deklaracja niezmienności polityki sowieckiej były wtedy jedynymi odgłosami dyskusji toczącej się w wyższych sferach partyjnych. Dyskusja ta rozpoczęła się, prawdopodobnie, jeszcze przed śmiercią Stalina. Toczy się ona dotychczas. Jest ona centralnym punktem procesu przewartościowywania wszystkich wartości, tego „agonizing reappraisal”, zarówno doktryny jak i praktyki rewolucyjnej, który w ostatnich latach ogarnął cały świat komunistyczny i doprowadził do jego ideologicznego i politycznego rozbicia. Proces ten posuwał się — patrząc na rzeczy historycznie — z błyskawiczną szybkością.

Dwa lata po przemówieniu Malenkowa, jedenaście miesięcy

po ogłoszeniu deklaracji o niezmienności, kierownictwo sowieckie całkowicie zmieniło swe stanowisko. W swym sprawozdaniu 20-mu Kongresowi Partii Komunistycznej Związku Sowieckiego (Moskwa, 14-25 lutego 1956 r.) pierwszy sekretarz KC Nikita Chruszczow stwierdził, że:

1. Polityka pokojowego współistnienia nie jest taktycznym posunięciem lecz podstawową zasadą działania państwa sowieckiego;
2. Wojna nie jest nieunikniona;
3. Dopuszczalne są różne formy przejścia od kapitalizmu do socjalizmu (komunizmu) i nie zawsze trzeba iść drogą gwałtu i wojny domowej.

Dopuszczając pokojowe przejście od kapitalizmu do komunizmu poprzez socjalizm, Chruszczow nie tylko stanął na stanowisku Malenkowa w sprawie konieczności uniknięcia wojny światowej, lecz posunął się dalej: stwierdził on, że wojny domowe, wojny miejscowe są również niebezpieczne, bo mogą doprowadzić do wojny światowej. Zmienia to doktrynę komunistyczną w sposób zasadniczy, bo właściwie przekształca wyjątek w regułę (Engels dopuszczał, w bardzo nielicznych zresztą i specjalnych wypadkach, możliwość pokojowego przejścia do socjalizmu), a zasadę ogólną, tj. walkę z bronią w rękę, w wyjątek. Chociaż zbrojna walka rewolucyjna jest wciąż jeszcze dopuszczalna w pewnych wypadkach, choć teoria o wojnach sprawiedliwych wciąż jeszcze istnieje, w praktyce, nowy kurs chruszczowowski doprowadził w ostatnich latach do prawie zupełnego zaniechania przez Moskwę walki zbrojnej jako narzędzia polityki zagranicznej. Najbardziej jaskrawym przykładem tej nowej polityki była negatywna postawa Moskwy wobec agresji Chin komunistycznych przeciwko Indii.

Jak obecnie wiemy z ósmego artykułu chińskiego opublikowanego 31 marca br. w „Dzienniku Ludowym” i w czasopiśmie „Czerwony Sztandar”, kierownictwo chińskie już wtedy, tj. bezpośrednio po 20-tym zjeździe sowieckiej partii komunistycznej, miało poważne wątpliwości co do tezy Chruszczowa o pokojowym przejściu do socjalizmu. Powstały pierwsze rozbieżności. Rozbieżności te doprowadziły do zawziętej, choć ukrytej, walki ideologicznej i do otwartych starć między delegacjami sowiecką a chińską na konferencjach ogólnokomunistycznych w 1957 oraz w 1960 w Moskwie. Pomimo protestów chińskich, tezy sowieckie przedostały się do ogólnych deklaracji i stały się obowiązującymi dla międzynarodowego ruchu komunistycznego. Różnice te zwiększyły się jeszcze bardziej, gdy kierownictwo sowieckie wyrzekło się stalinowskiej doktryny o pogłębianiu się walki klasowej w państwie socjalistycznym w miarę zbliżania się do komunizmu i, następnie gdy doszło ono do wniosku, że dyktatura proletariatu w pierwszej fazie budowania komunizmu jest w ogóle niepotrzebna. Ta ostatnia zmiana była wynikiem tzw. „destalinizacji”, tj. próby przywrócenia partii jej utraconego autorytetu moralnego poprzez potępienie „błędów” Stalina i wyrzeczenia się systemu rządzenia opartego na stosowaniu terroru masowego.

W międzyczasie destalinizacja oraz zmiany doktrynalne promulgowane z trybuny XX Zjazdu doprowadziły do bardzo poważnych przemian zarówno w państwach bloku komunistycznego jak i w partiach komunistycznych na Zachodzie. Rewolucja węgierska, choć stłumiona we krwi, wywołała potężny wstrząs w świecie komunistycznym. Bezkrwawa rewolucja polska stała się dowodem, że „różne drogi” do socjalizmu rzeczywiście mogą być różne, nawet w obrębie bezpośrednich wpływów Moskwy. Włoska Partia Komunistyczna wysunęła teorię tzw. policentryzmu, występując otwarcie przeciwko utworzeniu jakiegokolwiek organizacji stałej, grupującej wszystkie partie komunistyczne pod bezpośrednim kierownictwem Moskwy. Pod wpływem tych nastrojów powstaje konieczność kolektywnej dyskusji, kolektywnego ustalania kierunków rozwoju i metod działania. Stąd konferencje moskiewskie przedstawicieli wszystkich partii komunistycznych, konferencje na których Moskwa wciąż jeszcze zachowuje pozycję dominującą ale, jak już wykazaliśmy musi się liczyć z opozycyjnymi nastrojami pewnych partii.

Równocześnie następuje szybka i radykalna zmiana w pozycji państwa sowieckiego w świecie. W przeciągu kilku lat wydobywa się ono z izolacji w której trwało za czasów stalinowskich; osiąga wielkie sukcesy w rozwoju niektórych dziedzin nauki i techniki, staje się — dzięki rozwinięciu techniki rakietowej — państwem prawie równym co do siły wojennej Stanom Zjednoczonym. Główna uwaga kierownictwa jest teraz zwrócona na dalsze rozbudowywanie potęgi ekonomicznej państwa sowieckiego; pojawiają się niesłychanie optymistyczne wypowiedzi co do możliwości prześcignięcia Stanów Zjednoczonych przez Związek Sowiecki we wszystkich niemal dziedzinach produkcji przemysłowej „w przeciągu następnych lat piętnastu” czyli mniej więcej w 1975 r. Staje się rzeczą jasną, że ta wizja potęgi ekonomicznej Związku Sowieckiego i państw Europy wschodniej przekształca się w umyśle Chruszczowa i towarzyszy w główną broń rewolucji światowej. Ale nie ulega również wątpliwości, że koncentrując uwagę na własnym rozwoju, Związek Sowiecki „odchodzi” od rewolucji; że nowa polityka ekonomiczna wymaga — i doprowadza — do coraz nowszych koncesji gospodarczych reżymu na rzecz obywateli, że podwyższając swój poziom życia choć bardziej powoli niżby sobie tego życzyli, ludzie sowieccy coraz mniej myślą o rewolucji, a coraz bardziej o tych chruszczowowskich ciepłych — i własnych — mieszkaniach, o podróżach zagranicę, o możliwości kariery dla dzieci. Partia ma dużo kłopotu z wymykającą się spod jej kontroli inteligencją twórczą, z naukowcami, dąży do przekształcenia się w partię technokratów, do włączenia się bez reszty w proces budowania nowego, najsilniejszego na świecie kolosa gospodarczego. Oczywiście, nie znaczy to wcale, że kierownictwo sowieckie zapomina o polityce zagranicznej. Ale wykazuje ono w tej dziedzinie zupełnie wyraźny brak zdecydowania. Ogólnie rzecz biorąc idzie w kierunku coraz większej ostrożności, zwłaszcza w ostatnich latach, od niesławnego wycofania się z Kuby do kryzysu cy-

pryjskiego, z którego prawie nie korzysta. Stopniowo pogłębiający się konflikt z Chinami częściowo tłumaczy ten brak zdecydowania, rosnące coraz bardziej trudności gospodarcze — kryzys w rolnictwie, zwolnienie tempa uprzemysłowienia, niepowodzenia w dziedzinie integracji gospodarczej państw bloku sowieckiego — z pewnością nie przyczyniły się do wyjaśnienia stanowiska Moskwy do problemów zewnętrznych. Nie trzeba zapominać także i o walkach wewnętrznych, o opozycji konserwatywnych elementów na wszystkich szczeblach aparatu gospodarczego, nawet po zlikwidowaniu tzw. grupy anty-partyjnej.

Wszystko to niewątpliwie ma swoje znaczenie. Ale źródła największych trudności kierownictwa sowieckiego należy, moim zdaniem, szukać gdzie indziej. Po pierwsze, trzeba pamiętać, że swoboda manewrowania przywódców sowieckich jest ograniczona, nawet przy znanej skłonności Chruszczowa do eksperymentów. Jest ona ograniczona nie tylko zewnętrznie, na przykład przez ciągłą krytykę Pekinu, ale też i wewnętrznie przez dogmatyzm umysłowy większości przywódców sowieckich, wielkich i małych; jest ona ograniczona zupełnie usprawiedliwionym strachem przed możliwą reakcją obywateli, zarówno Demokracji Ludowych jak i własnych republik; jest ta swoboda ograniczona również strachem jakiegoś niespodziewanego posunięcia ze strony „imperialistów”. (Choć z mora ta, wobec konsekwentnego braku agresywności Zachodu, zaczyna powoli znikać). Rewizjonizm kierownictwa sowieckiego posuwa się jednokierunkowymi skokami. Po każdym skoku następuje dłuższy okres przystosowania mentalności ludzi do nowego położenia. Tym się tłumaczy popełnienie przez przywódców sowieckich kilku kardynalnych błędów. Pierwszym tego rodzaju błędem było „przegapienie” Afryki. Moskwa nie doceniła szybkości procesu likwidacji systemu kolonialnego. Do ostatnich lat nie poświęciła ona sprawom afrykańskim dosłownie żadnej uwagi. Z pewnością nie przewidziała możliwości nagłego przekształcenia kolonii francuskich w państwa wolne — ale w związku z Francją. Gdy Afryka „wybuchła”, dosłownie w przeciągu kilku lat, spowodowało to i niesnaski chińsko-sowieckie i dezorientację w obozie komunistycznym. Rezultat: nowe państwa afrykańskie nie tylko urodziły się bez pomocy komunizmu światowego, lecz już weszły na arenę światową, już pertraktują z mocarstwami światowymi w Genewie o formach dalszej pomocy, jaką niewątpliwie otrzymają od krajów kapitalistycznych.

Równym lekceważeniem darzyła Moskwa w ciągu wielu lat sprawę zjednoczenia Europy i jej integrację gospodarczą, nie doceniając siły atrakcyjnej europejskiego wzoru, zapominając o tych wielkich możliwościach oddziaływania umysłowego jakie wciąż ma Europa, nie mówiąc już o wpływach gospodarczo-politycznych, chociażby w Afryce czy Ameryce Południowej. Cała uwaga przywódców sowieckich była skierowana — jak już powiedziałem — na sprawy wewnętrzno-gospodarcze i ideologiczne. Na zewnątrz Chruszczow widział tylko Stany Zjednoczone, głównego przeciwnika i, w tym samym czasie, partnera w utrzymaniu równowagi

terroru w świecie. Nawet konflikt ideologiczny z Chinami w Moskwie przez pewien czas wyraźnie lekceważono lub nawet ignorowano.

Taki był scenariusz na tle którego narastał konflikt sowiecko-chiński.

Obecnie konflikt ten doszedł do punktu kulminacyjnego. Artykuł ogłoszony w pekińskim „Dzienniku Ludowym” 31 marca i sprawozdanie Susłowa, wygłoszone na Plenum KC Sowieckiej Partii Komunistycznej 13 marca oraz opublikowana 3 kwietnia rezolucja tegoż KC uchwalona 15-go marca — oto dokumenty pieczętujące rozbicie świata komunistycznego. Właściwie, ogłoszone w pierwszych dniach kwietnia dokumenty sowieckie są odpowiedzią na poprzedni, siódmy artykuł chiński, w którym Mao-Tse tung i towarzysze wyłożyli swoją teorię o konieczności rozbicia ruchu komunistycznego, by go potem zjednoczyć na zasadach prawdziwie marksistowskich. Porównali oni wtedy swoją walkę do walki Engelsa i Lenina przeciwko drugiej międzynarodowce i stwierdzili, że gotowi są prowadzić swoją partyzantkę równie długo, tj. całe dziesięciolecie. Już ten siódmy list chiński usunął wszelkie wątpliwości co do intencji Pekinu. Ósmy list był logicznym rozwinięciem tych pozycji.

Według Chińczyków, Chruszczow jest „największym kapitanem” w historii; on i jego towarzysze, tj. całe kierownictwo sowieckie są „pionkami w ręku imperialistów”. Są oni, poza tym, tchórzami, którzy myślą tylko o Rosji, rezygnując zupełnie z walki rewolucyjnej. Mało tego — polityka kierownictwa sowieckiego prowadzi do restauracji kapitalizmu w Związku Sowieckim, bo przez swój rewizjonizm Chruszczow stał się uczniem Kautskiego i Bersteina i „stoczył się” na pozycje socjaldemokratyczne. Ze swej strony kierownictwo sowieckie uważa Chińczyków za niebezpiecznych fanatyków, którzy są gotowi utopić świat we krwi, by dopiąć swych wielkomocarstwowych ambicji. Gwałtowność oskarżeń z obu stron przypomina najgorsze czasy stalinowskiej kampanii propagandowej przeciwko Tito i Komunistycznej Partii Jugosławii. W jednym ze swoich przemówień na Węgrzech, Chruszczow na przykład powiedział, że kierownicy chińscy „operując ultra-rewolucyjnymi frazesami i zaklinając się na wierność marksizmowi-leninizmowi, staczają się do bajora trockizmu i wielkochińskiego szowinizmu”. Oczyszczając te wszystkie dokumenty i przemówienia z niepotrzebnego balastu, trzeba stwierdzić, że na pierwszy rzut oka cały ten konflikt przypomina rzeczywiście stary spór między maksymalistami z jednej strony, a demokratami i rewizjonistami z drugiej. Zdawałoby się, że — tak jak mówią Chińczycy — świat komunistyczny wrócił do sytuacji, gdy jeszcze nie był światem, lecz światkiem, rodzącym się w nadzwyczajnych trudnościach ruchem ideologicznym. Ale ten stary spór ma już zupełnie inne podłoże historyczne; przekształcił się on w ostateczny rachunek sumienia; toczy się on w okresie, gdy już dawno minęła wszelka możliwość powrotów na dawne pozycje.

Dzisiejsza Rosja jest przede wszystkim wynikiem stalinowskiego budowania socjalizmu w jednym państwie. Budowano ten „socjalizm” z taką bezwzględnością, z takim impetem, z taką pasją, prawdziwą i przymusową, że dziś społeczeństwo sowieckie wyszło już daleko poza wszelkie możliwe równania w dół, do poziomu Chińczyków. I ponieważ dużo zrobiono, dopiero teraz widać jak dużo pozostało do zrobienia. Ale zrobiono już tyle, że po raz pierwszy w historii, Rosjanie mogą patrzeć w kierunku Europy bez uczucia niższości. Ale właśnie dlatego, że są to tylko osiągnięcia techniczne i naukowe a nie ma równocześnie żadnej możliwości szybkiego i skutecznego zastosowania tej potęgi dla sprawy rozpowszechnienia komunizmu. właśnie dlatego problemy związane z reorganizacją samego społeczeństwa sowieckiego wysuwają się na pierwsze miejsce. Nawet u najbardziej zatwardziałyh komunistów nie może ta sytuacja nie powodować upadku dynamiki rewolucyjnej, nie prowadzić do nudy i zniechęcenia. Zwłaszcza młodzież choruje na „apatię i apolityczność”, tj. zagłębia się w swoje prywatne sprawy, idzie wyraźnie w kierunku coraz to bardziej śmiałych poszukiwań jakiegoś nowego ideału, jakiegoś *good life* poza komunizmem. Najbardziej prymitywnym hasłem tych jeszcze nieskrystalizowanych nastrojów może być hasło *enrichissez-vous*; na wyższym poziomie przekształcają się te nastroje w zupełnie wyraźny i niesłychanie gwałtowny ferment ideowo-polityczny oparty — oczywista — na aspiracjach wolnościowych, aspiracjach zarówno osobistych jak i narodowych.

Niedawno w rozmowie ze starszym komunistą usłyszałem takie zdanie: „Właściwie wynik sporu chińsko-rosyjskiego zależy od jednej rzeczy: czy znajdzie się w Rosji kilku prawdziwych komunistów wśród kierownictwa partyjnego”. Bo dla „prawdziwych” komunistów nie może być wątpliwości, że Chińczycy mają rację, że trzeba robić rewolucję wszędzie, gdzie się da, że trzeba się podzielić z Chińczykami wszystkim co się ma, że Rosja powinna być naprawdę bazą rewolucji światowej itd.

Być może takie stanowisko jest jeszcze do utrzymania indywidualnie, ale nie może ono być przetłumaczone na działania zbiorowe. Zbiorowej drogi do komunizmu światowego nie widać. Pozostaje jako dowód tego, że międzynarodowy ruch komunistyczny zaszedł w ulicę bez wyjścia, dramatyczne pytanie Gomułki do „towarzyszy chińskich”: „jak wy towarzysze chińscy wyobrażacie sobie w dzisiejszych warunkach zniszczenie imperializmu w Stanach Zjednoczonych? Tego imperializmu, który wraz ze wszystkimi komunistami świata nazywacie żandarmem narodów? Jak wy właściwie chcecie dojść do tego, by człowiek zniszczył broń jądrową, a nie broń jądrowa człowieka? Jaka musi być strategia i taktyka światowego ruchu komunistycznego, by osiągnąć te cele? Przecież wy, w swojej platformie nie dajecie konkretnej odpowiedzi na to pytanie!”. I dalej: „Nie ma co, towarzysze, oszukiwać samych siebie! Trzeba uczciwie powiedzieć, że takiej sytuacji rewolucyjnej dziś nie ma ani w jednym państwie imperialistycznym, a zwłaszcza nie ma jej w Stanach Zjednoczonych!”. (Prze-

mówienie na zebraniu przyjaźni polsko-sowieckiej, Moskwa, 15 kwietnia).

„Cóż pozostaje? Według Gomułki to, że „socjalizm otworzył przed ludzkością perspektywę życia bez wojny atomowej, możliwość utrzymania trwałego pokoju w świecie”. Oczywiście to jest dużo, ale to nie jest osiągnięciem socjalizmu i to daleko nie wszystko. Utrzymanie trwałego pokoju w świecie w epoce atomowej jest postulatem niejako zasadniczym, nawet minimalnym. Utrzymanie tego trwałego pokoju jest równoznaczne dla komunistów z wyrzeczeniem się tradycyjnych metod walki rewolucyjnej. Co dalej? Jak żyć w tym trwałym pokoju?

Na to pytanie Chińczycy mogą odpowiedzieć tylko starymi, oklepanymi frazesami o rewolucji światowej, frazesami, które straciły wszelkie praktyczne znaczenie. Komunistyczna Partia ZSSR odpowiada na nie przywołaniem do rzeczywistości, zachęcaniem do „pracy organicznej” czy również brakiem jakiegokolwiek konkretnej odpowiedzi.

Wróćmy do naszego starego komunisty. Czy znajdzie się w Związku Sowieckim „kilku prawdziwych komunistów”, czyli stawiając pytanie bardziej konkretnie, czy opozycja, która niewątpliwie istnieje, ośmieli się podnieść głowę? Czy „towarzysze chińscy” rzeczywiście mogą liczyć na to że w Rosji znajdują się ludzie którzy zrobią próbę usunięcia Chruszczowa? Moim zdaniem — nie. Prawdziwi komuniści może jeszcze istnieją, ale są oni zmuszeni, wraz z Gomułką i Chruszczowem, do szukania nowych dróg. Muszą oni liczyć się z tym, że teorie chińskie nie cieszą się w Związku Sowieckim i wśród partii komunistycznych na Zachodzie zbytnią popularnością. I to wszystko dlatego, że przekształcenie tych teorii w działania praktyczne równałoby się samobójstwu. Konflikt chińsko-sowiecki, jak stwierdzają skwapliwie „twardzi” teoretycy sowieccy z Susłowem na czele, przemienił się już w konflikt między państwami, w konflikt między państwem rosyjskim a chińskim.

Podnoszenie przez Chińczyków pretensji terytorialnych w stosunku do Rosji gra oczywiście na korzyść Chruszczowa. Ale — być może — tacy „prawdziwi komuniści” znajdą się i zechcą coś zrobić. W takim razie trzeba powiedzieć, że chwila obecna, tj. następne kilka miesięcy, jest ostatnią szansą tych ludzi. Albowiem odkrycie gotującego się kotła ideologicznych i państwowych nieporozumień w obozie socjalistycznym niewątpliwie będzie wielkim kolejnym wstrząsem dla całego świata komunistycznego a zwłaszcza dla młodzieży i inteligencji. Sowiecka inteligencja partyjna i bezpartyjna nie może nie zauważyć beznadziejności obecnych formuł. Może „prawdziwi komuniści” postarają się wykozystać te nastroje.

Ale, powtarzam, nie bardzo w to wierzę. O wiele bardziej prawdopodobne jest zachowanie obecnego kierownictwa i przejście do „konsolidacji” międzynarodowego ruchu komunistycznego. Za początek tego procesu konsolidacyjnego można uważać właśnie przemówienie Gomułki w Moskwie, które zakończyło się sło-

wami „Niech żyje Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego, jej leninowski Komitet Centralny, z naszym przyjacielem na czele, wielkim wodzem międzynarodowego ruchu komunistycznego towarzyszem Chruszczowem!”.

Ale konsolidacja — bez konferencji lub z konferencją przedstawicieli wszystkich czy też niektórych partii komunistycznych — nie zatrzyma toczącej się dyskusji i z pewnością nie przywróci jedności świata komunistycznego. Dyskusja będzie popychała Chruszczowa coraz bardziej na prawo. W Rosji rozpoczyna się okres walki z kultem jednostki największego anty-europejczyka w dziejach Rosji — Lenina. Rozpoczął tę walkę Gomułka — w Pekinie zaś znalazł się wygnany z Rosji upiór Nieczajewa.

W. A. RYSER

Współczesna Ukraina

Pewien znany pisarz białoruski żalił się niedawno w rozmowie z dziennikarzami polskimi, że Polacy znają jego kraj najczęściej z okna samolotu lub pociągu w drodze do lub z Moskwy. Z Ukrainą sprawa przedstawia się jeszcze gorzej, bo Kijów, jak wiadomo, nie leży na szlaku Warszawa-Moskwa. Stąd też — choć oczywiście i z wielu innych względów — powstaje owo zjawisko, że w dni jubileuszów czy jakichś rocznic, zazwyczaj „obszeczsojuznych”, kiedy afiszowanie się kontaktami ze wschodnim sąsiadem nie stanowi żadnego ryzyka, słyszy się kupę frazesów o przyjaźni, współpracy, braterstwie, aby, już nazajutrz w dzień powszedni, o wszystkim tym zapomnieć.

Nic dziwnego, że znajomość spraw ukraińskich w dzisiejszych pokoleniach polskich jest mniejsza niż to było za czasów ich ojców i dziadów. Oczywiście, że zwolennicy pilnego zapisywania odwiedzin w ośrodkach tuczenia indyków nowoczesną metodą tow. Wasyla Wszeznanjki lub obliczania głębokości wiosennych błot i roztopów systemem cybernetyki powiedzą, że wcale nie jest tak źle, bo tyle to a tyle delegacji w takim to a takim odstępie czasu odwiedziło kraj wschodniego sąsiada Polski. Statystycy będą mieli zawsze rację, tylko że w tym wypadku czysto papierową. W istocie sprawy wzajemnych stosunków polsko-ukraińskich wyglądają tragicznie. Nikt się oczywiście już nie pierze po łbach, nie rżnie nożami, i nie trzyma nikogo w więzieniach lub w innych miejscach odosobnienia, ale przecież nie o to chodzi. Zostawiam też zupełnie na uboczu tak delikatne zagadnienia, jak życie kulturalne, szkolnictwo i swobodę ruchów obydwu mniejszości, polskiej na Ukrainie i ukraińskiej w Polsce. W zasadniczej sprawie, to znaczy w pielęgnowaniu wzajemnych stosunków, w wymianie kulturalnej, współpracy pisarzy, artystów, naukowców, a przede wszystkim w stałej i systematycznej informacji własnego społeczeństwa o problemach kraju sąsiedniego, sytuacja jest bez najmniejszej przesady godna pożałowania.

Nie tylko, że żadne pismo polskie nie ma stałego korespondenta w Kijowie, ale nawet u siebie w domu żadnej redakcji nie ciekawi prowadzenie rubryki dotyczącej spraw ukraińskich. W „Twórczości”, której naczelny redaktor chlubi się przy okazji jubileuszów swą niezatartą sympatią do kraju lat dzieciństwa, nie ma dotychczas kroniki, poświęconej literaturze ukraińskiej. Skutek jest taki, że na przykład w Czechosłowacji, gdzie stosunki z Kijowem są naprawdę skrupulatnie pielęgnowane, stopień znajomości odradzającej się twórczości poetyckiej, a częściowo i beletrystycznej, jest o całe nieba wyższy niż w Polsce. O tym, że na Ukrainie wyrosła cała plejada wielkich talentów, jak Dracz, Winhranowski, Hucalo, Korotycz i Kostenko, wiedzą chyba tylko bardzo nieliczni specjaliści.

Dotychczas nikt się nie zatroszczył o to, aby społeczeństwu polskiemu, które nie bez powodów — ale to tylko podkreśla potrzebę czegoś podobnego — jest obarczone jeśli idzie o stosunki polsko-ukraińskie balastem resentmentów, przesądów i uprzedzeń z okresu dawnych lat, dać do rąk przystępną i ciekawie napisaną monografię o sąsiedzie zza miedzy. Oczywiście, że może ktoś powiedzieć nie bez kozery, a cóż robią Ukraińcy w Kijowie? Zgoda, też nic, albo troszkę więcej, ale w każdym razie za mało. Ale trzeba zważyć, że im nawet w obecnym okresie jest niewspółmiernie trudniej i to nie ze złej woli, lecz ze względu na obiektywne warunki.

Kto chce coś wiedzieć o Ukrainie musi sięgać do obcych źródeł, bo własnych nie ma. W konsekwencji informowanie o życiu Ukrainy odbywa się via Moskwa, to znaczy poprzez rosyjskie soczewki i niezawsze wierne zwierciadła. Przykre to z punktu widzenia racji stanu obydwu narodów a, co gorsze, sytuacja skreślona tutaj jak najpobieżniej nie rokuje rychłej poprawy. Tym większa odpowiedzialność spoczywa na ludziach z emigracji, którym stosunki polsko-ukraińskie nie są obojętne. Na ich barkach i w ramach ich inicjatywy leży zadanie rzetelnego informowania o sprawach sąsiadujących narodów, aby przynajmniej w ten sposób pośrednio rozbudzać zainteresowanie w obydwu krajach do wzajemnego zajmowania się zagadnieniami ukraińskimi i polskimi. Niezawsze, rzecz jasna, jest pod dostatkiem odpowiedniego źródłowego materiału, którym ludzie chętni mogliby się posługiwać. Również i na emigracji odczuwamy dotkliwy brak poważnych prac w języku polskim o Ukrainie i na odwrót, w języku ukraińskim o Polsce. Dopóki temu jakoś nie zaradzimy, trzeba się będzie posługiwać w miarę możliwości wydawnictwami w językach obu narodów lub dostępną literaturą obcojęzyczną. Należy przy tym zaznaczyć, że liczba Ukraińców władających językiem polskim jest niewspółmiernie wyższa niż odwrotnie. Ale i wśród ukraińskiej społeczności emigracyjnej wielka część tego skupiska, a mianowicie ludzie pochodzący z terenów Ukrainy wschodniej, środkowej, północnej i południowej polskim nie władają, a jeżeli chodzi o pokolenie najmłodsze, to uwaga ta dotyczy nieomalże ogółu, niezależnie od geograficznego pochodzenia.

Zadaniem niniejszych notatek jest zaznajomienie czytelnika polskiego z najnowszymi pracami, dotyczącymi rozmaitych spraw ukraińskich. Kto się interesuje zagadnieniem walki komunistów ukraińskich o równouprawnienie i traktowanie Ukrainy jako samodzielnego partnera komunistycznej Rosji, a nie jej satelity, ten może się wiele na ten temat, dowiedzieć z niedużej książki pt. „Dokumenty ukraińskiego kumunizmu” (Wydawnictwo „Prolog” w Nowym Jorku, 1962). Wydawcy zebrali w niej szereg poglądów i po-

stulatów, wysuwanych przez czołowych działaczy ukraińskiej skrajnej lewicy po rewolucji październikowej, a zwłaszcza w latach 20-tych. Wartość tych dokumentów, a mianowicie pracy wybitnego ideologa Komunistycznej Partii Ukrainy, Wasyla Szachraja, starego bolszewika i druha Lenina, późniejszego komisarza oświaty Mykoły Skrypnyka, następnie pisarza i krytyka Mykoły Chwyłowego i wreszcie ekonomisty Mychajła Wołobujewa, polega na tym, iż wskazuje na wczesne źródła tych opozycyjnych ruchów, które po dziesiątkach lat powróciły znowu na porządek dzienny wielkich sporów ideologicznych i państwowych czy to w formie titoizmu, czy też opozycji komunistów węgierskich, polskich, niemieckich, a ostatnio chińskich, albańskich czy też rumuńskich.

Kto się interesuje sprawami współczesnej Ukrainy, a władza niemieckim, ten ma okazję do zdobycia szczegółowych informacji z obszernej monografii Borysa Lewickiego (Borys Lewytzkyj: „Die Sowjetukraine 1944-1963”, Kiepenheuer u. Witsch, Koeln, 1964). Jest to praca pokaźna, bo licząca 444 stronice — prawdziwe kompendium wiedzy o rozwoju sytuacji we wszystkich podstawowych dziedzinach życia społecznego wschodniego sąsiada Polski po drugiej wojnie światowej. Połowa książki to analiza i przegląd wypadków i zagadnień, druga połowa — to statystyki, krótkie biografie działaczy ze wszystkich sfer życia republiki ukraińskiej, wykresy, zestawienia. Autor celuje przede wszystkim w kwestiach polityczno-społecznych, personalnych, w oświeceniu i analizie rozmaitych faz w okresie stalinowskim i w dobie Chruszczowa. Nie schlebia popularnemu na emigracji hurra patriotyzmowi, nie wpada też w przeciwną skrajność i nie przecenia zmian, które zaszły po śmierci Stalina. Stara się dać wierny obraz rzeczywistości, takiej jaką ona jest. Niekiedy wygłasza własne teorie (w kilku wypadkach znane częściowo z artykułów publikowanych w „Kulturze”). Do najciekawszych z tego typu należy niewątpliwie wersja o klanie partyzantów, na którym zdaniem autora, po drugiej wojnie światowej oparł się Chruszczow jako namiestnik Stalina na Ukrainie.

Dla czytelnika polskiego najciekawszym rozdziałem będzie ta część pracy, która dotyczy integracji Ziemi Halickiej, Wołynia i Zakarpacia. W dziale o sprawach ukraińskich w obrębie bloku wschodniego znajduje się również ustęp o sytuacji Ukraińców w Polsce. Autor wspomina o krzewieniu wiedzy o kulturze ukraińskiej. Spośród tłumaczy z ukraińskiego wymienienia po kolei Floriana Nieuważnego, Jerzego Hordyńskiego i Jadwige Szymak, podczas gdy w istocie należało wspomnieć w pierwszym rzędzie o Kazimierzu Andrzeju Jaworskim, Anatolu Sternie, Leopoldzie Lewinie, Leonie Pasternaku, Bogdanie Żyraniku i o niewielu ale nieskazitelnym przekładach Tuwima, Jastruna, Ważyka, Czechowicza czy Hollendra.

Ale pomijając te usterki można śmiało stwierdzić, że książka Lewickiego stanowi w literaturze obcojęzycznej swego rodzaju małą encyklopedię wiedzy o współczesnej Ukrainie. Wypełnia ona tym samym dotkliwą lukę, które panowała dotychczas w tej dziedzinie.



Pośród publikacji ukraińskich wybijają się w ostatnim czasie dwie książki o współczesnej literaturze „Panorama najnowiszoj literatury w URSSR” oraz „Suczasna literatura w URSSR”. Pierwsza liczy 367, druga 378 stron.

Obydwie wyszły w krótkim odstępie czasie a mianowicie w 1963 oraz w 1964 roku. Obydwie napisał Iwan Koszeliweć, naczelny redaktor emigracyjnego miesięcznika „Suczastnist” — swego rodzaju odpowiednika polskiej „Kultury” — ukazującego się w Monachium. Obie prace stanowią organiczną całość, bo pierwsza książka to oprócz doskonałego wstępu, w lapidarny sposób wyprowadzającego czytelnika w węzłowe zagadnienia odrodzenia literatury ukraińskiej, które w ostatnich latach nagle powstało pośród młodych pisarzy republiki ukraińskiej. Jako motto do swych wywodów Koszeliweć wziął zdanie wypowiedziane przez zmarłego krytyka i filologa, profesora Biłeckiego w Kijowie: „Na szczęście żadne ukazy nie są w stanie zatrzymać ruchu twórczej siły, nie mogą jej zmusić do rozwoju w określonych ramach”. Autor zwrócił też uwagę na mało znany fakt, że również nieżyjący już niestety wielki mistrz filmu i prozy, Dowżenko, w czerwcu 1955 roku pierwszy w Związku Sowieckim poruszył konieczność „rozszerzenia twórczych granic realizmu socjalistycznego”, co dziś wydaje się banałem ale wówczas było obrazoburstwem. Pisząc wstęp do książki autor uchwycił w ogólnej charakterystyce młodych poetów ukraińskich bodaj że najważniejszy element ich twórczości — „intelektualizm połączony z upodobaniem do prozaizmu w leksyce, do suchego lakonicznego wyrażania się, przy unikaniu w zupełności zużytego w poezji ukraińskiej epitetu, który jest kompensowany natomiast dążeniem do niepowtarzalności wyszukanej metafory”. W ślad za tym idzie, jak wskazuje sam tytuł „Panorama”, wybór współczesnej poezji, prozy i krytyki literackiej.

Druga książka jest właściwie pierwszą i udaną próbą syntezy rozwoju literatury na Ukrainie sowieckiej od lat dwudziestych po dzień dzisiejszy. Koszeliweć dzieli naszą literaturę na cztery pokolenia. W jego uwagach znaleźliśmy tyle zaskakujących i odkrywczych myśli (np. Pawło Tyczyna i Franz Kafka), że nie podobna ich wszystkich wymienić. Książka ta jest książką tragiczną, bo prawie na każdej stronie wykazuje jakie możliwości, jakie ożywcze prądy, jaki potężny ładunek talentów, tkwiły w każdej generacji i dowodzi jednocześnie jak się za każdym razem te możliwości marnowały, nie z winy twórców, lecz na skutek zbrodniczej polityki systemu, łączącego elementy ucisku narodowo-kulturalnego Moskwy i dyktatury tępych aparatczyków własnego chowu.

Stronice o Tyczynie, Rylskim, Chwyłowym, o Dowżencie i Perwomajskim, jak też o generacji młodych należą do najciekawszych pozycji. Ale i rozbicie mitu o rzekomo niezwykłych walorach pisarstwa, Stelmacha, obecnie bardzo lansowanego przez oficjalną krytykę (mitowi temu uległ zresztą i B. Lewickij w omówionej powyżej książce), jako też i inne polemiczne miejsca zasługują na uwagę..

Gdyby prace Koszeliwca znalazły tłumaczy i wydawców polskich to taka inicjatywa odegrałaby wielką rolę w dziedzinie polsko-ukraińskich stosunków kulturalnych.

Sprawą dyskryminacji rozwoju wszelkich gałęzi nauki na Ukrainie zajął się Dmytro Sołowej i to w formie bardzo gruntownej i źródłowej pracy (Ukraińska nauka w kolonialnych putach — Wyd. Prołoh — Nowy Jork 1963). Wyświetla on przeróżne formy rusyfikacji, nadmiernej centralizacji i w ogóle wywierania nacisku przez Moskwę celem upośledzenia republiki ukraińskiej. Książka liczy 276 stron, jest zaopatrzona w aparat naukowy, statystyki i indeksy. Na tle rosnącego konfliktu w łonie komunizmu świa-

towego pod hasłami równouprawnienia i zrzucenia wszelkich form hegemonii moskiewskiej, publikacja ta może się stać ważnym przyczynkiem do argumentacji komunistów odrzucających nadrzędność wielkomocarstwowych interesów Rosji.

I wreszcie o ostatniej pozycji naszego przeglądu, a mianowicie o dziele Antona Rudnickiego, poświęconemu historii i obecnej sytuacji muzyki na Ukrainie i na emigracji. (Anton Rudnyćkyj: *Ukraińska muzyka — historyczno-krytyczny przegląd*. Wyd. „Dniprowa Chwyla”, Monachium, 1963). Jest to właściwie pierwsza monografia przedstawiająca rozwój muzyki ukraińskiej od jej początków do dzisiejszych czasów, gdyż wydana w dwudziestych latach praca Mykoły Hrinchenka jest już dziś przestarzała, a ponadto stanowi rzadkość bibliograficzną. Nawet gdyby się odważono w Kijowie napisać konkurencyjną książkę, to naturalnie nie będzie w niej wielu faktów istniejących w pracy Rudnyćkiego, a przede wszystkim odpadnie cała część dotycząca życia muzycznego na emigracji, która też coś znaczy.

Bohdan OSADCZUK

TRAFA W SEDNO!



**SZYBKIM PRZEKAZEM
PIENIĘŻNYM DO POLSKI**

TAZAB 22, ROLAND GARDENS • LONDON S.W.7

TEL.FRE - 3175

Miliony polskiej emigracji

I

Co jest warta nasza emigracja? Nie ideologicznie, nie politycznie i nie wedle ilości mniej lub bardziej politycznie nastawionych emigrantów. Po prostu: co warta jest nasza emigracja w funtach sterlingach?

Jesteśmy wszyscy nastawieni finansowo, *moneyminded*, od początku do chwili obecnej historia emigracji to historia funduszy. Pieniądże społeczne, pieniądze polityczne, dotacje, subwencje, stypendia, kasy własne i obce znaczą drogę naszego pielgrzymstwa. I nie zawsze te drogowskazy przynoszą nam chlubę.

Zaczęło się wszystko od początku, od rządu, administracji i suwerennych sił zbrojnych na wygnaniu. Z budżetów tych instytucji, z zasobów złota polskiego wywiezionego dramatycznie za granicę, a wreszcie z ciułania wojennego powstały znaczne sumy, które wyposażyły naszą emigrację w wielki majątek. Ile tego jest?

Ile, gdzie i kto

Ogólny polski społeczny majątek w Wielkiej Brytanii wynosi, plus minus, ponad milion funtów. (Rzecznik Zjednoczenia Polskiego na Walnym Zjeździe oceniał go na półtora miliona, ale włączał w to majątek kilku kościołów polskich i domów parafialnych, których gospodarka nie może być brana pod uwagę w dyskusji o funduszach społecznych).

Milion funtów nie jest wielką sumą, ale przyjrzyjmy się jak w stosunku do niej wyglądają budżety polskich organizacji społecznych, a nawet politycznych. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, który skupia większość ludzi piszących, żyje z 36 funtów rocznych składek i sześćdziesięciu kilku funtów wpływu z imprez. Dochód roczny Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie wynosi 300 funtów, Polskie Towarzystwo Naukowe rozporządza 150 funtami.

Skarb Narodowy, instytucja mająca ogarniać wszystkich Polaków, zbiera rocznie do swej kasy 3680 funtów. (Mowa o Skarbie Zjednoczenia, Skarb konkurencyjny Zamku jest znacznie uboższy). Wobec tego milion funtów jest dla nas sumą tak wielką, że wszystkich społeczników i polityków myśl o niej przyprawia o gorączkę. (Wysoka np. temperatura panowała przy dyskusji o majątku emigracji na Zjeździe Zjednoczenia Polskiego).

Skąd się wziął ten milion na emigracji?

Pieniądze napłynęły z dwóch źródeł — z „cywilnego” i „wojskowego”.

Źródło „cywilne” — to ministerstwa rządu polskiego na wygnaniu, składki i ofiary przeznaczone na pomoc osobom cywilnym i specjalne dotacje rządu angielskiego.

Źródło „wojskowe” stanowił przede wszystkim Fundusz Społeczny Żołnierza powstały ze stałego opodatkowania żołnierza oraz fundusze oddziałowe, które zostały zebrane ze składek i wygospodarowane przez obrotnych kwatermistrzów.

Obok pieniędzy, w momencie przechodzenia z „państwa na wygnaniu” i suwerennych Polskich Sił Zbrojnych w emigrację polityczną, zarówno ministerstwa i ich urzędy, jak i oddziały wojskowe dysponowały sporym majątkiem w postaci warsztatów, wyposażenia biur, aparatów filmowych itp. ruchomości. Niestety, w zawierusze pierwszych lat emigracyjnych większość tego majątku zaginęła.

Kiedy cofnięto uznanie rządowi polskiemu w Londynie, majątek trzeba było przekazywać przedstawicielom rządu warszawskiego.

Ze zrozumiałych względów starano się tego uniknąć. Dużą część funduszy rządowych zabezpieczono oddając w ręce powierników, którzy mieli je przechowywać do czasu odzyskania wolności, albo do momentu gdy użycie ich będzie potrzebne dla sprawy polskiej.

Żyje jeszcze na terenie Londynu kilku wielkich powierników, przedstawicieli ministerstw; działalność ich jest trudna do skontrolowania i właściwie zupełnie niezależna. Część pieniędzy została zużyta na cele emigracyjne (wydawnictwa, pomoc społeczna, akcje polityczne) część wciąż istnieje, ale do dzisiaj społeczeństwo nie może dowiedzieć się całej prawdy o tych pieniądzach.

W zawierusze — żeby nie powiedzieć w panice — likwidacyjnej rozdzielono pewną ilość drobniejszych sum między niższych urzędników, stwarzając sporo małych powierników, którzy najczęściej, zatajeni, pokupowawszy sobie domy, żyją z wynajmowania pokoiów.

Istnieje w Wielkiej Brytanii prawo o powiernictwie o „trustach”; na jego podstawie fundusze przeznaczone na cele społeczne, dobroczynne, naukowe czy po prostu na rzecz małoletnich — są oddawane pod opiekę „trustees’ów” — powierników — którzy zarządzając majątkiem odpowiadają tylko przed specjalnym urzędem „Charity Commissioner”. Raz oddawszy majątek

powiernikom, odebrać go można tylko wtedy, gdy dowiedzie się im używania go w sposób niezgodny z określonym w statucie powiernictwa.

Stworzeniem szeregu takich powiernictw, mających wspomagać polską działalność kulturalną, naukową i społeczną w Wielkiej Brytanii, zabezpieczono duże fundusze przed „reżymem”. Była to akcja rozsądna i słuszną, dla emigracji korzystna. Złą stroną tych powiernictw jest to, że statuty ich układane w roku 1945 przestały w dużej mierze być aktualne, a powiernicy i kontrolujący ich Charity Commissioner nie dostatecznie znają nowe potrzeby.

Obok powiernictw istnieje druga forma: spółki z ograniczoną odpowiedzialnością pracujące na rzecz organizacji społecznych i instytucji kulturalnych. Te spółki, zarządzane — zgodnie ze statutem organizacji — przez zarządy wybierane na Walnych Zgromadzeniach, o ile chcą posiadać specjalne ulgi podatkowe, muszą poddawać się również kontroli Charity Commissioner'a.

Wszelkie zmiany zasadnicze zarówno w powiernictwach jak i w spółkach muszą być aprobowane przez ten urząd.

Największym funduszem na emigracji rozporządza Stowarzyszenie Polskich Kombatantów; majątek ich wynosi ponad 300 tys. funtów i powstał całkowicie ze źródeł wojskowych. Drugim wielkim funduszem jest Komitet Obywatelski, który powstał na miejsce polskiego konsulatu, i wziął na siebie zadanie pomagania cywilnym Polakom, to znaczy tym, którzy nie służyli w wojsku. Komitet Obywatelski istnieje od roku 1941, gospodaruje ostrożnie i wciąż rozporządza majątkiem ocenianym na ponad 200 tysięcy. Ostatnio Komitet Obywatelski stał się celem częstych interpelacji i prób o ujawnienie gospodarki finansowej. Komitet ten nazywają w Londynie „Komitetem dr. Poznańskiego”, który zarządza majątkiem jako prezes.

Odpowiednikiem „cywilnego” Komitetu Obywatelskiego jest Fundusz Społeczny Żołnierza, stworzony dla pomagania w osiedleniu się byłym żołnierzom. Przez ten Fundusz w ciągu 15 lat przeszło 440 tysięcy funtów; większość została zużyta na zapomogi byłym żołnierzom — tutaj i w kraju; pozostało w nieruchomościach i aktywach około 100 tysięcy.

Osobnymi funduszami rozporządzają koła dywizyjne 3 i 5 dywizji; majątek ich ulokowany w nieruchomościach sięga łącznie 30 tysięcy. O tych funduszach będzie mowa przy omawianiu Stowarzyszenia Kombatantów i dramatycznej historii walk o tzw. „sumy włoskie”.

Funduszami „żołnierskimi” są także fundusze Stowarzyszenia Lotników i Samopomocy Marynarki Wojennej. Lotnicy oparli się w swej działalności na wzorach angielskich i na tradycji walki w obronie Wielkiej Brytanii: raz na rok urządzają (podobnie jak lotnicy brytyjscy) wielką zbiórkę angażując w niej społeczeństwo angielskie. Ta zbiórka przynosi kilka tysięcy funtów zużytych na pomoc byłym lotnikom.

Stowarzyszenie Lotników jest właścicielem dobrze zagospodarowanego domu-klubu w centralnym Londynie i kilku domów na prowincji, ich łączna wartość sięga 75 tysięcy.

Samopomoc Marynarki sprzedała przed kilku laty swój klub „Bałtyk” nad Tamizą i obecnie siedzi na suchym lądzie trzymając pieniądze — około 40 tysięcy — w banku.

W roku 1960 marynarze wspólnie z lotnikami brali udział w rozmowach prowadzonych w celu zakupienia wspólnego domu razem z kombatantami.

Związek Inwalidów Wojennych rozporządzał do niedawna dużym majątkiem będąc właścicielem kilku domów w Londynie. Po okresie wewnętrznych nieporozumień w organizacji, domy sprzedano w połowie zeszłego roku i część pieniędzy zużyto na zapomogi dla inwalidów.

Obecnie Związek jest właścicielem jednego domu w Londynie i trzech na prowincji; aktywa Związku wynoszą 50 tysięcy.

Do funduszy „cywilnych” należą: Towarzystwo Pomocy Polakom, powstałe na miejsce działającego w czasie wojny PCK (80 tys.), Związek Rolników (około 5 tys.), Związek Rzemieślników i Robotników (w rozsypce), dość zasobny Związek Harcerstwa, (około 80 tys.) Towarzystwo Polskie z domem na Earls Court’cie i Związek Pisarzy, którego dom wartości ponad 15 tys. jest we władaniu powierników.

Osobną pozycję stanowią fundusze naukowe i kulturalne powstałe w większości z inicjatywy ministerstwa oświaty.

Taką fundacją jest PUCAL — Polish University College Association Limited — fundusz tej spółki, opiekującej się kilkoma placówkami naukowymi, ocenia się na 70 tysięcy funtów. Stowarzyszenie Techników, instytucja pokrewna o bardziej ograniczonym zasięgu pracy, oceniane jest na 20 tysięcy. Naukowymi placówkami nazwać trzeba oba Instytuty — Sikorskiego i Piłsudskiego, oba są swego rodzaju muzeami polskimi w Londynie i oba są ośrodkami pracy historycznej i kulturalnej.

Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego o majątku (nieruchomym) około 80 tysięcy w dużej mierze spełnia swe zadania. Znacznie uboższy jest Instytut Marszałka Piłsudskiego, posiada o wiele mniejszy budynek i o wiele mniej działa.

Osobną pozycją jest Fundacja „Dziennika Polskiego”. Założona kiedyś przez ministerstwo informacji z bardzo małym kapitałem, przez stałe wydawanie „Dziennika” i umiejętną gospodarkę rozrosła się w potężną (jak na emigracyjne stosunki) placówkę wydawniczą. Ocenia się ją na 65 tysięcy albo na 200 tysięcy, zależnie kto to czyni.

Powstała przy tej fundacji nowa instytucja — Fundusz Kulturalny — zaczęła obecnie wydawać tanie książki. Całość spraw Fundacji Dziennika wciąż jest przedmiotem kilku procesów sądowych ciągnących się od dawna.

Istnieje też niegdyś bogaty i potężny fundusz Wdów i Sierot; własnością tego funduszu był „Orzeł Biały”, wspianiały klub polski w Londynie, w samym sercu Knightsbridge. Orzeł Biały

spalił się, a Fundusz Wdów i Sierot jest obecnie niepokojącym znakiem zapytania.

Tajemnice kas i biur

Kto rozporządza tymi funduszami sięgającymi w sumie miliona funtów? Fundusze zorganizowane na podstawie angielskiego prawa o powiernictwie otrzymały dożywotnich powierników, a w wypadkach, gdy ci umierali, dobierano nowych z tego samego grona.

Fundusze o statutach organizacji społecznych zarządzane są przez wybieranych na walnych zebraniach prezesów i wyznaczanych administratorów.

Skład tych zarządów i osoby prezesów w większości wypadków pozostają bez zmian, te same od początku istnienia organizacji.

Jeżeli przejrzeć listy powierników i prezesów, to łatwo się można przekonać, że te same osoby występują w szeregu funduszy. W rezultacie majątek emigracji pozostaje w rękach grupy panów w wieku około 65 lat.

Ci sami ludzie mają głos w sprawach harcerstwa, pisarzy, „Dziennika Polskiego”, Instytutu Historycznego, rolników i lotników.

Są nazwiska szczególnie uprzywilejowane, bez których, wydaje się, niemożliwe byłoby założyć jakąkolwiek fundację. Bardzo wielu powierników w zarządach funduszy to „delegaci” partii politycznych, koterii lub potężnych, w sensie londyńskim, osób. Ich obecność pozwala partiom i „osobom” kontrolować wydatkowanie pieniędzy.

W funduszu Domu Pisarza np. znajduje się przedstawiciel... wojska.

Pewien zasobny fundusz jest od góry do dołu obsadzony przez jedną tylko partię polityczną.

Większość tych panów tkwi na tym samym fotelu od dwudziestu lat i nie tylko nie pozwala się ruszyć, ale broni się przed wszelką kontrolą.

Polski Londyn zaś nie posiada zorganizowanej opinii publicznej, zdolnej ten stan rzeczy zmienić.

„Dziennik Polski” jest bardzo ostrożny w zamieszczaniu krytyk pod adresem włodarzy funduszy, a inne pisma idą za nim w ślad, często same będąc zależne od dobrej woli powierników tego czy innego źródła zasiłków.

Każdy z funduszy jest kontrolowany przez albo Charity Commissioner'a, albo władze podatkowe i w żadnym z nich nie popełnia się malwersacji ani nie trwoni się majątku społecznego lekkomyślnie. Wiadomo powszechnie, że pieniądze prawie zawsze ulokowane w nieruchomościach pomnożyły się znacznie.

Dotychczasowa niechęć do otwartej, jasnej gospodarki miała przyczynę w dwóch zjawiskach:

Pierwsze to rozbitcie polityczne i powikłania personalne, które nie pozwalały odkrywać tajemnic wobec wrogów z innego obozu;

Drugie to chęć zachowania stanu obecnego jak najdłużej.

Wszelka kontrola publiczna, naciski na scalenie funduszy grożą albo zmianą celów, statutów i władarzy, albo po prostu przejęciem majątku przez ludzi „niepożądanych”.

Niestety, czasy zmieniają się i zadania, jakie fundusze miały przed sobą, już nie są te same. Nie ma już niezaopatrzonych wdów, nie ma niedorostłych sierot po żołnierzach, nie ma osób cywilnych potrzebujących pomocy w osiedlaniu się.

Są nowe okoliczności, nowe zadania i one wymagają innych form niż dotychczasowe. Aby do tych form dojść, należy wyjaśnić z jednej strony stan obecny, a z drugiej stworzyć koncepcję na przyszłość.

Jedno jest pewne, a wszyscy to rozumieją i o tym mówią: milionowy majątek naszej emigracji musi być wykorzystany dla stworzenia polskiej instytucji na obczyźnie, która zapewni przetrwanie naszych ideałów, da oparcie następnym pokoleniom i stworzy fundament dla przyszłych powiązań Polski z Zachodem.

„Na społeczności (naszej) ciążyą wielkie obowiązki i wielka odpowiedzialność nie tylko moralna ale i materialna. Jednym z tych obowiązków jest pełne i racjonalne wyzyskanie majątku społecznego emigracji. Nie ulega wątpliwości, iż nie powinien on ulec uszczupleniu, a — przeciwnie — pomnożony i wzbogacony przekazany powinien być przyszłym pokoleniom. Nie wystarczy jednak, by trwał nieuszczuplony. Musi pracować wydajnie”.

Powyższe zostało wyjęte z Komunikatu nr 1 Polish University College, czyli popularnie zwanego PUCAL'u. W tym komunikacie PUCAL zapowiada podjęcie wysiłków dla scalenia polskich funduszy na emigracji i stworzenia „Związku Polskiego”, ośrodka dla zabezpieczenia całości i ciągłości dorobku kulturalnego emigracji.

Nim zajmiemy się tą akcją bliżej, powinniśmy zapoznać się dokładnie z poszczególnymi funduszami, zaczynając od projektodawców.

Co to jest PUCAL?

Wszyscy w Londynie wiedzą, co to jest Komitet Obywatelski, wszyscy w Londynie i na prowincji znają bogate Stowarzyszenie Kombatantów, ale stosunkowo niewielu odpowiedzieć może na pytanie: co to jest PUCAL?

Historia PUCAL'u związana jest ściśle z wysiłkami zmierzającymi do utrzymania polskiego wyższego szkolnictwa w Wielkiej Brytanii.

W czasie wojny na tych Wyspach znalazło się sporo młodzieży w wieku uniwersyteckim, która w większości miała za sobą rozpoczęte i przerwane w 1939 roku studia. Ministerstwo

oświaty rządu na wygnaniu prawie z miejsca zajęło się stworzeniem dla nich możliwości nauki. W roku 1941 powstała Rada Akademicka Szkół Technicznych (RAST) mająca się opiekować wyższymi szkołami typu technicznego. W tym samym czasie powstał polski Wydział Prawa w Oxfordzie i polska Szkoła Architektury w Liverpoolu. Te wyższe uczelnie utrzymywane były przez ministerstwo oświaty nie bez pomocy ze strony angielskiej.

W krytycznym roku 1945, gdy ministerstwo przestało istnieć jako oficjalna osoba prawna i w dodatku przestało rozporządzać funduszami, groziło, że wszystkie uczelnie polskie przepadną.

Jednak Anglicy skłonni byli utrzymywać pewną ilość szkół jako potrzebnych przy „przysposabianiu Polaków” do życia w tym kraju. Uczelnie polskie uzyskały pomoc finansową od angielskiego Komitetu Oświaty dla Polaków, ale pomoc ta była niewielka; nie dawała takich możliwości, o jakich marzyli Polacy.

Pieniądze były, ministerstwo przekazało znaczne fundusze Zrzeszeniu Profesorów i Docentów Polskich Szkół Akademickich w Wielkiej Brytanii z przeznaczeniem na prowadzenie tych szkół. Na podstawie tych funduszy zorganizowano PUCAL, spółkę gospodarczą przeznaczoną do pomagania wyższym uczelniom.

Początkowo organizatorzy PUCAL'u mieli nadzieję na samodzielne prowadzenie wyższej uczelni i stworzono PUC — Polish University College, Politechnikę Polską w Wielkiej Brytanii. Jednak wielkie plany nie doszły do skutku, przynajmniej nie w tej formie, jakiej spodziewali się założyciele. Trzeba było się zadowolić przeniesioną z Liverpoolu Szkołą Architektury, wydziałem ekonomiczno-handlowym i mechanicznym.

Dla tych szkół, wspomaganych i nadzorowanych przez angielski komitet, PUCAL dostarczał pomieszczeń. Kupowano domy i przygotowywano je do użytku uczelni.

Całość wyższego nauczania istniała w ramach PUC'u, owej Polskiej Politechniki na wygnaniu.

W roku 1950 Anglicy zaczęli zapowiadaną od trzech lat likwidację PUC'u. Uznali, że istnienie polskiego szkolnictwa wyższego wewnątrz angielskiego systemu uniwersytetów i politechnik nie ma już racji bytu.

Polacy zaczęli walczyć o swój uniwersytet. Był to okres wielkiej działalności PUCAL'u, do którego wówczas weszło bardzo wielu profesorów, tak że stał się czymś w rodzaju związku wykładowców polskich wyższych uczelni.

Przez trzy lata próbowano skłonić Anglików do utrzymania PUC'u, ale w roku 1953 Politechnika Polska została zlikwidowana i PUCAL pozostał właścicielem kilku budynków nie zajmowanych przez nikogo.

Część domów sprzedano angielskim instytucjom naukowym, część prywatnym osobom; pozostały w posiadaniu PUCAL'u trzy domy. Dwa z nich przynoszą spory dochód i są całkowicie wynajęte: jeden dom przy 5, Princes Gardens mieścił Bibliotekę Polską, Polski Uniwersytet na Obczyźnie, biura PUCAL'u i Stowarzyszenia Techników.

Po powstaniu Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie — instytucji o wiele mniejszym znaczeniu niż PUC — PUCAL zajął się opieką nad tą uczelnią, a głównie pomaga Bibliotece Polskiej.

Więc reasumując widzimy, że PUCAL jest organizacją opiekuńczą, której zadaniem jest dostarczać pomieszczeń i funduszków polskim placówkom naukowym w Londynie.

Profesorowie nieroztargnieni

Powierzyć pieniądze profesorem? Wydaje się, że podobny pomysł z góry skazany był na niepowodzenie. Naukowcy, ludzie liczący gwiazdy, nigdy nie wydawali się dobrymi powiernikami finansów.

Ale oto okazało się, że wśród wszystkich powierników ci byli najrozsądniejsi, najbardziej rzeczowi.

Prawda, większość z nich to inżynierowie, technicy, matematycy, ale i humanistów nie brakowało.

Założycielami PUCAL'u byli profesorowie: Herbich, Z. Klemensiewicz, J. Mazur, S. Neumark, W. Skalmowski, S. Skoczylas, J. Nowak, H. Tenenbaum, W. Czarnecki, B. Szmidt, M. Giergielewicz, T. Sulimirski, B. Zaborski, A. Żółtowski i płk inż. M. Dembiński.

Do Rady, która stanowi naczelną władzę stowarzyszenia, zaproszono też Anglików: prof. C.I. Fortescue i prof. Landera z Imperial College, prof. D.L. Savory z Uniwersytetu w Belfaście.

Rada obecnie posiada 25 członków wybieranych przez Walne Zebranie w ten sposób, że co roku 1/6 Rady zmienia się. Majątkiem Stowarzyszenia zarządza Komitet Wykonawczy. Pierwszym przewodniczącym Komitetu Wykonawczego był prof. dr T. Sulimirski.

Demokratycznych rządów i porządku profesorowie strzegą z dokładnością matematyczną. Tak samo dokładnie i wyczerpująco Komitet składa swe coroczne sprawozdania, które są jawne i całkowicie obrazują stan finansów PUCAL'u.

PUCAL jest więc takim stowarzyszeniem, takim funduszem, który swych tajemnic nie strzeże w kasach ogniotrwałych.

W gospodarce PUCAL'u nie ma śladu profesorskiego roztargnienia, przeciwnie, widać że ją prowadzą ludzie o dużym talencie businessmanów.

Zakładając PUCAL w roku 1945 Zrzeszenie Profesorów przekazało mu 13,346 funtów, dzisiaj zarząd stowarzyszenia ocenia majątek na 70 tysięcy. Jest to wielkie osiągnięcie!

W okresie największej aktywności, gdy PUCAL administrował siedmioma domami mieszczącymi uczelnie, na zakup tych domów zaciągnięto pożyczki w Funduszu Społecznym Wojska, w Funduszu Żołnierza i w banku. W roku 1953 większość domów sprzedano pozostawiając tylko trzy i te pożyczki spłacono, tak że cały majątek PUCAL'u uważać można za wypracowany z sumy otrzymanej w roku 1945.

Prawda, że nastąpiła inflacja funta i znaczny wzrost cen domów, ale pamiętajmy, że przez cały czas PUCAL wypłacał zapomogi instytucjom, którymi się opiekował.

Po przejściu na nową gospodarkę ograniczono te wypłaty: w roku 1952-53 zapomogi dla instytucji naukowych i stypendia PUCAL'u wyniosły wszystkiego 177 funtów; w roku 1961/62 1265 funtów.

W tym czasie uporządkowano sprawy finansowe po likwidacji PUC, wyremontowano domy, jeden z nich przerobiono na pojedyncze mieszkanie do wynajęcia (kosztowało to 9.278), drugi dom wynajęto w całości.

Nominalna wartość tych domów wynosi razem ponad 24 tysiące; w rzeczywistości, wobec z dnia na dzień rosnących cen nieruchomości w Londynie, warte są one o wiele więcej.

Dochód z obu domów stanowi sumę 3539 funtów i pozwala on na subwencje i pomoc organizacjom naukowym.

W roku 1962/63 PUCAL przyznał:

Związkowi Studentów	90 funtów
Polskiemu Uniwersytetowi na Obczyźnie	300 „
Wydawnictwu Technika i Nauka	400 „
Szkole Nauk Politycznych	100 „
Polskiemu Tow. Naukowemu	150 „

Razem z indywidualnymi stypendiami na pomoc naukową wydano 1.227 funtów.

Nie licząc Biblioteki Polskiej.

Trzeci dom, będący obecnie w posiadaniu PUCAL'u to budynek, w którym mieści się Biblioteka Polska. Jest to dom wdzierżawiony na długi termin, nie będący tak jak poprzednie własnością organizacji. Ten dom pochłania większość dochodów z tamtych dwóch.

W ostatnim roku PUCAL musiał ustąpić z sąsiedniego domu tejże Princes Gate i przenieść się do prawie takiego samego budynku pod numerem 9. Kosztowało to — 2953 funty. Obecnie na utrzymanie nowego domu potrzeba rocznie 1.634 funty, idą na to rzecz jasna dochody z tamtych dwóch.

W domu na Princes Gate prawie trzy piętra zajmuje Biblioteka Polska otrzymując to pomieszczenie bezpłatnie (1).

(1) Biblioteka Polska wymagałaby osobnego rozdziału i dawno prosi się o szersze opracowanie, zwłaszcza jeżeli chodzi o grożące jej powikłania i komplikacje.

Od początku Biblioteka podzielała niejako losy PUCAL'u. Powstała przy ministerstwie oświaty i w roku 1945 została przekształcona z początku na samodzielną placówkę, a następnie na bibliotekę uniwersytecką — Polish University College Library. Po likwidacji PUC została wreszcie Biblioteką Polską, którą wspomaga angielskie ministerstwo oświaty w ramach ogólnej akcji bibliotek publicznych.

Praca i znaczenie Biblioteki Polskiej znane są wszystkim. Zgromadziła ona olbrzymie skarby i dysponuje nimi dla dobra wszystkich Polaków, wartość zbiorów jest niewymierna. Biblioteka Polska w Londynie, obok Instytutu Historycznego Sikorskiego i Instytutu Piłsudskiego, jest predystynowana

Finanse i idea

Podstawą gospodarki finansowej Komitetu Wykonawczego PUCAL'u jest rzeczowa ocena londyńskich warunków ekonomicznych. Ogromny wzrost cen nieruchomości i ciągłe, olbrzymie zapotrzebowanie na domy, wskazują, że najlepszą lokatą pieniędzy jest kupno domu na własność. Taka lokata nie może nigdy być stratą. Nawet w wypadku gdy władze miejskie planując przebudowę dzielnicy wykupują domy od prywatnych właścicieli, płacą za nie wysoką cenę rynkową.

Dwa dobrze prowadzone i korzystnie wynajęte domy PUCAL'u pozwalają na utrzymanie trzeciego i dodatkową szeroko zakrojoną akcję naukowo-kulturalną.

Ile domów można kupić za milion? I jak wielką akcję polską w Wielkiej Brytanii można byłoby prowadzić na tej podstawie?

O tym właśnie myśli obecny Komitet PUCAL'u i wysuwa konkretną propozycję w kierunku wszystkich funduszy polskich.

Drugą korzyścią ze scalenia jest zmniejszenie kosztów administracyjnych.

Przeglądając sprawozdania finansowe organizacji stwierdzamy, że te koszty są zawsze poważne. Minimalne koszty małych funduszy nie wchodzi w grę, stan ten wynika najczęściej z tego, że gospodarką zajmuje się honorowy skarbnik i honorowy prezes. Na długą metę ten stan nie będzie możliwy.

Koszty administracyjne PUCAL'u — z tym że i tu funkcje prezesa, skarbnika i sekretarza są stanowiskami honorowymi — wynoszą 840 funtów. Wchodzi w to wszystko — telefon, opłaty bankowe, znaczki i papier korespondencyjny, wynagrodzenie przysięgłego rachmistrza, 340 funtów pensji dla administratorów i obsługi i 156 funtów wydane na adwokatów.

Procentowo koszty nie są wielkie. Gorzej przedstawia się to w funduszach małych, ale i w wielkich i w małych mogą być te wydatki zmniejszone przez wspólną administrację.

na podstawę przyszłego ośrodka polskiego, jakiejś wielkiej fundacji kulturalnej, która będzie spadkiem obecnej emigracji przekazany przyszłym pokoleniom.

Bibliotece Polskiej co pewien okres zagraża katastrofa. Taką katastrofą była możliwość wycofania subsydium przez Anglików, zażegnała to zbiorowa petycja społeczeństwa polskiego. Taką katastrofą może być grożąca obecnie reorganizacja. Niezależnie się od tych kłopotów i usamodzielnic, co by znacznie ułatwiło prace, może Biblioteka przy pomocy PUCAL'u, zwłaszcza jeśli jego projekt scaleniowy dojdzie do skutku.

Równie blisko jak Biblioteka Polska związane są z PUCAL'em organizacje naukowe: Stowarzyszenie Techników Polskich, Zrzeszenie Profesorów i Docentów, a przede wszystkim Polski Uniwersytet na Obczyźnie. Wszystkie te organizacje biorą bardzo czynny udział w pracach nad urzeczywistnieniem projektu PUCAL'u.

Oto jak wygląda plan PUCAL'u:

Zbierzmy wszystkie fundusze razem i gospodarujmy nimi wspólnie; będziemy w ten sposób stanowili potężną siłę finansową, zmniejszymy koszty administracyjne i zabezpieczymy fundusze na przyszłość.

Druga część propozycji, część ideowa, brzmi tak mniej więcej:

Stwórzmy organizację polską, w której członkowie będą mieli głos proporcjonalny do włożonego kapitału. Dochód będziemy rozdzielali proporcjonalnie na potrzeby organizacji członkowskich, których cele i działalność pozostaną nienaruszone. Wspólnym dążeniem ma być jednak stworzenie jednego polskiego ośrodka, zdolnego obsłużyć wszystkie potrzeby reprezentowane przez organizacje członkowskie i stworzyć podstawy pod wielki spadek jaki ta najbogatsza emigracja polska musi po sobie zostawić (2).

W lutym tego roku, na Walnym Zebraniu Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii, delegaci PUCAL'u przedstawili swój projekt innym organizacjom społecznym. Wywiązała się przy tym dyskusja i w rezultacie Zjednoczenie Polskie postanowiło poprzeć projekt i roztoczyć nad nim opiekę.

Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii jest pozostałością wysiłków scalenia polskich organizacji społecznych. Ta pozostałość jest czymś w rodzaju bezsilnego komitetu koordynacyjnego, platformą, na której delegaci organizacji spotykają się i dyskutują, przeważnie nie podejmując wiążących rezolucji. Poparcie Zjednoczenia dla akcji PUCAL'u nie posiada wielkiego znaczenia praktycznego. W każdym razie na terenie Zjednoczenia spotkali się przedstawiciele Stowarzyszenia Kombatantów, Stowarzyszenia Lotników Polskich, Samopomocy Marynarzy, Komitetu Budowy Domu Młodzieży i jeszcze kilku innych organizacji i postanowili zwołać zebranie w ściślejszym gronie dla przedyskutowania projektu. Dotychczas odbyły się dwa takie zebrania i niestety nie posunęły sprawy naprzód.

Projekt PUCAL'u przeżywa — jak mówią projektodawcy — okres „grypy”.

Wiadomo było z góry, że akcja scaleniowa wywoła wiele sprzeciwów. Nie są to sprzeciwy jawne, trudno stać w opozycji wobec czegoś co jest bezspornie korzystne dla sprawy polskiej. Opozycja działa skrycie. Przede wszystkim próbuje się zdyskredytować

(2) Mówiąc o funduszach i ich przyszłości trudno się powstrzymać od poruszenia spraw personalnych. Są one najczęściej bardzo krępujące, ale w wypadku PUCAL'u sprawa przedstawia się prosto: energia i zapał całego Komitetu Wykonawczego gwarantują wielką szansę powodzenia. Jak zawsze najtrudniej na emigracji znaleźć właściwego człowieka, człowieka, który połączy zapał entuzjasty z zimną kalkulacją businessmana. PUCAL go znalazł.

Obecny skład Komitetu Wykonawczego wygląda następująco:

Przewodniczący prof. inż. R. Wajda, sekretarz J. Wysocki, skarbnik mgr. S. Stachura, członkowie: inż. Kazimierski, prof. inż. S. Połujan, inż. J. Biliński, dr M. Danilewiczowa, inż. S. Liszka i sekretarz generalny od 1953 roku p. E. Lubomirski.

akcję jako będącą zamiarem zagarnięcia władzy przez pewną grupę, albo też wypowiedzeniem wojny innej grupie.

Działa tu także niezrozumienie celu. Bardzo wiele organizacji uważa projekt PUCAL'u za dalszy ciąg starań o budowę Domu Polskiego w Londynie. Przeszło dwa lata temu powstał taki projekt i próbowano wcielić go w życie. Zamierzano z udziałów pieniężnych wielkich funduszy wybudować Dom, który pomieściłby wszystkie polskie instytucje kulturalne i społeczne i był swego rodzaju „cytadelą polską w Londynie”. Wedle projektów architektów i finansistów taki Dom miałby kosztować przeszło 300 tysięcy. Na ten śmiały i potężny projekt nie znaleziono pieniędzy; organizacje i fundusze nie zobowiązały się do udziału w budowie.

Zebrano zaledwie 222 funty i 3 szylingi na pokrycie kosztów prawnych i te pieniądze leżą w dalszym ciągu w Barclays Bank w Londynie.

Czy i projekt PUCAL'u upadnie? Otóż projektodawcy są zdecydowani budować „Polski Ośrodek Kulturalno-Społeczny” przy współpracy innych organizacji i funduszy, albo bez niej.

„Jeżeli trzeba — powiadają — zaczniemy od naszego domu, w którym mieści się Biblioteka Polska. To będzie początek „Ośrodka”. Inne organizacje będą mogły się z czasem do nas przyłączyć”.

Z czasem — to znaczy po przełamaniu nieufności, egoizmu, uprzedzeń i obaw przed postępem — miejmy nadzieję wielkie fundusze zaczną współpracować z PUCAL'em.

Największy z nich, fundusz Stowarzyszenia Polskich Kombatantów do budowy Domu Polskiego w Londynie ustosunkował się niechętnie. Czy zechce, czy będzie mógł poprzeć projekt budowy Ośrodka?

Czesław DOBEK

Młode pokolenie emigracyjne

Na pozór nagle, jakby w wyniku zмовy, australijska Polonia uświadomiła sobie tak zwane zagadnienie młodzieży. Czyli zorientowała się że nie jest wykluczone, iż po nieuniknionym wymarciu tego *spiritus movens* polskości jakimi są pierwsi, autentyczni imigranci — ich córki i synowie, w przeważającej większości, stopniowo, przestaną być Polakami i staną się Australijczykami nie tylko w formie, to jest w obyczajach i w trybie życia, ale też w treści, a więc w sposobie myślenia i sentymentach. A o trzecim pokoleniu już lepiej nie myśleć — może zostaną w nim narodowe nazwiska, o ile i te w międzyczasie nie będą zaaustrali-

zowane za marną opłatą stemplową, już choćby dla wygody, dla łatwiejszego wymówienia, lub dla celów zgoła komercyjnych i zawodowych. Już obecnie federalny dziennik rozporządzeń (*Commonwealth Gazette*) zawiera mnóstwo zmienionych polskich nazwisk. Zostaną też jakieś zakurzone relikwie polskie w rupieciarniach, jakieś pożółkłe listy w dolnej szufladzie bieliźniarki i kilka wyblakłych fotografii w albumie, dla zanudzania zbyt długo zwlekających z odejściem gości. To nie jest bynajmniej teoretyzowanie — tak stało się np. z większością Niemców w stanie Południowej Australii.

Nagłość, z jaką uświadomiono sobie problem młodzieżowy, jest oczywiście tylko pozorna. I nie było zmywy. Po prostu sprawa dojrzała wraz z dojrzewaniem młodzieży.

Tak jak szanujący się ojciec pragnie aby jego nazwisko nie wyginęło i żeby jego dzieci odziedziczyły po nim dorobek — tak pierwsze pokolenie emigrantów polskich w Australii marzyło — najpierw po cichu, a teraz alarmująco i na głos — o tym, aby ich potomstwo pozostało polskie, narodowo uświadomione i silne, zwarte, gotowe do raczej mgliście zdefiniowanych poświęceń dla ojczyzny rodziców, w której te dzieci w ogromnej większości nigdy nie były, nigdy jej nie widziały i o której mają jakieś wyidealizowane, nieokreślone pojęcie.

Ponieważ określa się młodzież przez ilość przeżytych lat, więc dla zobrazowania sobie struktury rocznikowej emigracji polskiej w Australii nie potrzebna jest naukowa statystyka z jej tabelami i matematycznymi formułami. Wystarczy trochę przyziemnej logiki, elementarnej arytmetyki i chronologii. A więc faktem jest, że większość emigrantów składała się z Polaków, którzy w dniu wybuchu wojny nadawali się bądź to do walki zbrojnej, bądź to do zsyłki na roboty przymusowe. Byli to — co jest ważne — głównie mężczyźni, którzy w dniu zawieszenia broni znaleźli się poza granicami ojczyzny. Australia — między innymi — otworzyła im swe wrota w latach 1948-9, czyli w blisko dziesięć lat po wybuchu wojny i prawie pięć lat po jej zakończeniu. W okresie już pokojowym, lecz wciąż przedemigracyjnym część ich — przeważnie w Niemczech — idąc za naturalnym instynktem wieku znalazła sobie żony, w tym znaczny procent cudzoziemek i nierzadko Niemek. Bo Polek w dostatecznej ilości nie było i na kontynencie należały one raczej do wyjątku, nie do reguły. Dzieci urodzone z tych małżeństw przed wyemigrowaniem były wychowywane na obczyźnie, w prymitywnych warunkach i już wtedy ich polskość została subtelnie i jednocześnie mocno nadszarpnięta. Drugą grupą przyszłych rodziców byli kawalerowie, którzy poženili się już w Australii, też nie zawsze z Polkami i również z tego samego powodu; nieliczni tylko zafundowali sobie rodaczki, importowane z kraju. Dzieci tych obu grup zostały — bo tak nakazuje tutejsze prawo — oddane do szkół miejscowych, z językiem wykładowym angielskim i, o ile chodzi o szkołę, programowo wychowane jak Australijczycy i Australijki.

Póki były dziećmi w dosłownym znaczeniu — zależne, niedoj-

rzałe — musiały ślepo ulegać autorytetowi nacjonalistycznie-polsko nastawionych rodziców. Lecz teraz, w 1964 roku, przeciętny wiek takiej panienki czy młodzieńca waha się około piętnastki co najmniej. Nic więc dziwnego, że problem nagle zaostrzył się. Bo obecnie te polskie „dzieci” wchodzą w australijskie życie — do szkół średnich, do uniwersytetów, do warsztatów pracy. Z wrodzoną młodzieży — i drugiej połowie dwudziestego wieku — skłonnością do uniformizmu, naraz stwierdzają, że rodzice wymagają od nich aby byli inni, aby odczuwali więcej niż powierzchowny sentyment do dalekiego kraju — konturu na mapie — który mają sobie wyobrazić z często pompastycznych wynurzeń i elementarzystycznych obrazków; który mają kochać na słowo. Ojciec (lecz nie każdy) i matka (niezawsze) wymagają aby uczyli się dodatkowo trudnego języka polskiego od nie najlepiej wykwalifikowanych pedagogów — a młodzi ludzie takie słabe strony nauczycieli wyczuwają bardzo szybko. Namawia się ich aby przychodzili na zebrania, podczas których tenże skomplikowany język jest już używany; aby wysłuchiwali perorujących, często ze śmiesznym dla młodego umysłu patosem, ludzi od siebie grubo starszych, mających odmienne zainteresowania.

Następuje więc całkiem naturalna, mniej lub więcej zamaskowana — i niekiedy wzajemna — reakcja, jeżeli nie zgoła otwarty bunt młodych. Oni wcale nie chcą być inni od ich australijskiego otoczenia. Nie mają ochoty do ślęczenia w soboty na zaimprovizowanej ławie szkolnej czy domowej, podczas gdy ich nie obarczeni misją dziejową koledzy idą na mecze krykietowe, lub z tranzystorem na plażę. Oni nie chcą pogardzać czy przynajmniej odnosić się z udawanym chłodem np. do Niemców, z których dziećmi uczęszczają do jednej miejscowej szkoły. Ani nie odczuwają ochoty do zbytniego ubolewania nad losem okupowanej Polski, jeżeli w ogóle zdolni są pojąć istotę tej okupacji. I nie mogą jeszcze zrozumieć — gdyby nawet chcieli — co to jest ten komunizm, przed którym rodzice trochę naiwnie ich ostrzegają. Nie pojmują jak można wyrażać się z gorącym entuzjazmem o kraju, w którym jest tak ciężko, że cioci Eugenii, znanej im jeno z pozowanej fotografii, trzeba ciągle posyłać te paczki, żeby biedaczka nie głodowała. Wiedzą natomiast, że w Australii nikomu nie brakuje żywności.

I kiedy — bo i na to już przychodzi czas — interesuje ich osoba płci odmiennej, to nie pytają jej z punktu o narodowość rodziców czy dziadków; nie nalegają na to, że musi być polska, albo żadna.

Narzucają się zatem dwa pytania: Po pierwsze, czy pomimo najszczerzych chęci taki dualizm narodowy jest w obecnych warunkach do utrzymania? Po wtóre, czy środki planowane przez kierowników — nie można tu mówić o przywódcach — naszego społeczeństwa dla ratowania polskości młodego pokolenia mają jakieś szanse powodzenia. Niestety, planowane, bo wciąż jesteśmy w stadium szukania dróg. Dopiero teraz zaczyna się bić na alarm.

Na poparcie tezy, że dualizm narodowy nie jest niemożliwy niektórzy ciągle wysuwają przykład Polonii amerykańskiej, zapominając przy tym, że powstała w innej epoce dziejowej, w innych warunkach geopolitycznych, z odmiennego elementu społecznego, w diametralnie różnych założeniach edukacyjnych i socjalnych. Że częściowo została po prostu zwerbowana przez komercyjnych agentów emigracyjnych u schyłku dziewiętnastego wieku. Że rekrutowała się z ludzi przeważnie prostych, robotników miejskich i wiejskich, którzy w okresie zaborów i ucisku gospodarczego wywędrowali masowo — z rodzinami i z dobytkiem — za ocean, w poszukiwaniu szczęścia. Przybyli do kraju raczej nacjonalnie prymitywnego, który ponadto miał instytucję mniejszości narodowych wbudowaną w swoją konstytucję; który był oficjalnie zlepkim emigrantów z całego świata, ciągnących do tej twardej ziemi obiecanej, bo u siebie w domu byli albo prześladowani, albo poniewierani, lub permanentnie bezrobotni czy bezrolni. Instytucja powszechnego, przymusowego i zintegrowanego szkolnictwa niższego — tego idealnego narzędzia do wynaradawiania i przemarodowienia — nie była jeszcze wtedy rozwinięta i zamiast narodu amerykańskiego istniały terytorialne wysepki nacjonalistyczne jeszcze nie scementowane w całość i ludzie jednego języka i podobnych obyczajów trzymali się kupy nie tylko dla wzajemnej otuchy i pomocy, lecz też ze względów bezpieczeństwa. W takich warunkach istnienie małej Słowacji, takiejż Italii, Irlandii, Germanii i Polonii było nie tylko zrozumiałe — było nieuniknione.

Powstanie obecnego narodu amerykańskiego było przeto, raczej eksperymentalne, powolne, nie forsowane. Fakt internowania wielu Niemców w czasie wojny hitlerowskiej dowodzi, że proces integracji amerykańskiej daleki jest jeszcze od zakończenia. Nie tak jest w Australii. Rząd tutejszy nie chce znaleźć się w konieczności internowania obywateli na wypadek wojny; sytuacja tego kraju jako białej wyspy sytych, otoczonej setkami milionów kolorowych głodnych jest i tak niepewna. Australia chce więc być jednolita. Jej polityka imigracyjno-asymilacyjna była przeto precyzyjnie planowana, obliczona na szybkie rezultaty, z góry uzgodniona z przedstawicielami społeczeństwa i jego związków zawodowych i... brytyjska, czyli oparta na zasadzie *take it or leave it*.

Do Australii, blisko sto lat później niż do Ameryki, został wpuszczony — i nie tak masowo, bo selekcyjnie — inny rodzaj emigranta polskiego. Nie pioniera. Melbourne czy Sydney z drugiej połowy dwudziestego wieku nie można przyrównać do Chicago czy Nowego Jorku z końca dziewiętnastego wieku. Organizowanie więc nowoczesnej i małej Polonii australijskiej według przestarzałego amerykańskiego wzoru jest anachronizmem i naiwnym błędem. Ba, jest niemożliwością. Z drugiej jednak strony można zrozumieć, że nasi kierownicy społeczni, znalazłszy się nagle i nieprzewidzianie na obcej ziemi, zaczęli — w instynktowym dążeniu do zaimprovizowania jakiejś wyczekującej zmian

spoistości narodowej — szukać wzorów; i że bodaj jedynym precedensem historycznym powstania Polonii na terenie anglosaskim był ten amerykański.

Powstały więc te modelowane na przeszłości Domy Polskie, które można opisać — jak to w odpowiedzi na ankietę „Tygodnika Katolickiego” w Melburnie uczynił pewien czytelnik — jako „sposobność do popicia”. Można je również, przy dobrej chęci, określić jako stworzone *ad hoc* narodowe kluby towarzyskie dla starszych panów i dla zwabianej przez nich młodzieży. Nie jest to zbyt dobra mieszanka — bo, jak w tej chińskiej przypowieści, starsi dla zabicia nudy patrzą w tył, w swoją minioną młodość, a młodzi nudzą się przy tym, bo oni chcą patrzeć na przód.

Niebardzo też pomagają te z ofiarnością zorganizowane szkółki sobotnie oraz Domy Dziecka, w których z poświęceniem pracują sprowadzone siostry zakonne — bo procentowo korzysta z nich znikoma ilość rodziców. Nie na wiele też zdają się sporadyczno-regularne pikniki i te niezawsze takie pełnopolskie, wciąż borykające się z trudnościami pokazowe kluby piłki nożnej. (Przez Kopnięcie do Historii).

O ile chodzi o szkolnictwo, przede wszystkim nie wzięto należyte pod uwagę kardynalnego faktu australijskiej oficjalnej polityki emigracyjnej, mającej do swej dyspozycji specjalnie zbudowaną, wyrafinowaną aparaturę asymilacyjną, także pozaszkolną, z celem jak najszybszego wychowania dzieci emigrantów na pokolenie dumnych ze swego kraju młodych Australijczyków. Już w drodze do Australii, w obozach i w centrach zaokrętoowania a potem na samych okrętach pracują nad tym pełno zatrudnieni Migrant Education Officers.

Mamy więc z jednej strony działającą na pełnych obrotach rządową machinę edukacyjno-integracyjną z kadrami starannie wytrenowanych nauczycieli i wychowawców świadomych swego specjalnego zadania, z subtelnie opracowanym programem szkolnictwa w jego stadium przymusowym gdy dziecko — *tabula rasa* — jest najpodatniejsze. Atak asymilacyjny na młodocianych przeprowadzany jest z precyzją, z obfitymi funduszami i przyętami stypendiów, prawie z harmonogramem, z armią współpracowników od linotypistów i grafików do zawodowych, tylko tak niewinnie wyglądających psychologów, z własnymi radiostacjami i publikacjami periodycznymi. A po drugiej stronie stoi, niby Dawid bez procy wobec federalnego Goliata, garstka polskich (w tym wypadku) entuzjastów, sklecających na poczekaniu te często efemerydalne szkółeczki sobotnie, po większej części bez naukowo opracowanego programu, bez fachowych kadr nauczających, z heterogenicznym zestawem podręczników i w warunkach urbanistyczno-logistycznych czasem niemożliwych do pokonania, gdy szkoła odległa jest o ciężkie mile od domu mieszkalnego.

Cóż z tego, że te dwa tygodniki biją na alarm; że rozsyła się periodycznie tych kilkaset powielanych listów z prośbą o jaki-

kolwiek zasiłek dla Polskiej Macierzy Szkolnej; że wciąż się do pracy — jak słusznie zauważył specjalista-pedagog Jerzy Goebel — „ludzi niekompetentnych, lecz dobrej woli” i że zarówno „Tygodnik Katolicki” Gronowskiego jak i „Wiadomości Polskie” Karwickiego ofiarują cenną przestrzeń w swych gazetach na podtrzymanie tego płomyczka oświaty polskiej i drukują regularnie i w tonie lekko przesadzonego optymizmu stałe dodatki dla młodzieży, czytane przede wszystkim przez starych.

Takie szlachetne sentymenty i wysiłki można podziwiać. Można patrzeć z autentycznym szacunkiem na ludzi, którzy — od czasu do czasu — wyrrywają sobie ostatnie włosy z siwiejących głów w poszukiwaniu dróg ratunku dla zachowania młodego pokolenia przy polskości. Ale też niesposób oprzeć się wrażeniu, że na dłuższą metę jest to walka z wiatrakami, szczególnie przy sofistycznym nastawieniu współczesnej młodzieży. Wszystkie wysiłki w tym sentymentalnym kierunku zostają powoli niweczone przez nieubłagany proces lokalnej dynamiki socjalnej, przez mieszane małżeństwa z Australijczykami i Australijkami, przez tryby logicznej ewolucji, wynikającej ze specyficznych, australijskich warunków, w których trudno być innym i żyć na marginesie ogółu.

W lutym 1964, Prezydium Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii wydało specjalną broszurę, w której na dziesięciu bitych stronach jest mowa o zagadnieniu młodzieży. Konstatuje się, że jest źle, że wcześniej czy później może być jeszcze gorzej i że wobec tego coś trzeba zrobić — jeżeli się da. Mimo jej pragmatycznego charakteru zawarte w broszurze wskazania i mentorskie pouczenia są dość ogólnikowe. Nie wchodząc zbyt w krępujące szczegóły organizacyjne wymienia się jako głównych polonizatorów: rodzinę, samopomoc oświatową i duszpasterstwo. Takiej generalizacji nie możemy się zresztą dziwić gdy pomyślimy, że Rada Naczelna jest ciałem moralno-doradczym, mocno symbolicznym i nie posiadającym faktycznej egzekutywy. Dlatego może z całego tekstu broszury przebijają ton utajonej rezygnacji zabarwionej rozcieńczoną nadzieją. I uderza ten ciągły tryb warunkowy i czas przyszły niedokonany. Osnową, wyrazem operatywnym broszury jest słowo „należałoby”, które w różnych wariantach snuje się niby *leitmotiv* przez cały tekst. Teraz, po piętnastu latach, wciąż mówi się spokojnie o tym co należałoby zrobić, żeby naszą młodzież utrzymać przy polskości. Stateczne rady Rady w tym kierunku brzmią pięknie, poważnie i głęboko — ale dlaczego przychodzą tak późno, gdy ta młodzież już się prawie wyśliznęła spod opieki rodzicielskiej. „Zaleca się” rodzicom danie dzieciom znajomości języka i kultury polskiej — a przecież te dzieci już prawie dorosły. Są już nawet dzieci tych „dzieci”. Pisz się, że „będziemy musieli”, gdy nawet na „musimy” jest już trochę za późno. A skoro już o tym „dawaniu” mowa — to różnie bywa. Dać może tylko ten, kto ma. Poniektórzy nawet mają — lecz nie zawsze wiedzą jak dawać. Albo nie mają

ochoty — bo wolą patrzeć na telewizję. Lub chcą wychować „prawdziwe” australijskie dzieci.

Nie ulega wątpliwości, że Rada Naczelna w Sydney składa się z ludzi inteligentnych, którzy na pewno zadali sobie pytanie: czy takie broszury w 1964 nie są raczej patetycznym gestem niż receptą na spóźnioną terapię? Asymilacja jest nie tylko *ante portas*; już przepchnęła się przez wrota i mruga do młodzieży aż miło. Bardzo dużo żrebiąt i żrebic już uciekło i na schwytanie ich są nikłe nadzieje — a my wciąż szukamy kłódki dla zamknięcia drzwi pustoszejącej stajni.

Można w pewnym sensie usprawiedliwić drukowanie broszur wzywających społeczeństwo do ratowania polskości młodego pokolenia na emigracji — już choćby tym, że kilka egzemplarzy na pewno wyląduje w archiwach historycznych, co też ma swoje znaczenie — dla potomności. Ale zamiast obarczać młodych podwójnym szkoleniem, podwójną nacjonalnością i czysto dla nich teoretycznym balastem historycznym można również — jak to czynią niektórzy — spróbować spojrzeć na sprawy realniej i powiedzieć sobie, że przecież tym świeżo upieczonym nowo-Australijczykom jest tu dobrze, że teraz tu jest ich *patria*, ich przyszłość i nadzieje. Czy nie wymagamy od nich za dużo, więcej niż inni australijscy rodzice żądają od swoich dzieci w tymże beztroskim wieku? Dlatego nie wolno nam potępiać tych, którzy twierdzą, że o istotnym utrzymaniu młodych pokoleń przy prawdziwej polskości może być mowa przede wszystkim tam, nad Wisłą, a nie tu, nad Pacyfikiem, nad Atlantykiem czy nad Tamizą.

Wprawdzie emigracja polska po wojnie — na całym zachodnim świecie — ujawniła i rozwinęła liczne talenty literackie, dziennikarskie i polityczne, lecz prawie bez wyjątku ci redaktorzy, autorzy i publicyści wychowali się w niepodległej Polsce, są jej produktem. Jest mocno wątpliwe czy takich wyhodujemy za granicą z obecnego młodego pokolenia — w Australii czy gdzie indziej. I tak wysoko broszura Rady Naczelnej w Sydney oczywiście nie zamierza sięgać.

Istnieją także w Australii emigranci, którym do wychowania dzieci w duchu narodowym nie potrzeba ani szkółek sobotnich, ani Domów Polskich z asortymentem wódek monopolowych i z flakami w czwartki, ani meczów futbolowych, ani pikników, ani broszur — a przecież ich córki i synowie mówią, myślą i czują po polsku. Jest takich rodziców nawet sporo. Lecz są to mimo wszystko wyjątki. Na daleką metę wątpliwe jest czy uda się utrzymać prawdziwą polskość przyszłych pokoleń tutejszych przy pomocy obecnie stosowanych paliatywów.

Nie znaczy to jednak, że założymy ręce w bezczynności. Będziemy próbować różnych sposobów, do ostatniego tchu. Wydamy więcej broszur. Bo tacy już jesteśmy.

Adam NASIELSKI

Najnowsza historia Polski

Rehabilitacja płk. Hańczy

W związku z moim artykułem w nr. 10/192 „Kultury” i wyrażoną tam prośbą o nadsyłanie poprawek i uzupełnień do niego, napłynął szereg interesujących wypowiedzi, które przyczyniają się do przeniknięcia tajemnicy, otaczającej dotychczas znany obraz życia i śmierci płk. Hańczy. Listy są liczne i niektóre bardzo wyczerpujące i drobiazgowo. Jednak całość materiału jest zbyt obszerna, aby podawać do druku i obciążać detalami uwagę czytelnika, szukającego przecież syntezy i różnorodności tematów.

Po 18 latach od śmierci Hańczy, pognębitego i napiętnowanego urzędowo, została wznowiona jego sprawa w druku celem poruszenia opinii, wywołania świadectw historycznych i wyjaśnienia całej prawdy. Usiłowanie to przyniosło dobre rezultaty, bo wiele odezwało się głosów i na podstawie analizy dostarczonych informacji można stopniowo odtworzyć ówczesną rzeczywistość. Niestety, nie okazały dobrej woli w tym kierunku osoby, mające w sprawie najwięcej do powiedzenia i dysponujące zatajonym materiałem dowodowym. Ci wystąpili z suchym oświadczeniem, kładąc akcent na jednym tylko zdarzeniu.

Najważniejszą zagadkę stanowiło oblicze duchowe Hańczy i jego nastawienie ideowe i polityczne w ostatnim czasie przed śmiercią. Wskutek tajnego charakteru działalności Hańczy i jego samodzielnosci jako dowódcy, trudno było uchwycić jej przejawy, nie mówiąc o zrozumieniu skrytych pobudek. W okresie wielkich przemian politycznych, wśród chaosu powojennego, narzuconej wygnańczej demobilizacji, przy rozdzieleniu pomiędzy falą powrotu do kraju a rozproszeniem emigracyjnym, intencje takiego głębokiego konspiratora, jakim był Hańcza, były mgławicą dla patrzącego nawet z bliska. A w tych intencjach leżał klucz do jego duszy. Musimy więc, dopiero po tylu latach, rozpatrzyć sze-

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

rzej i głębiej wypadki współczesne Hańczy i na ich tle znaleźć motywy jego postępowania.

Wraz z zakończeniem wojny zapadła klamka nadziei narodowych, a cofnięcie uznania naszemu rządowi cofnęło zegar historii o 150 lat wstecz. Nastąpiły czasy niczym po upadku powstania Kościuszkowskiego. Namawiani do ciągłych poświęceń przez prze-mądrych sojuszników i przez naiwnych naszych przywódców, Polacy znaleźli się na bruku. Umysły burzyły się, charaktery łamały.

Rzecz się miała pomiędzy czerwcem a październikiem roku 1945, kiedy zbędna już krajowa Baza przerzutowa uległa likwidacji, a jej dowódca przeniósł się do Rzymu z nielicznym sztabem, ze skąpym aparatem łączności, ale z dużym zasobem funduszy. Pod urazem nastrojów pojatańskich i skurczonych gwałtownie możliwości kontaktu z Polską podczas tych czterech niespełna miesięcy, ostatnich dla niego i zakończonych tragiczną śmiercią, Hańcza pędził życie jeszcze bardziej zamknięte, niż poprzednio w ruchliwej Bazie. Ten właśnie krótki okres zawiera przesłanki do powzięcia oceny wartości moralnej Hańczy, jako człowieka, jako Polaka i żołnierza. Wówczas wykonano nagonkę na Hańczę z tak niespodziewanym skutkiem, więc nie możemy zamknąć karty historii nad grobem skutownika bez wyraźnej odpowiedzi na zasadnicze pytanie — do czego zmierzał wtedy ten człowiek? I czy nagonka była słuszna?

W odpowiedzi na mój artykuł z października ukazało się w nr 1/195-2/196 „Kultury” oświadczenie firmy adwokackiej Jaxa & Partners Solicitors. Pomija ono rozliczne fakty istotne, nie widzi strony moralnej, ani politycznej, traktuje jeden wąski odcinek, starając się udowodnić wyłącznie sam fakt samobójstwa Hańczy.

Na wstępie uderza niespotykana dotąd forma wystąpienia adwokackiego. Zabiera głos adwokat, ale nie jako pełnomocnik określonej osoby czy kilku wymienionych z nazwiska osób, ale pisze w imieniu anonimowej zupełnie grupy klientów. Zdarzają się wypadki anonimowych oskarżeń, kiedy nie odsłaniając przyłbicy, tchórz miota oszczerstwa spoza płota. Ale anonimy mają ustaloną cenę i niszczy je publiczna pogarda. Natomiast nigdy kroniki nie zanotowały wypadków anonimatu po drugiej stronie płotu. W naszym wypadku osoby urażone protestują bezimiennie, włożywszy maski. Adwokat nie przedstawia swoich klientów. Występują oni pod szyldem firmy obrończej jako „osoby, których działalność była poruszona w artykule”.

Sposób rozumowania zastosowany w oświadczeniu jest wysoce apodyktyczny, gdyż popierając określoną tezę, wypadałoby przytoczyć treść każdego dowodu przynajmniej w skrócie — co, kto, jak, kiedy, czemu, po co... Sama oschła enumeracja nie wystarcza bez uzasadnienia i rozwinięcia argumentów. Pan Jaxa mówi o „udostępnionych mi źródłach”, cytuję depeszę Tajchmana, opisuje samo zajście, prostuje datę wypadku, wie dokładnie o dacie pogrzebu, o wniosku władz sądowych Korpusu, zna decyzję za-

stępcy szefa sztabu — wszystko w formie ogólnikowej, ale wyraźnie świadczącej o posiadaniu materiałów archiwalnych, którymi nie chce podzielić się z nikim.

Metody obrońców sądowych są sprzeczne z metodami historyków. Historyk walczy o prawdę nieograniczoną, adwokatowi chodzi jedynie o obronę swego klienta. Dla adwokata ukrycie niekorzystnych dla jednej strony dowodów jest normą, a dla historyka — zbrodnią. Adwokat do dyskusji historycznej wprowadza jednostronność, nie dba o prawdę materialną, którą w sądach reprezentuje oskarżyciel publiczny. Przed trybunałem historii nie ma rozdziału funkcji, każdy może skarżyć i bronić. Adwokat obsługuje ludzi żywych wyłącznie, gdy historyk przeważnie z cieniami ma do czynienia. W obliczu pewnych lokalnych prawodawstw, wystąpienia adwokackie są nieraz pogróżką, zapowiadającą skargę sądową.

Adwokat reprezentujący równocześnie paru klientów znajduje się na rozdrożu. W naszym wypadku, udowodniając samobójstwo, wybrania klienta posądzonego o przekroczenie granic samoobrony i nadużycie broni palnej, a udowodniwszy samobójstwo, gubi drugiego swego klienta, na którego spada cały ogrom krzywdy moralnej za wpędzenie niewinnej ofiary do grobu. Moralność jest natchnieniem prawodawcy i prawo nie stoi na samych paragrafach.

Adwokat ukrył nazwisko zastępcy szefa sztabu głównego, który jako delegat Naczelnego Wodza miał prowadzić uzupełniające dochodzenia. Nie wymienił trefnego nazwiska, widocznie licząc, że ten pan jeszcze nie figuruje w encyklopedii, a już zatarł się w pamięci ludzkiej. Chodzi przecież o gen. Tatara? Ostrożność była bardzo wskazana, bo to nazwisko nie błyszczy i ryzykowne jest wołanie o pomoc w tamtą stronę. Tani karierowicz, co rył w podziemiu warszawskim, co knuł w Londynie i na zakończenie, siedząc na dwóch stołkach, zagrał agenta-prowokatora, m.in. wydając Akowców na mord ubekom. Miał podpisać orzeczenie o samobójstwie Hańczy? Podpisał, ale to wcale nie przeszkodziło temuż Tatarowi na swoim procesie zeznać na opak, że „na terenie Włoch został zamordowany przez klikę Andersa płk Hańcza. Klika ta starała się dobrać do dolarów, będących w jego dyspozycji” (przytaczam według sprawozdania sądowego, zamieszczonego w londyńskim „Dzienniku Polskim”). Wycinkiem służę.

Dochodzenie fragmentaryczne w sprawie śmierci płk. Hańczy prowadził z ramienia Londynu też gen. Monter-Chruściel. Podobno z przeszkodami, ale raport jego pozostaje w ukryciu razem z innymi materiałami.

Sprawą Hańczy również zainteresował się szef sztabu A.K. gen. Pełczyński, kiedy bawił w Rzymie. Zapytywał kpt. Tajchmana o całe zajście, ale spotkał się z „lojalną” odmową. Później już nie było mowy o udzieleniu Tajchmanowi zezwolenia na otwarcie ust i nie wiadomo czy Korpus w inny sposób zaspokoił ciekawość generała i czy dał mu do wglądu całe *dossier*?

Oświadczenie firmy adwokackiej nic nie wspomina o skarbie

dolarowym. To jest wina tytułu — adwokat tłumaczy się tak, ograniczając swoje zainteresowania do jednego tylko tematu — „tak jak wskazuje tytuł artykułu”. Sens i treść nie obowiązują, tylko nagłówek-kapelusz — interpretacja jest niezwykła i dyalektyka bardzo inteligentna. A może maska, co miała do czynienia z dolarami, nie prosiła o zastępstwo? Widać że anonimowość została zastosowana nie bez kozery.

Natomiast na podstawie listów, mogłem ustalić dalsze szczegóły o dolarach, a mianowicie jedno jeszcze źródło podało, że ilość ich nie przekraczała 1.200.000. Skarb był początkowo przewieziony do mieszkania reprezentacyjnego gen. Andersa przy ulicy Arcangelo Corelli, gdzie mieszkał kątem kpt Tajchman. Po pewnym czasie dolary odesłano do ekspozytury oddziału II w Ankonie. Dolarami zaczęto obracać systematycznie. Obrót był międzypaństwowy i polegał na wykorzystaniu różnicy kursu złotego funta w stosunku do dolara papierowego. We Włoszech funt złoty kosztował wtedy 16-18 dolarów, a we Francji i Belgii sprzedawano je za 23-25 tych samych dolarów. Jeżdżono dwoma specjalnymi pół-ciężarówkami, które miały w podwoziu wmontowane zamaskowane dobrze i mocno zamykane skrytki. Wozami jeździli oficerowie, których nazwiska są znane. Jeden obrót przynosił około 20% zysku. Nie obeszło się bez strat, bo raz pod Marsylią okradziono wóz w drodze na parę tysięcy złotych funtów. Podejrzany o niedozór oficer był aresztowany i więziony przez dwójkę w Ankonie.

Oświadczenie adwokackie jest formalne i ułamkowe. Sens całego zagadnienia wyrasta ponad formę śmierci, ponad śmierć samą i sięga do imponderabiliów. Żadna moc nie wskrzesi Hańczy, spoczywającego w kwaterze cmentarnej 17.G.6. pod Bolognią, dokąd został przeniesiony z Rzymu po ekshumacji. Hańcza nie żyje, ale chodzi o stronę moralną jego sprawy, która zaczęła się od nieuzasadnionych oskarżeń rzucanych na niego. Jednostka ma swe prawa i swą godność, stanowią one wartości pozamaterialne, które nie schodzą do grobu razem ze zwłokami. Naszym obywatelskim obowiązkiem jest przywrócenie podeptanej godności żołnierza A.K.

Moje rozważania w pierwszym artykule musiały być siłą rzeczy płynne z braku materiałów, bo jedynie opierałem się na pamięci własnej i pożyczonej. Chodziło o obserwacje sprzed 20 prawie lat i na podstawie ich mogłem dojść do ograniczonych tylko wniosków. Wykluczałem zamiar przejścia na stronę Warszawy z pieniędzmi, jak również nie dopuszczałem myśli przywłaszczenia pieniędzy państwowych przez ideowca takiej klasy. Oceniałem że Hańcza, idąc po linii najmniejszego oporu, zamierzał czekać na rozwój sytuacji, tak fatalnej dla nas w połowie roku 1945. Może nadzieje na nową a bliską wojnę sprzyjały złudzeniom Hańczy, podobnie jak i wielu z nas. Nie mogę zaprzeczyć że zachowanie się odludka Hańczy, niesamowite i dochodzące do całkowitej izolacji, nie sprzyjało do wyrobienia sprawiedliwego sądu o nim.

Obecnie nowy materiał przyniósł nowe elementy bardzo istotne. Wykluczyć tylko należy wszelkie subiektywne oddźwięki, będące wyrazem aktualnej opinii publicznej, podnieconej rewelacjami. Najcenniejsze są wiadomości, które pozwalają uchwycić poszczególne rysy sylwetki duchowej Hańczy, jak też wykryć jego zamiary w okresie przełomu dziejowego, jaki wspólnie przeżyliśmy.

Hańcza po zainstalowaniu się w Rzymie prowadził regularne rozmowy radiowe z krajem, utrzymywał stałą łączność z A.K. i z jej pokrewnymi organizacjami. Trwało to przez dwa czy trzy miesiące i na skutek tych rozmów zaszło bardzo ważne zdarzenie, o którym dostałem ostatnio relację. Otóż nasłuch brytyjski nie omieszkiał wpaść na fale radiowe Hańczy i władze brytyjskie wystąpiły do Korpusu z ostrą skargą. Żądały wydania zakazu używania radia i przerywania tych ostatnich polskich związków w eterze. Sugerowały zajęcie sprzętu samego i szyfrów. Dlaczego tak przeszkadzały Anglikom rozmowy Hańczy? Czy było za ciasno w przestworzach? Sprzeciw angielski wynikał wyłącznie z przyczyn politycznych. Wyłącznie. Anglicy bowiem, uprawiając wówczas politykę prosowiecką, obawiali się narazić Moskwie, popierali z całych sił Mikołajczyka i uznali rząd Bieruta. Konsekwentnie więc starali się zwalczać opory w stosunku do Warszawy i wszelkie przejawy niezależności, które z góry przypisywali na karb rządu Arciszewskiego, nieuznawanego od 5 lipca, a od samego utworzenia pomiatanego, jako że faworyt Mikołajczyk nie był w jego składzie. Ba, nie jest wykluczone, że pozostający na wylocie, ale ciągle przy władzy, dotychczasowy kierownik akcji na kraj, gen. Tatar, wspierający Mikołajczyka i związany z ambasadą reżymową, mógł naprowadzić Brytyjczyków na rozmowy radiowe Hańczy z krajem. Znał bowiem ich dane techniczne, a z drugiej strony mamy dowody, że starał się dezawuować A.K. przed okupantem. O ile w czasie wojny Hańcza opierał się na Tatarze i ufał mu, teraz rozeszli się w przeciwnych kierunkach. Hańcza popierał dawną A.K. i rozmawiał z krajem, podsycając opór, a Tatar wspierał reżym i rękami U.B. niszczył A.K. Faktem było zerwanie Hańczy z Tatarem. Ale są i inne tego świadectwa.

Można postulować że angielskie żądanie przerywania rozmów radiowych stało się pretekstem wezwania Hańczy do Dowództwa Korpusu w pierwszych dniach października. Wywołując Hańczę z Rzymu, Korpus równocześnie zamierzał w czasie jego nieobecności zrewidować lokale i mieszkania Bazy. Wykonana przez żandarmerię rewizja na placu Remuria oficjalnie miała na celu odebranie sprzętu radiowego i szyfrów, czego dodatkowym potwierdzeniem było włączenie do ekipy rewidującej przedstawiciela tego działu łączności. Pisałem w poprzednim artykule że rewizja na placu Remuria nie dała większego plonu, ale nowe źródło podało, że w innym miejscu rewidentzi skonfiskowali stację radio i komplet szyfrów, należących do Hańczy. Zdobycz odesłano od razu do Dowództwa Korpusu. W ten sposób polskimi rękami został

Hańcza pozbawiony środków łączności z krajem. Nasuwa się pytanie — *cui bono*?

Dziwna sprawa. Dlaczego oporny i czupurny Korpus tak gładko przychylił się do żądania Anglików, pośrednio przysparzając korzyść Sowietom, reżymowi i Mikołajczykowi? Przecież Korpus, zwłaszcza góra, odrzucała od początku politykę kapitulacyjną Mikołajczyka, potępiała konszachty z Moskwą i całą unię poddańczą z Bierutem? Dowództwo Korpusu niespodziewanie zmieniło oblicze i wykonało huzia na Hańczę. Powstało *qui pro quo* na tle politycznym, w wyniku którego Korpus, cięty na Mikołajczyka, zgłębił haniebnie Hańczę w interesie tegoż Mikołajczyka! Proceder odbierania sprzętu łączności od Hańczy, wysunięty przez Anglików, dawał najbardziej legalną pokrywkę dla przeszukania wszystkich skrytek Hańczy, który podlegał wprost Londynowi. To było przyczyną pochopności działania, bez oglądania się na bolesne konsekwencje dla spraw krajowych.

Inne znowu źródło przynosi doniosłe informacje — list p. Nadolczaka, ogłoszony w nr. 3/197 „Kultury”. Naświetla wyczerpująco sytuację po drugiej stronie kurtyny, a pisze Akowiec, który wówczas przebywał w kraju w szeregach walczących. Stwierdza, że w owym czasie podziemne organizacje długo bardzo głodowały, zanim dostały z zagranicy większy zasiłek dolarowy. Otrzymana suma była tak znaczna że pokryto z niej nie tylko wydatki ściśle służbowe, ale i wypłacono wszystkim zaległe 6-cio miesięczne uposażenie. Fakt ten zdarzył się w czasie kiedy macierzysty Londyn w osobie Tatara zaniechał finansowania pozostałych pod sowiecką okupacją komórek A.K. i starał się je niszczyć. Reżymowców, sąsiadujących o miedzę w Londynie, zaawiał o poruszeniach dowódców i o wyznaczonych spotkaniach konspiracyjnych w kraju. W ten sposób wpadło paru poważnych działaczy, a same organizacje uległy zdziśiatkowaniu. Dochodzi Nadolczak do logicznego wyводу, że nadesłane dolary mogły pochodzić wyłącznie od Hańczy z Rzymu. I to się zgadzało w czasie z wysyłkami dolarów, opisanymi przeze mnie.

Jeżeli zestawimy wiadomość Nadolczaka z faktem prowadzenia rozmów radiowych z krajem przez Hańczę, to jeszcze silniej wystąpi dowód zerwania Hańczy z Tataram. Po zakończeniu wojny i po aliansie Mikołajczyka z Bierutem, Tatar i Hańcza rozeszli się zdecydowanie. Hańcza popierał A.K., reprezentującą naszą suwerenność w kraju, gdy Tatar z Mikołajczykiem prowadzili akcję przeciwko niezależnej A.K. Hańcza nie wyczekiwał na wyjaśnienie sytuacji, jak mylnie przypuszczałem w pierwszym artykule, ale zdecydowanie poszedł po linii dalszej walki z okupantem. Wbrew Tatarowi, a niezależnie od sztabu naszego i wojska we Włoszech, Hańcza na własną rękę popierał A.K., utrzymywał łączność i słał zasiłki. Wysiłki Hańczy zostały zniszczone przez niespodziane wkroczenie Korpusu.

Przypadek zrządził, że w przeddzień niefortunnego usiłowania zaaresztowania Hańczy przez dwójkę, spotkał go kpt. Stefan Czapliński, dawny kolega pułkowy po ośmiu latach niewidzenia

się i spędzili parę godzin na rozmowie w hotelu oficerskim w Rzymie. Rozmówca dobrze sobie przypomina, że tego wieczoru Hańcza był pogodny i spokojny i nie okazywał najmniejszych oznak depresji. Odwrotnie, był rozmowny i z werwą opowiadał o swym życiu pod okupacją, jak dla celów konspiracyjnych nauczył się dentystyki, jak pełnił funkcje dowódcy okręgu (białostockiego), jak później dowodził podziemiem w jeszcze cięższych warunkach, wspominał o jedynej córce, która zginęła jako łączniczka w Czechach. Mówił o swej pracy jako dowódcy Bazy krajowej we Włoszech i o ówczesnej sytuacji politycznej. Zapytany, kogo z naszych generałów typowałby na przywódcę, wymienił ideowego i zdolnego gen. Pełczyńskiego. Pełczyńskiego? A nie Tatara, swego zaufanego szefa, kolegę i prawie przyjaciela z podziemia? Głosował na Pełczyńskiego, który w kraju gryzł wędzidło, a po wojnie został na emigracji? Nie Tatara, kolaboranta reżimowego? Czy to nie jest ostateczny dowód, że Hańcza odskoczył od oportunistycznego mikołajczykowca i potępiał politykę, do której tamten przystąpił?

Rozmowa przyjaciół, choć bez kropli alkoholu, przeciągnęła się daleko po północy. Pełen inicjatywy Hańcza m.in. zrobił kolede z broni specjalnej warunkową propozycję wyjazdu do Grecji na placówkę łącznikową z jego ramienia. Kiedy żegnali się, godziny Hańczy już były przez Opatrzność policzone.

Samodzielny i wydolarowany Hańcza kłut w oczy w Rzymie i od początku puszczano o nim i celowo podsycano opinię szeptaną, że do samej śmierci pozostał przyjacielem i był adeptem polityki Tatara i zamierzał uciec ze skarbem dolarowym do Warszawy. Nawet tak sumienny i oględny historyk jak Pobóg-Malinowski nie ustrzegł się od powtórzenia stronnicej a merytorycznie przedawnionej od pewnego momentu informacji, że Hańcza „pozostał w ścisłym związku z Tatarem i na jego polecenie ukrył olbrzymie sumy...”. (Tom III, str. 533, przypis 86). A co do śmierci Hańczy Malinowski jest bezradny wobec braku materiałów: „według jednej wersji popełnił samobójstwo, według innej — został zastrzelony przez żandarmerię (opór przy aresztowaniu) — w każdym razie komisja sądowo-lekarska stwierdziła, iż zmarł w szpitalu angielskim 10.10.1945” (*ibidem*).

Dziś możemy nakreślić sylwetkę polityczną Hańczy jako nieustępliwego bojownika o niepodległość i wolność. Nie wystarczała mu bierna deklaracja, nie zgadzał się być tytularnym tylko emigrantem politycznym, ale chciał walczyć i rozsądzać reżym od wewnątrz. *Contra spem*, odrzucał kapitulację i walczył. Zachował żołnierską inicjatywę w całej pełni i w walce widział przyszłość.

Zarzuty przeciwko Hańczy były najbardziej bezpodstawne. Oficerski rozkaz tajny, wydany zaraz po wypadku i podany do wiadomości od podpułkownika wzwyż, potępiał Hańczę niesprawiedliwie i pochopnie. Był aktem bezprzykładnym.

Wszystkie świadectwa obecne rehabilitują Hańczę. Cienia zarzutów nie pozostaje. Honor jego jako Polaka i żołnierza jest

czysty. Jako człowiek był szlachetny i pełen poświęceń, a jako żołnierz dzielny i ideowy. Rozkaz Korpusu musi być wydobyty z archiwum i anulowany symbolicznie przez odpowiednią deklarację. Każdy żołnierz ma prawo wystąpić w obronie Hańczy, a zwłaszcza jego koledzy z Armii Krajowej.

W ten sposób stałoby się zadość sprawiedliwości.

Władysław MICHNIEWICZ

TOM XCIX

BIBLIOTEKI " KULTURY "

WINCENTY WITOS

MOJE WSPOMNIENIA

TOM I

Już się ukazał i został rozestany subskrybentom

Przypominamy, że **MOJE WSPOMNIENIA** będą w sprzedaży dopiero po ukazaniu się całości Pamiętników.

Wykaz subskrybentów będzie zamieszczony w tomie III-cim.

Tom I-szy zawiera 356 stron.

Weltbürger

„Weltbürger” — obywatel świata brzmi zbyt pompatycznie po polsku — ale to słowo charakteryzuje jak żadne inne istotę Weissberga-Cybulskiego. Jeżeli kiedy znałem obywatela świata — był nim on. Walczył z nazizmem, był przez Rosjan torturowany, w Polsce przeżył lata okupacji. O Rosjanach mówił z dużym sercem, to co przeżył okrutnego w Rosji ani przez chwilę nie zatarło jego wspomnień serdecznych o narodzie rosyjskim, o rosyjskich przyjaciółach, o świecie myśli rosyjskiej. Nikt chyba nie znał lepiej zbrodni niemieckich dokonanych na Żydach. Wymordowano mu najbliższych, był autorem książki „Historia Joela Branda”, tej próby wyhandlowania przez Niemców pod koniec wojny 10.000 samochodów ciężarowych za milion Żydów węgierskich. Ale Weissberg i o Niemcach mówił z tym samym uczuciem, zrozumieniem i wprost przywiązaniem; ten Austriak, uczony, rewolucjonista, był od dzieciństwa zrosnięty z kulturą niemiecką. Jego stosunek do Polaków był wyjątkowy: znał przecie dobrze nasze polskie zaskorupiałe, tępe antysemityzmy, znał dobrze i nasze wobec Żydów winy. Wcale ich nie zapomniął. Ale nie zapominał również tego co mu Polacy dali, co w Polsce w czasie niemieckiej okupacji przeżył razem z Polakami. Poprzez żonę odkrył Polskę, w tym co ma najlepszego.

Wiedeńczyk — urodzony zresztą w Krakowie — fizyk i matematyk, od 1927 r. członek partii komunistycznej (jego przyjaciel Koestler pisał o nim jak o jednej z najwybitniejszych dialektycznych inteligencji), jest przez parę lat asystentem prof. Westphala w Berlinie, przyjaźni się z Einsteinem i walczy wówczas gdzie może i jak może z narastającą falą hitleryzmu. Jego ojciec i obaj bracia zginą zamordowani przez nazistów.

W 1931 r. wyrusza do Związku Sowieckiego, by tam pozostać i tam, na miejscu, budować nowy wolny świat, w który wierzył. Przez sześć lat Weissberg rozbudowuje wielki instytut techniczny fizyki w Charkowie, ale już w 1934 r. — zamordowanie Kirowa,

potem pierwszy wielki proces przeciwko Zinowiewowi i Kamieniewowi — otwierają cykl nowego *totalnego* terroru.

W 1936 aresztowana jest jego pierwsza żona, w 1937 on sam, posądzony o spisek mający na celu zamordowanie Stalina oraz wysadzenie w powietrze elektrowni charkowskiej. Posądzony jest również o szpiegostwo na rzecz Hitlera. Zresztą zbrodnie, o które jest obwiniony, są coraz to inne, sądzony jest na podstawie różnych paragrafów. Przez trzy lata przesłuchiwany, męczony, torturowany przetrzucany z więzienia do więzienia jak tysiące, a nawet miliony innych skazanych. Ostatecznie po pakcie Ribbentrop-Mołotow i wybuchu wojny zostaje z grupą innych obywateli Rzeszy niemieckiej wydany przez NKWD policji Gestapo. Weissberg jest komunistą i do tego Żydem. Przerzucony przez Bug 5 stycznia 1940 r. na teren *General Gouvernement* po trzech miesiącach więzień Gestapo w Białej Podlaskiej, Warszawie i Lublinie ląduje w getcie krakowskim. W 1942 r., przy rozpoczętej akcji zagłady Żydów, udaje mu się uciec z getta, dołącza wówczas do polskiego ruchu oporu. W 1943 r. znowu aresztowany przez Gestapo i wysłany do obozu w Kawęczynie jest stamtąd wyratowany przez polskie podziemie, bierze udział w 2 powstaniach przeciw Niemcom, ukrywany aż do wkroczenia Armii Czerwonej przez Zofię Cybulską, późniejszą jego żonę, której nazwisko od tej chwili łączy ze swoim. Oboje opuszczają wkrótce Polskę i jak sam pisze w swej książce Weissberg-Cybulski, po raz pierwszy po kilkunastu latach w porcie szwedzkim dotyka stopą *ziemi wolnej*.

Książka Weissberga „Hexensabbat”, tłumaczona na wiele języków, ukaże się nakładem Instytutu Literackiego. Weissberg-Cybulski posiadał jakąś elektroniczną pamięć i ta świetna książka uważana jest przez sowietologów za najbardziej wierny dokument z okresu czystek jeżowowskich, głośnych pokazowych procesów i szczytowego okresu stalinowskiego terroru.

Poznałem Weissberga dopiero w 1949 r., w okresie procesu Rousseta przeciwko redaktorowi komunistycznego pisma „Lettres Françaises”. Rousset, więzień obozów niemieckich i autor podstawowej o tych obozach książki, ośmielił się wspomnieć o istnieniu innych obozów, w Sowietach, i został przez redaktora „Lettres Françaises” nazwany oszczercą. Był to jeszcze ten czas, kiedy żaden „dobrze myślący” lewicowiec, czy sympatyk lewicy nie śmiał słowa pisać przeciwko Stalinowi i jego rządowi, nie narażając się natychmiast na zarzuty nazizmu, faszyzmu, reakcji przez pisma komunistyczne, a również przez tak bardzo licznych wówczas fellow-travellersów.

Rousset sprowadził wówczas na świadków cały szereg ludzi, którzy przeszli przez obozy sowieckie: Elinor Lipper, Kazimierz Zamorski, J. Margolin, dr Bandrowski, Jerzy Gliksman, p. Buber-Neuman, i wielu wielu innych. Świadczyłem również jako ten, który poszukiwał zaginionych w Rosji oficerów i żołnierzy polskich. Nie było insynuacji, którymi by komuniści i ich sympatycy nie karmili nas wszystkich. Cybulski nie znając dobrze francuskiego przemawiał na rozprawie po niemiecku, a więc zrobiono

z niego prawie że niemieckiego agenta, bo śmiał po niemiecku świadczyć o sowieckich obozach. Ale bo też on właśnie postawił stronę przeciwną w trudnej sytuacji, gdy odczytano na sali fotokopie listów, podpisanych przez Einsteina oraz przez Joliot-Curie, skierowanych w swoim czasie do Stalina oraz do prokuratora generalnego w Moskwie z prośbą o uwolnienie wielkiego uczonego, człowieka o nieskazitelnej prawości, ich przyjaciela — Aleksandra Weissberga. Właśnie w okresie tego procesu Joliot-Curie był obok Picasso największą chlubą partii komunistycznej francuskiej.

Na początku procesu zwrócił się do mnie jeden z głównych organizatorów: „Prosiłbym, by pan nie wspominał o Katyniu. Sprawa ta jest we Francji przesądzona. Niemcy tak gwałtownie propagowali odpowiedzialność rosyjską za tę zbrodnię w czasie gdy okupowali Francję, że nie przekona pan już dziś Francuzów, że w tym jednym wypadku Niemcy mówili prawdę”. Byłem mocno zaskoczony tego rodzaju narzucaną mi radą. Przecież jeżeli chciałem także świadczyć, to przede wszystkim z powodu Katynia. W parę chwil później spotkałem Weissberga; rzucił się wprost na mnie i najczystsza wiedeńska niemczyzna zaczął mi tłumaczyć z pasją, że przemilczeć Katyń w tak głośnym procesie byłoby haniebne. Weissberg nie potrzebował mnie przekonywać, ale wówczas od pierwszej chwili pokochałem tego człowieka. I trudno mi tutaj nie używać słów wytartych i głośnych: jego namiętna wola prawdy, wola sprawiedliwości, obrona każdego skrzywdzonego, niezależnie od tego gdzie się urodził i jakim mówił językiem, była tak żywiołowa, że od pierwszej chwili zetknięcia już wiedziałem kim jest Weissberg-Cybulski.

Od tego czasu widywaliśmy się wielokrotnie. Był przyjacielem „Kultury”. Uderzało mnie zawsze jaką ten człowiek, po tym wszystkim co przeszedł, zachował wolę życia, miłość życia, stosunek do człowieka i wspaniały zmysł humoru. „Człowiek nie kamień wszystko wytrzyma” mówiono w Polsce.

Spotykałem go również na przeróżnych zjazdach intelektualistów, organizowanych przez Kongres w Obronie Wolności Kultury i tu mam parę wspomnień, które chciałbym opowiedzieć.

Weissberg był na tych zjazdach zawsze gościem dość kłopotliwym. Nie pamiętam by kiedykolwiek występował z jakimś uczonym referatem. Na zebrania przychodzi nieregularnie, błąkał się po kuluarach, wszędzie spotykał znajomych i przyjaciół, uczonych światowej sławy, czy może zwykłych kompanów od bridge'a, czy ludzi którzy wraz z nim w tym samym okresie walczyli z hitleryzmem lub siedzieli po sowieckich więzieniach. Mówił zawsze naprawdę to co myślał, niezależnie od takiej czy innej taktyki i to tylko wtedy kiedy nie mógł milczeć. Na kongresie medialańskim w 1955 r. po długim przemówieniu jakiegoś angielskiego uczonego i niekończącej się dyskusji, w której usiłowano sprecyzować filozoficznie na czym polega wolność, Weissberg zerwał się ze swego miejsca prosząc o głos: „Panowie, wy się tu zastanawiacie i nie jesteście w stanie sformułować na czym polega wolność. Ależ nie zapominajcie, że tam, za żelazną kurtyną, ci

ludzie co siedzą po więzieniach, te miliony, które nie mają prawa głosu, nawet ci którzy nie mają żadnego filozoficznego wykształcenia, wiedzą doskonale na czym wolność polega i czym jest brak wolności!". Wystąpienie to zostało przez wielu źle przyjęte, Weissberg-Cybulski został przez niejednego uznany za podżegacza wojennego.

Jesienią 1962 r. byłem zaproszony do Kolonii, gdzie tenże Kongres Obrony Wolności Kultury zorganizował seminarium i szereg zebrań publicznych, w których omawiano gdzie i kiedy bunt przeciw władzy prawowej jest dopuszczalny i kiedy jest on obowiązkiem każdego obywatela. Uczni, pisarze, albo aktywni uczestnicy walki z hitleryzmem, Niemcy czy więźniowie obozów niemieckich, wypowiadali się na ten temat. Od Martin Chauffier z Francji po filozofa Blocha, który właśnie opuścił Niemcy Wschodnie, od wiedeńskiego myśliciela katolickiego prof. F. Heera, aż po polityków niemieckich i angielskich. Pamiętam jedno takie zebranie publiczne, prowadzone przez przewodniczącego parlamentu w Bonn, E. Gerstenmeyera. Wspominano z wzruszeniem i w słowach patetycznych Résistance francuską, opór w Holandii, ruch antyhitlerowski w Niemczech. Sala była przepełniona. W wielkiej auli uniwersytetu kolońskiego: profesorowie, uczni, masa studentów. Widziałem że od pewnego czasu Weissberg, który siedział na honorowym miejscu, kręcił się i nie mógł usiedzieć, aż nareszcie poprosił o głos. Przemówienie jego wcale nie było przewidziane i Weissberg jak zawsze improwizował z wrodzoną mu swadą. Wszedł na trybunę i zaczął mówić: „Proszę państwa, mówicie o oporze. Ja słucham i nie mogę wyjść ze zdziwienia, mówicie już tak długo — ani razu nie została wspomniana Polska. Ostatecznie jeżeli gdzie był naprawdę opór i naprawdę walka, i to nie walka drobnej mniejszości, ale całego kraju — to była Polska. Dlaczego nikt o tym nie wspomina? Dlaczego tak mało ludzi o tym wie? Przypominam sobie Warszawę przed samym powstaniem. Do mojej żony przyszła wówczas z wizytą jej kuzynka, młoda dziewczyna. Niosła jabłko w dużym koszu. Okazuje się, że pod tymi jabłkami był materiał do wysadzenia toru kolejowego. Byłem przerażony jej śmiałością. Potem zobaczyłem, że był to gest prawie banalny, że wszyscy tak czy inaczej partycypowali w tej walce, która groziła każdej chwili śmiercią. Pamiętam Powstanie. Przecież ludzie przebiegali przez ulice ostrzeliwane z karabinów maszynowych. W pierwszych dniach bałem się, nie śmiałem przejść, potem się przyzwyczaiłem. Przez takie ostrzeliwane ulice przechodziłem i ja, by kupić paczkę papierosów. O oporze i walce polskiej nie mamy prawa zapomnieć”.

To wystąpienie było krótkie. O ileż bardziej ludzki, bezpośredni, żarliwy był ton Weissberga, człowieka naprawdę wolnego, nawet wtedy gdy siedział w więzieniu w Butyrkach, od przemówień i wywodów o wolności filozofów i teologów.

Na tym samym zjeździe, na jednym z zebrań seminarium, zaszła długa dyskusja o teorii komunizmu. Jeden z przyjaciół Weissberga, były komunista, czołowy przeciwnik stalinizmu mó-

więc o Chruszczowie powiedział ironicznie, że nawet Chruszczow nie jest dobrym komunistą, że on sam jest może lepszym komunistą od niego. Chciał naturalnie jedynie powiedzieć, że jeżeli chodzi o teorię komunizmu, to zna ją na pewno lepiej od samego Chruszczowa, ale ta jego *boutade* mogła być przez audytorium źle zrozumiana. I tu znów Weissberg nie wytrzymał, zerwał się by natychmiast zaapnować przyjacielowi: „Znamy się od 40 lat, tak że o polityce przestaliśmy mówić ze sobą, ale tu muszę zareagować. O jaki komunizm chodzi? Przez wiele lat byłem przekonany, że komunizm jest *dobłą* ideą, tylko jej realizacja w Sowietach jest *zła*”. Dziś wiem i jestem przekonany — że to jest *zła* realizacja — *złej* idei.

Ostatnie tygodnie przed śmiercią — śmierci tej wcale nie oczekiwał, choć wszyscy wiedzieliśmy, że był zagrożony, coraz to tygodniami leżał w klinikach — Alex w rozmowach wracał często do spraw sowieckich, twierdził, argumentował, że sytuacja światowa komunizmu a przede wszystkim komunizmu w Rosji jest dramatyczna i beznadziejna, twierdził że komunizm nie może dać sobie rady na odcinku agrarnym, że jego co rok większa porażka na tym polu będzie grobem komunizmu.

Tylekrotnie przepowiednie Weissberga bywały trafne, tylekrotnie widział dalej niż jego przyjaciele czy i ta przepowiednia miałyby się sprawdzić?

Józef CZAPSKI

Komunikaty

W życiu emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii zaszedł fakt o dużej doniosłości. Prowadzone od szeregu miesięcy rokowania między Instytutem Historycznym im. gen. Sikorskiego oraz Polskim Ośrodkiem Naukowym doprowadziły do uzgodnienia struktury organizacyjnej obu tych instytucji oraz ich ściślejszego zespolenia przez stworzenie wspólnych organów kierowniczych i wspólnej administracji. Pozwoli to, jak sądzimy, w niedalekiej już przyszłości doprowadzić do całkowitego zespolenia.

Zespolenie to zostało podyktowane głęboką troską władz naczelnych obu instytucji, zwłaszcza o połączenie trzech polskich bibliotek: Biblioteki Polskiego Ośrodka Naukowego, Biblioteki Polskiej oraz Biblioteki Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego oraz o zapewnienie trwałych podstaw istnienia i skoncentrowania wysiłku emigracji na utrzymanie na stałe polskiej niezależnej instytucji kulturalnej w W. Brytanii. Obowiązek utrzymania takiej instytucji będzie bardziej niż dotąd spoczywał na społeczeństwie.

Każda z łączących się instytucji ma za sobą bardzo poważne osiągnięcia

wydawnicze. Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego jest poza tym pomnikiem polskiego wysiłku zbrojnego w czasie II wojny światowej i przechowuje drogie sercu każdego Polaka pamiątki z tego czasu. Jest zarazem centralnym archiwum politycznym i wojskowym na emigracji, z którego czerpią stale liczni badacze. Posiada także wielki zbiór czasopism polskich z okresu wojennego i powojennego nadal kontynuowany. Polski Ośrodek Naukowy posiada bibliotekę naukową z wielu bezcennymi polonicami i bogatą literaturą przedwojenną i wojenną, z zakresu historii politycznej i kultury polskiej. Na uwagę zasługuje tam starannie uzupełniany dział materiałów do stosunków polsko-niemieckich i zbiór wydawnictw Polski Podziemnej. Biblioteka Polska, z której tak szeroko korzysta społeczność polska w W. Brytanii, kompletuje w szerokim zakresie najważniejsze wydawnictwa emigracyjne i krajowe oraz prowadzi ważne prace bibliograficzne.

Akt złączenia obu instytucji został podpisany przez ich władze naczelne 27 lutego, a pierwsze posiedzenie wspólnej Komisji Administracyjnej odbyło się 13 marca br.

Prezensem wyłonionej w tej fazie wspólnej Komisji Administracyjnej został Lord Barnby oddany przyjaciel sprawy polskiej, wiceprezesami gen. dr M. Kukiel, amb. E. Raczyński i Lord St. Oswald. Skarbnikiem płk dr S. Zamoyski, Sekretarzem p. Stanisław Leśniowski.

Członkami Komisji zostali:

Lord Astor, p. J. Baliński-Jundziłł, gen. T. Bór-Komorowski, dr W. Czerwiński, p. Z. Gołębiowski, Mr. R. H. Hill, prof. dr T. Komarnicki, Sir Ivison Macadam, Sir Clifford Norton, dr K. Poznański, książę S. Radziwiłł, prof. dr T. Sulimirski, p. S. Szydlowski, p. T. Tobolski, kmr. B. Wroński.

FUNDACJA WANDY ROEHR WE WŁASNYM DOMU

Dom pod numerem 131 przy ulicy 19 we wschodniej części Nowego Jorku, gdzie mieściła się dotychczas Fundacja Wandy Roehr, tak dobrze znany wielu stypendystom z Polski, przestał być siedzibą tej instytucji. Fundacja przeniosła się w kwietniu do własnego domu przy ulicy 37. Kupno domu jest inwestycją podjętą w celu powiększenia funduszków przez podnajem kilku mieszkań znajdujących się tam pomieszczeń.

Fundacja Wandy Roehr powstała trzy lata temu i rozwinęła żywą i pożyteczną działalność. Celem jej jest pomoc dla ludzi nauki, lekarzy, inżynierów, pisarzy i malarzy, przeważnie pochodzących z Polski i przebywających na studiach w Europie zachodniej i Ameryce. Dotychczas Fundacja udzieliła przeszło 400 stypendiów, które mimo że są skromniejsze niż stypendia fundacji amerykańskich, idą w setki tysięcy dolarów. Fundacja roztacza także opiekę nad przyjezdnymi do Stanów, ułatwia im kontakty i nawiązuje stosunki. Bardzo poważnej pomocy udzieliła Fundacja uniwersytetom krajowym, akademiom medycznym i innym organizacjom i zakładom naukowym, wysyłając im przyrządy, potrzebne materiały, książki itp. Klinice dziecięcej budowanej w Krakowie przez inżyniera Poraj-Biernackiego Fundacja ofiarowała samolot sanitarny.

W naszym życiu emigracyjnym ufundowanie placówki tego rodzaju z prywatnych funduszy i dzięki osobistej ofiarności jest faktem bez precedensu, godnym uznania i naśladowania.

Z zeszytu lektury

Pieć donosów

W szkicu Zamiatina o Sołogubie czytamy: „Różga jest jeszcze za mało ceniona jako narzędzie postępu ludzkiego. Nie znam narzędzia bardziej skutecznego od różgi by zmusić człowieka do stania prosto na dwóch nogach, by mu wybić z głowy klęczenie przed wszystkim i wszystkimi. Mam naturalnie na myśli nie różgi zrobione z rzemienia, lecz różgi uplecione ze słów, różgi jakich używali Gogol, Swift, Molière, France, różgi ironii, sarkazmu i satyry. Takimi różgami Fiodor Sołogub umie posługiwać się znakomicie, lepiej nawet niż sztyletem miłosierdzia... Przeczytajcie jego powieść *Mielkij bies* a zobaczycie że Pieredonow jest skazany na nieśmiertelność, na wieczne czołganie się po ziemi i pisanie donosów”.

Kim jest Pieredonow? Prowincjonalnym nauczycielem i małym plugawcem, który za wszelką cenę chce się wydrapać na trochę wyższy szczebel hierarchii urzędniczej w swoim rodzinnym miasteczku. Marzy o stanowisku dyrektora gimnazjum, gotów jest sprzedać za nie duszę diabłu. Sprzedaje ją w końcu, ale bez spodziewanej rekompensaty; i nie potężnemu demonowi, lecz wstrętnemu pokurczowi własnego chowu — biesowi podejrzliwości i donosu. Z biegiem czasu tytułowa „postać” powieści staje się dla Pieredonowa realnością: hałasuje pod łóżkiem, wskakuje na stół, chowa się po kątach i w szafie, sypia za tapetą w ścianie. W gruncie rzeczy każdy z mieszkańców miasteczka jest we władzy takiego prywatnego czarta, choć widzi go tylko Pieredonow. Opętanemu nauczycielowi grozi usunięcie z posady i odesłanie do domu wariatów. W nagłym paroksyźmie szału Pieredonow podrzyna nożem gardło najbardziej pocziwemu i Bogu ducha winnemu ze swoich kolegów, głupawemu Wołodinowi o „baranim głosie”. So-

łogub w ten sposób zamyka powieść: „Jego (Pieredonowa) umysł zionął pustką... Siedział bez ruchu, patrząc na trupa. Mamrotał pod nosem coś bez ładu i składu”.

Schemat narracyjny, na pozór dość ubogi, kryje w sobie nieoczekiwane bogactwo motywów. Popęlnia się nadużycie, sprowadzając je do jednego? Być może, ale książki zmieniają się wraz z wrażliwością czytelników. W pół wieku po przyjściu na świat, *Mielkij bies* jest przede wszystkim reprezentantem rosyjskiego piekła donosu. Znamy tego diabła aż za dobrze. Znamy zielone i zimne oczy, którymi wodzi za każdym krokiem swych ofiar. Znamy długie i kosmate uszy, którymi łowi każde ich słowo. Któż zaręczy że poddając powieść Sołoguba redukcji, wyrządzamy jej krzywdę a nie przysługę? Jeśli się chce klasyków zachować przy życiu, trzeba w nich szukać tego co wciąż żywe. Żywe u Sołoguba są fragmenty, w których dochodzi do głosu niespożyty dręczyciel jego smierdiakowskiego bohatera.

„Dużo tu takich — powiada Pieredonow — którzy by mi chcieli podstawić nogę. Mogą donieść, że czytywałem niewłaściwe książki”. Kilkanaście stronic dalej, na herbatce urządzonej w domu dla przyjaciół, wyciąga konsekwencje ze swego odkrycia. „W tej chwili zwróciło jego uwagę kilka książek na półce. Obok siebie stały grube roczniki *Otieczestwiennych zapiskow* i cienkie tomiki pisarza rewolucyjnego Pisarewa. Pieredonow zbłądł i wyszeptał: „Musimy je ukryć natychmiast, bo ktoś napisze na mnie donos”. Pieredonow trzymał te książki na widoku by goście mogli zobaczyć że był człowiekiem o poglądach liberalnych, choć w rzeczywistości nie posiadał ani żadnych poglądów, ani w ogóle jakiegokolwiek skłonności do myślenia. Nie otwierał nigdy tych książek i od dawna unikał wszelkiego kontaktu ze słowem drukowanym. Gazety uważał za stratę czasu, a wiadomości zbierał u innych. Cały zresztą świat zewnętrzny nie budził w nim zainteresowania: do śmiechu doprowadzali go przyjaciele, trwoniący czas i pieniądze na gazety i *tolstyje żurnaty*. Cenił zbyt wysoko swój własny czas, by go marnować na takie bzdury. Podszedł do półki zrzedząc: „W tym mieście donosy są tanie jak barszcz. Pomóżcie mi wynieść te książki”.

Następuje parę rozdziałów prawdziwie gogolowskich. Pieredonow wybiera się do wszystkich znaczniejszych dostojników miasta, by ich *uprzedzić* że może być przedmiotem donosów. Kapitałna jest pierwsza wizyta u prokuratora okręgowego, Awinowiczkiego.

„— Ja nihilista! Co za nonsens! Tylko dlatego że mam kaszkiet z czerwonym otokiem i portret Mickiewicza nad biurkiem. Wielbię go za jego poezję, a nie za to że był buntownikiem. Nie czytałem nigdy *Kotłokoła*.”

— Chyba się pan myli — odparł Awinowickij. — *Kołokoł* był Herzena, Mickiewicz nie miał z tym nic wspólnego.

— Widocznie chodzi o coś innego. Mickiewicz też wydawał pismo pod nazwą *Kołokoł*.

— Nigdy o takim piśmie nie słyszałem. Dlaczego nie ogłosi go pan drukiem, będzie to jedno z ciekawszych odkryć literackich. Gratulacje!

— Nie mogę go ogłosić drukiem — zachnął się gniewnie Pieredonow. — Nie wolno mi wydawać zakazanych książek. W każdym razie nigdy go nie czytałem, gdyż jestem szczerym patriotą.

Gdy Pieredonow wyzalił się już dowoli na swój los, Awinowickij doszedł do wniosku że ktoś go szantażował i rozpuszczał te wiadomości by go zastraszyć i doprowadzić w ten sposób do dymisji. Że sam prokurator o niczym nie słyszał, należało przypisać zrzeczności oszczercy, który najwidoczniej działał wśród bliskich przyjaciół Pieredonowa.

— Kogo pan podejrzewa?

Pieredonow zastanawiał się chwilę. Nazwisko Grusziny przyszło mu na myśl pierwsze: przypominał sobie niejasno ostatnią rozmowę z Grusziną, podczas której *on* zagroził że doniesie na *nią*. Ale czy rzeczywiście? Nie był pewien kto miał donieść na kogo, on na Gruszinę czy odwrotnie. Ważne jednak było tylko to, że tak czy owak jakiś donos wisiał w powietrzu. Gruszina była wrogiem, widziała go ukrywającego tomiki Pisarewa: trzeba natychmiast znaleźć inny schowek.

— Gruszinę — powiedział Pieredonow.

Awinowickij podsumował błyskawicznie. — Tak, wiem o niej wszystko. Ścierwo pierwszej klasy”.

Przytoczony opis narodzin donosu jest majstersztykiem. Atakuje się w obawie przed zaatakowaniem. Mysz nieprawomyślności (w tym wypadku Pisarew na półce) rodzi szybko górę podejrzliwości, która w ostatecznej instancji może się także obsunąć na ewentualnego donosiciela. Kto kogo? zamienia się w pytanie: kto pierwszy? Ofiary patrzą na siebie zahipnotyzowanym wzajemnie wzrokiem. Koszmar rozstawia sieci.

W tym wstępnym stadium koszmar zachowuje jeszcze pewne pozory logiki. Sam Pieredonow wyraża ją w zdaniu: „Jednym ze sposobów odwrócenia od siebie oskarżeń jest rzucenie podejrzeń na innych”. Ale logika powszechnego donosu zmierza w prostej linii do absurdu: stopniowo zamykają się wszystkie wentyle bezpieczeństwa, cała natura zdaje się stworzona jedynie po to by donosić. Dla pamiętających stalinowski sabat czarownic i procesy moskiewskie nie będzie bynajmniej aż takim zaskoczeniem Pieredonow w następnym stadium, Pieredonow pomyślany niegdyś

przez Sołoguba jako postać groteskowa a odczytywany dzisiaj, po okresie uświęconego „prawem” wtłoczenia absurdu w obręb rzeczywistości, jako postać „wzięta z życia”: w każdym razie jako człowiek który wyszedłszy z realnych założeń absolutnego donosicielstwa, dochodzi do równie realnych wniosków absolutnego strachu. Daje mu, na przykład, wiele do myślenia „barani głos” Wołodina. Spotkawszy na polu samotnego barana, wpada natychmiast na pomysł że to Wołodin, który „w drodze jakiegoś fantastycznego procesu przeobraził się w barana by go śledzić nie budząc podejrzeń”. „Nie zdajemy sobie nawet sprawy — mówi do siebie — do czego są zdolni obecnie uczeni. Francuzi robią niebywałe eksperymenty. Ten baran z pewnością na mnie doniesie”. W kilka dni później z jego domu ucieka kot. Czemu kot miałby być gorszy od barana? „Pieredonow był święcie przekonany, że kot pobiegł prosto na posterunek policji; i że policja zrozumie bez trudu z jego mruczenia kiedy i w jakich okolicznościach Pieredonow wymknął się nocą z domu by spalić wywrotowe książki. Dowiedzą się wszystkiego z jego miauczenia! Ot bieda! Siedział przy stole z pochyloną głową. Miętosił skraj obrusu i pograżał się w przygnębiających rozmyślaniach”.

Wkrótce potem wydaje przyjęcie i przed przybyciem gości lustruje pokój. „Wszystko w porządku. Nie ma zabronionych przez cenzurę książek na półkach, płoną lampki pod ikonami, portret cara na honorowym miejscu. Nagle mrugnął doń Mickiewicz. Pieredonow pomyślał: Ten rewolucyjny poeta może mi nawarzyć piwa. Zaniosę go lepiej do klozetu, a na jego miejscu powieszę Puszkina. Ostatecznie Puszkina był poetą dworskim”. Za późno na takie naiwne środki ostrożności! Zaczyna się trzecie stadium: Pieredonow podejrzewa teraz o donosicielstwo martwe przedmioty. Jego obawy krążą najczęściej wokół figur z kart do gry, wycina im więc nożyczkami głowy. W tym stadium, poprzedzającym bezpośrednio morderstwo, oglądamy go jak w przystępie zupełnej desperacji bierze się sam do pisania donosów. „Pisał donosy na karty do gry, na małego biesa, na barana ukrywającego w swej skórze Wołodina. Donosił na piśmie policji, że drwale wycinają brzozy by pozbawić miasto witek do łaźni i różg do bicia dzieci”. Był, jak z tego widać, nieśmiałym jeszcze prekursorem sowieckiej manii oskarżeń o „sabotaż”.

Mielkij bies powstawał w latach 1892-1902. Drukowano go w odcinkach w roku 1905. W formie książkowej ukazał się w roku 1907 i dopiero wtedy dostrzeżono w nim małe arcydzieło. Został wznowiony w Moskwie w roku 1957, w okresie najintensywniejszego „odwilżowego” przewietrzania piwnic „zakazanej” literatury rosyjskiej.

Można tylko snuć supozycje z jakimi uczuciami czyta go dziś

publiczność sowiecka. Jedna z tych supozycji (najbardziej prawdopodobna) brzmi tak: ustąpiła na dalszy plan cała aparatura symbolistyczna Sołoguba, która w casusie obłędu znalazła dla siebie łatwe pole do popisu dzięki możliwościom nieustannego lawirowania na pograniczu rzeczywistości i iluzji; straciła wiele ze swej ostrości zamiatinowska „rózga ironii, sarkazmu i satyry”, mniej teraz groteskowa niż się to zapewne wydawało czytelnikom epoki; ocalał za to w stanie prawie nietkniętym trzon realistyczny, z jednoznacznym naciskiem na „nieśmiertelność” donosu, na „wieczne czołganie się po ziemi” obywatela państwa policyjnego.

Piekło donosu powstaje ze skrzyżowania *elephantiasis* Władzy i degradacji podwładnych do poziomu szczurów w worku: zagryzają się nawzajem, bo nie mają innego wyjścia; nienawidzą Ręki, która je zamknęła i trzyma w worku, ale równocześnie boją się jej panicznie (skoro to od niej zależy wszystko). Za moich czasów złorzeczono czasem w Rosji Stalinowi, lecz nigdy nie opowiadano o nim dowcipów: co było dowodem trwałości Władzy i sakralnego charakteru Władcy. Dziś słyszę często z ust obywateli sowieckich drwiny na temat Chruszczowa: co jest *przynajmniej* dowodem desakralizacji Władcy i próby podniesienia się z klęzek podwładnych. Kiedy (i jeśli) w przyszłości powieść Sołoguba będzie w Rosji czytać z wybuchami śmiechu ludzie stojący prosto na dwóch nogach, „nieśmiertelny” plugawiec Pieredonow wyzionie wreszcie ducha, a jego zielonooki prześladowca podąży za nim smętnie tam skąd sam przyszedł: do zaziemskiego piekła. Sporo już egzorcyistów, ale dość daleko jeszcze do końca egzorcyzmów.

Fra Diego

W dziejach Inkwizycji znane są dwa wypadki zamordowania Inkwizytora. W roku 1485 Pedro Arbues został nocą zwabiony do zasadzki i zamordowany przez aragońskich *conversos* (nawróconych Żydów). W roku 1657 Juan Lopez de Cisneros zginął w podziemnym więzieniu Inkwizycji w Palermo z ręki Fra Diego La Matina, braciszka z zakonu augustianów. Skąpe materiały kronikarskie zdają się wskazywać, że podczas przesłuchania Fra Diego rozerwał kajdany i strzępem łańcucha ugodził Inkwizytora śmiertelnie w głowę. Pisarz sycylijski Leonardo Sciascia zrekonstruował teraz z tej historii co się dało w niezwyklej książeczce *Morte dell'Inquisitore*.

Czym naraził się Świętej Inkwizycji skromny zakonnik z Ragalmuto? Dokładnie nie wiadomo. Wiadomo tylko że zanim zakuto go w kajdany i wtrącono do palermitańskich lochów, był kilkakrotnie z wolnej stopy wzywany przed oblicze Trybunału

i za każdym razem wracał do Ragalmuto po odwołaniu (czy wyparciu się) przypisywanych mu „heretyckich” poglądów. W końcu potknął się bezapelacyjnie. Na podstawie aluzji rozsianych ostrożnie tu i ówdzie w ocalałych aktach sprawy wolno sądzić, że jego „herezja” miała charakter raczej społeczny niż teologiczny. Był zapewne czymś w rodzaju ewangelicznego rewolucjonisty, zachęcającego uciskanych do buntu z Pismem Świętym w ręku. (Zachowała się, na przykład, notatka że „już w roku 1649 przywiódł do swoich błędów kilku *galerników*”). Powiadam „z Pismem Świętym w ręku”, bo uczeni funkcjonariusze Trybunału tracili wiele czasu na dysputy z nim, czego by prawdopodobnie nie robili gdyby był bezbożnikiem ukrytym w mnisim habicie. Już wówczas „odszczepieństwo” we własnym obozie próbowano leczyć „dialektyką”, smarując obficie jej balsamem rany zadawane przez oprawców.

Powinęła mu się zatem noga w roku 1650, w wieku lat dwudziestu ośmiu. Skazano go na dożywotnie zamurowanie w celi. Uciekł stamtąd w roku 1656 z pomocą „postronka używanego do tortur”: „ku zdumieniu — pisze kronikarz — tych co znają *delle segrete Carceri fortissimo muro*, potężny mur sekretnych więzień”. Błąkał się na wolności zaledwie parę dni. Pojmany, zajął teraz na serio w twarz Świętej Inkwizycji, która przed spaleniem na stosie jego młodego i śmiertelnego ciała postanowiła oczyścić przynajmniej gruntownie jego grzeszną i nieśmiertelną duszę. O tym jak się zachowywał w reedukacyjnym czyścisku, informuje kronikarz: „Ani bolesne tortury, ani kajdany, ani łańcuchy, zdolne do zmiękczenia żelaza, nie potrafiły ugiąć w tym hultaju ducha”.

Nie są nam znane „bolesne tortury” jakim go poddawano, ale pewne pojęcie o metodach stosowanych przez Świętą Inkwizycję dają zapisy z innych pręgierzy i procesów. Pręgierz publiczny najłagodniejszego stopnia związany był na Sycylii z *lu cuddaru*, żelazną obrozą nakładaną na szyję pospolitemu bluźniercy (nie heretykowi) i przytwierdzaną do muru lub do słupa. Delikwenta obnażano do pasa i smarowano miodem. Stał tak (przeważnie na słońcu) trzy godziny, zżerany przez muchy. Podobnie niewinne igraszki nie wchodziły oczywiście w grę w „sekretnych więzieniach”. Protokół oficjalny (przewieziony z Sycylii do archiwum w Simancas, a stamtąd do archiwum w Madrycie) jednego z przewodów inkwizycyjnych w Palermo dowodzi, że „huśtawka” opisana ostatnio na rozprawie w Frankfurcie nie była bynajmniej oryginalnym tworem pomysłowości Bogera: jego poprzednikami, może nawet bardziej doświadczonymi i wyrafinowanymi w sztuce okrucieństwa, byli świątobliwi rycerze Inkwizycji. Gdyby zresztą w tej bogatej dziedzinie działalności ludzkiej istniał jakiś historycz-

ny Urząd Patentowy, współcześni nam wynalazcy rzadko mogliby się ubiegać o zastrzeżone numerem i datą pierwszeństwo.

Podczas takich to seansów, mieszających argumenty „dialektyki” z bardziej dobitnymi argumentami sznura i żelaza, Fra Diego targnął się najpierw na życie *monsignora* Cottonera. „Najpierw”, gdyż był to jego pierwszy (po nieudanej ucieczce) Inkwizytor. „Targnął się”, gdyż niezbyt często trafia się sposobność użycia tego zwrotu w tak dosłownym znaczeniu. Zamach udaremnił błyskawicznie obecni przy „rozmowie” oprawcy. Cottoner przeniósł się wkrótce potem na zasłużony odpoczynek w rejony anielskich chórów; jego miejsce zajął Juan Lopez de Cisneros, jak głosi nagrobek *provisor y vicario general del obispado de Orense, fiscal y inquisidor apostolico en este reyno de Sicilia*. Nagrobek też dodaje, że ten za którego świetlaną duszę pobożny przechodzień ma zmówić modlitwę, mąż wielkich cnót i wielkiej wiedzy, zmarł *en el mismo exercitio de inquisidor a 4 de abril 1657, a los 71 de su edad*. Resztę musi dośpiewać wyobraźnia. Kroniki i zdekompletowane akty stwierdzają lakonicznie tylko to, co zostało już powiedziane wyżej: że niepoprawny i nieugięty „hultaj” ponownie targnął się na życie swego „dobroczyńcy”; i tym razem z powodzeniem. Broczącego krwią starca wyniesiono z celi, „ojcobójcy” (nie był-że Inkwizytor ojcem dla każdej zbłąkanej owieczki?) zakuto na powrót ręce. Jaka siła wstąpiła w te ręce, gdy pękły na nich łańcuchy? Przyrodzona? Zrodzona z rozpacz i bólu? Napięta nienawiścią? Milczą o tym akty i kroniki.

Blisko rok trwały dalsze tortury: Fra Diego zamordował swego Inkwizytora 4 kwietnia 1657 roku; Akt Wiary, połączony z publicznym spalaniem na stosie zabójcy, wyznaczono na 17 marca 1658 roku. W odtworzeniu tych trzystu pięćdziesięciu dni i nocy musi nam również dopomóc wyobraźnia. Pewne wydaje się jedno: widok upadającego Inkwizytora, widok którego braciszko wi z Ragalmuto mogłyby pozazdrościć wszystkie ofiary wszystkich kolejnych Inkwizycji aż po nasze czasy, był dlań źródłem nowej siły i pozwolił mu przetrwać ostatnią próbę z podniesionym czołem. Pewne, gdyż kronikarz mówi o tym tak: „Przytwierdzono go do mocnego krzesła, zrobionego specjalnie, łańcuchami i żelaznymi cęgami które krępowały wszystkie członki jego ciała; bano się jego niepokromionej woli, która co chwila wybuchała strasznymi groźbami”. W próbach (wciąż bezowocnych) „oczyszczenia” jego duszy zastosowano metodę, przypominającą do złudzenia sowiecki „konweyor” (jeszcze jeden przyczynek do problematyczności współczesnych wynalazków): gdy on siedział nocą bez ruchu na swym krześle tortury, zmieniali się jego „rozmówcy”, wychodząc co pewien czas do komnat nad lochami, gdzie można się było zdrzemnąć lub pokrzepić przy suto zastawionym stole. Chodziło

— jak wyjaśnia kronikarz — o to, by „ustawicznie spędzać sen z jego powiek” i „jego umysł z piekła rodem powstrzymać od pograżenia się w letargu”.

Daremny trud! W dniu wyznaczonym na Akt Wiary Fra Diego popłynął na swoim krześle, jak na *sedia gestatoria*, ponad głowami tłumu ku przygotowanemu zawczasu stosowi. Nim orszak wyruszył z pałacu Świętego Uficjum, dwaj przedstawiciele arystokracji palermitańskiej zbliżyli się doń raz jeszcze, zaklinając go na wszystkie świętości by okazał skruchę. Wobec jego uporu „ich litość zamieniła się w gniew, mieli prawie ochotę wyrwać mu z ust świętokradczy język”. Także lud wzywał go groźnymi okrzykami do skruchy. Fra Diego odpowiadał śmiało, „zuchwały i twardy jak głaz, z bezwstydnym czołem, mnożąc przekleństwa i złorzeczenia, potwierdzając herezje”. Nie było innego wyjścia: założono mu knebel.

Towarzyszyli mu dwaj księża. Ponieważ droga do stosu była długa, przeniesiono go z krzesła na wóz zaprzężony w dwa woły. „Na widok stosu (notuje kronikarz) nie zmienił się, nie zmieszał, nie zdradził oznak lęku lub strachu”. Dwaj asystujący mu księża nie ustawiali w próbach wyduszenia zeń dowodów „żalu za grzechy”, w końcu jednak musieli dać za wygraną. Dwukrotnie sfingowano podpalenie stosu, sądząc że blask ognia złamie jego rogatą duszę. Nagle przywołał gestem jednego z księży. Wyjęto mu knebel, z umęczonych ust padły słowa: „Zmienię zdanie i poddam się Kościołowi Katolickiemu, jeśli mi życie cielesne подарujecie”. Na co ksiądz nazwiskiem Giuseppe Cicala: „Wyrok jest nienaruszalny”. Na co Fra Diego: „Czemuż tedy powiedział Prorok: *Nolo mortem peccatoris, sed ut magis convertatur, et vivat?*”. Na co Don Giuseppe: „Życie duszy miał na myśli Prorok, nie zaś życie ciała”. Na co Fra Diego: „A więc Bóg jest niesprawiedliwy”.

„Gdy rozległy się te świętokradcze słowa (powiada kronikarz), przyłożono żagiew do drzewa; uwędzone, spalone i spopielone, ciało nieczyste Heretyka wyzionęło wściekłego i piekielnego ducha, by odtąd wiecznie grzeszył i złorzeczył. Rozkazał Arcybiskup Inkwizytor, powodowany słusznymi pobudkami, by wczesnym ranem obrzydlę popioły zebrano i wiatrom oddano”.

Kronikarz dodaje: „Widzieli wszyscy, i ja który temu byłem przytomny, że kiedy niecnego złoczyńcę wleczono na stos, wielkie stado kruków poderwało się w górę, aby krakając i szybując nad jego osobą, nie opuścić go aż śmierci. Wszyscy tedy uwierzyli, że były to demony towarzyszące mu za życia, które uniosły go teraz ze sobą ku wiecznym mękom piekieł”.

W przeszło pół wieku później Fra Diego znalazł swego hagiografa w osobie takiegoż jak on zakonnika, Fra Romualda z Caltanissety. Fra Romualdo zapewniał, że braciszek z Ragal-

muto był „świętym męczennikiem”. Spalono go na stosie w Palermo 6 kwietnia 1724 roku (wraz z oddaną mu Suor Geltrudą) jako „molinistę” i krytyka wyroków Świętej Inkwizycji. „Święty męczennik — kończy swoją książeczkę Sciascia. — Lecz ja utrwaliłem te dzieje, by wydano inny sąd o naszym rodaku: że był człowiekiem, że wysoko stawiał godność ludzką”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

„Kontemplacja na odległość”

Młoda dziewczyna, Żydówka z Polski, w lecie 1939 roku przyjeżdża z ojcem na wakacje do rodziny do Nowego Jorku. Ten przypadek pozwala im uniknąć komory gazowej. Ale następują lata szarej, ciężkiej egzystencji w obcym kraju, w ciężkich warunkach materialnych. Dziewczyna chodzi jeszcze do szkoły. Ojciec, adwokat z Sanoka, działacz i publicysta PPS-u, więzień Berezy, angażuje się na początku wojny w jakąś publicystykę, jak najbardziej „Londyńską”, zupełnie jeszcze bez zerkania na Wschód. Potem wyskakuje z obiegu: musi wziąć pracę w fabryce, przy tokarce, ale nie wytrzymuje wysiłku fizycznego, dostaje ataku serca, zostaje unieruchomiony. I wtedy — w okolicznościach zresztą niejasnych — przejrzał. Zaczął współdziałać z Oskarem Lange w montowaniu „Przyjaźni Polsko-Radzieckiej” napisać broszurę, dowodzącą, że rząd londyński nie jest „legalny”, ale że za to przyszły (wtedy jeszcze nie istniał) „Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego” dopiero będzie „legalny”, dumnie doradzał Stettiniusowi, żeby zaprzestał obrony „szesnastu”, bo on dwóch z nich zna osobiście i wie, że to antysemita. Te poczynania przysporzyły mu nawet pewien rozgłos: chwalił go „New York Times”, chwaliła go „New York Herald Tribune”, oczywiście dopiero wtedy, gdy poprzednio pochwaliła go agencja TASS. Miało nawet dojść do nominacji na delegata PRL przy ONZ-cie, ale przeszkodziła temu śmierć. „Gdyby do tego doszło — powiada smętnie córka na str. 141 swojej książki — to mój ojciec mentalnie stałby się międzynarodową sławą. Ale historia zrządziła inaczej”.

Nazwisko i stosunki ojca działają jednak na rzecz córki i po jego śmierci. Jego polityczne usługi na rzecz nowej władzy, jego przyjaźń z Oskarem Lange, bliskie pokrewieństwo z Juliuszem Katzem-Suchym, wszystko to razem nie tylko zapewnia dziewcz-

czynie z miejsca posadę w sekretariacie delegacji Polskiej przy ONZ-cie, ale nadto otwiera przed nią drzwi salonów nowokreowanych dygnitarzy. Dziewczyna nie ma jednak obywatelstwa amerykańskiego, lecz tylko Travel Document, który utrudnia jej wyjazdy za granicę, a te wkrótce już zaczynają należeć do jej obowiązków służbowych. Dlatego przed jakąś służbową podróżą do Ameryki Południowej jej protektorzy z delegacji z wujciem Katzem-Suchym na czele zaopatrują ją w polski paszport konsularny „dla skuteczniejszej ochrony jej praw przed władzami amerykańskimi”. Dziewczyna waha się, coś podejrzewa, bierze ten paszport, zwraca, znowu bierze, znowu zwraca, płacze. Decyduje ostatecznie pogląd męża, członka Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych, który dla paszportu kraju socjalistycznego jest oczywiście pełen rewerencji. Dziewczyna zostaje obywatelką Polską.

Przychodzi moment, kiedy dziewczyna ma wszystkiego po dziurki w nosie. Nie chce już patrzeć ani na wujcia, ani na całą jego ferajnę z MSZ-tu, z ich załganiem, z ich wzajemnymi denuncjacjami, z ich stylem życia i manierami maharadzów, nie chce być przedmiotem ustawicznej inwigilacji Ubeków, nie chce już więcej jeździć do Warszawy i truchleć ze strachu, że jej więcej stamtąd nie wypuszczą do męża i dziecka w Nowym Jorku. Ma dosyć, chce spokojnie żyć. Ale porzucenie pracy oznacza odcięcie sobie możliwości prolongat paszportu. A z amerykańskimi immigration officers nie ma żartów: jak tylko paszport straci ważność, to można przewidywać, że nastąpi automatyczna deportacja. To, że mąż jest obywatelem amerykańskim, to, że dziecko jest w Ameryce urodzone, to nie ma żadnego znaczenia. Dziecko może przecież żyć bez matki; nikt mu zresztą nie będzie przeszkadzał towarzyszyć matce przy deportacji. Dla tego dziewczyna kłuczy. Naprzód bierze z pracy urlop, żeby zyskać na czasie. Potem zawiadamia przez telefon, że więcej do pracy się nie zgłosi, nie podając żadnych motywów. Wtedy idą w ruch naciski. Grzeczne i uprzejme: rzecz się dzieje przecież w Nowym Jorku, gdzie możliwości działania władzy ludowej są ograniczone. Punktem kulminacyjnym tych nacisków jest oferta wujcia, żeby cała rodzina przeprowadziła się na stałe do Warszawy. Praca, mieszkanie gwarantowane. Dziewczyna już się wycwaniała, już wie, że taka propozycja nie może oznaczać nic dobrego, w każdym razie dla jej męża, który w międzyczasie został z Amerykańskiej Kompartii za jakieś dewiacje wywalony. Już wie, co to w PRL-u (rok 1953!) znaczy, jak nad kimś wisi cień podejrzenia; wie też, że w tym momencie nieufności do niej i do jej męża nagromadziło się już sporo. Mimo to perspektywa brutalnej deportacji po wygaśnięciu paszportu, w warunkach, kiedy poza polskim więzieniem nie ma dokąd się udać, przeraża. Stąd jeszcze do ostatniej chwili pewne wahania. Ale ostatecznie mówi wujciowi twardo „nie”.

I tu się zaczyna historia może najbardziej dramatyczna. Poszukiwania adwokata, który by poprowadził sprawę imigracyjną. Wszystko w ostatniej chwili, bo paszport lada dzień wygasa.

I jak Ameryka długa i szeroka, nie znajduje się ani jeden adwokat specjalista od spraw imigracyjnych, który by zechciał poprowadzić sprawę za proponowane grube honorarium. Sprawa jest „komunistyczna” i śmierdzi: więc szanujący się adwokat od takich spraw stroni w przekonaniu, że klient, który tak nisko upadł, na pomoc prawną nie zasługuje i powinien jej być pozbawiony. Następują długie miesiące, a nawet lata nerwowego wyczekiwania, lata najgorszych obaw przy każdym dzwonku telefonu i przy każdej wizycie listonosza. Wreszcie nakaz deportacji przychodzi. W ciągu trzydziestu dni. Powód: anarchizm. Wiadomo, powód się zawsze znajdzie. Wszystko to razem osobliwie prowincjonalne, jak na *leading nation of the world*. Na szczęście wniosek odwoławczy do generalnego prokuratora federalnego jakimś cudem skutkuje. Wreszcie po pięciu latach zmory udaje się: dziewczyna otrzymuje *permanent visa*.

Wnioski?

Książka się kończy słowami: „Jeśli chodzi o mnie, to uważam, że złożyło się jak najbardziej szczęśliwie, że żyję w „burżuazyjnej” Ameryce i że mogę kontemplować Polskę Ludową na odległość”.

Jest zrozumiałe, że z dwojga złego autorka przedkłada demologię Waszyngtonu nad demonologię Warszawy. Ostatecznie warszawskie demony mają miażdżone brzuchy i genitalia w Departamencie Śledczym, podczas gdy w Waszyngtonie nawet decyzja deportacji demona przychodzi ociągliwie. Ale mimo to największa pretensja, jaką ma się do pani Penzik po przeczytaniu jej książki, to pretensja o to, że autorka ma tak mało litości dla siebie. Nie trzeba byłoby wielu słów, żeby opisać przeżycia kobiety, która raz padłszy ofiarą jakichś szachrajstw jakich politycznych gangsterów, żyje potem przez wiele lat pod ustawiczną groźbą, że pewnego pięknego dnia może zostać na zawsze rozłączona ze swoim własnym dzieckiem. Matka, która czeka na chwilę, kiedy paszport ją oddzieli na zawsze od dziecka, jest jednakowo zrozumiała i jednakowo wymowna, kiedy jest intelektualistką i służącą, kiedy jest cnotliwa i występna, kiedy jej sytuacja jest wynikiem oszustwa, i kiedy jest przez nią samą zawiniona. Kobieta w tej sytuacji nie potrzebuje się nikomu tłumaczyć, nic intelektualizować. W takiej autobiografii człowieka zaszczytowanego z powodu posiadania niekoszernego paszportu, w jakimś takim krzyku rozpacz w rodzaju „Say This City Has Ten Million Souls” W.H. Audena, tylko prozą wyrażonym i autentycznym, usprawiedliwione byłoby nawet pewne quantum egzageracji i egotyzmu. Prawda, że pani Penzik byłoby na taką autobiografię trudniej znaleźć wydawcę. Któryż wydawca by potraktował takie paszportowe perypetie poważnie w epoce, w której, jak zapewniają znawcy, paszporty i wizy coraz mniej się liczą. Poza tym wydawcy lubią sytuacje jednoznaczne: za Ameryką lub przeciw Ameryce za komunizmem lub przeciw komunizmowi. Opowieść o tym, jak się było *zarazem* ofiarą władz amerykańskich i komunistycznych mogłaby prowadzić tylko do reakcji typu: takiego zwierzęcia nie ma.

Pani Penzik poszła jednak zupełnie inną drogą, taką, gdzie o wydawcę łatwo. Zamiast prostej opowieści o własnej krzywdzie dostaliśmy do rąk opis światopoglądowej ewolucji. Wyszło okropnie. Sztampa „oskarżania komunizmu” w najgorszym stylu. Opowieść o pełnej szlachetnych uczuć dziewczynie, która oszukana przez politycznych sutenerów, zmuszona do uprawiania politycznego nierządu, w końcu przejrzała i wróciła na drogę politycznej cnoty. Podtytuł książki: „Polski komunizm od wewnątrz”, napis na okładce: „obraz polskiej elity komunistycznej z bliska”, przedstawienie na epatowanie amerykańskiej publiczności opisami luksusu i pikantnych szczegółów prywatnego życia dygnitarzy, podobnie jak to robią bogato ilustrowane tygodniki odsłaniające arkana Hollywoodu albo królewskich rodzin. Do wiedzy o komunizmie książka pani Penzik wnosi tyle, ile te tygodniki do wiedzy o filmie: literalnie nic.

To wszystko jednak jeszcze nie jest najgorsze. Bo najgorsze jest to, że pani Penzik ze swoim nastawieniem: „A ja wam teraz opowiem, jak jedzą i jak się ubierają komunistyczni dygnitarze, kiedy ich naród głoduje i chodzi w łachmanach” trafnie antycypuje pytanie czytelnika: „No dobrze, a coś ty wśród tych dygnitarzy robiła?”, i tłumaczy się, i intelektualizuje. W ten sposób rzecz zostaje doprowadzona do kompletnego absurdu. Jest więc demokratyczno-idealistyczno-liberalno-patriotyczno-socjalistyczna atmosfera rodzinna, w jakiej autorka się wychowała. No dobrze, ale w takim razie skąd stalinizm? A bo (str. 135) ojciec popełniał błąd zakładając, że niepodległa Polska będzie sobie tak po prostu koegzystować ze Stalinem. Ale — powiada autorka — „wybitne osobistości demokratyczne” i nawet Roosevelt popełniały ten sam błąd. Mogłoby się więc zdawać, że tym, co tego błędu nie popełniali, zamiary sowieckie pojmowali trafnie, i ojca za sowietofilstwo atakowali autorka przyzna rację. Skądże znowu, to byli antysemita, zwolennicy dyktatury, łobuzy i kalumniatorzy. Jednak na str. 137 dowiadujemy się, że ojca atakowali starzy towarzysze z PPS-u i z Bundu: czyżby to więc byli ci antysemita i zwolennicy dyktatury? Na to jest jednak odpowiedź na str. 134, że na emigracji doszło nagle do zjednoczenia elementów demokratycznych z elementami faszystowskimi, i że „demokraci stali się orędownikami polskiej reakcji”. Próżno w tym wszystkim szukać sensu i ładu. Jest magia wzniosłych słów i magia autorytetów. Poglądy, które się ładnie nazywają: demokratyczne, liberalne czy socjalistyczne i poglądy podzielane przez „wybitne osobistości” to poglądy cacy, choćby były niesłuszne, a poglądy przeciwne to poglądy be, choćby były słuszne. Typowe, tuzinkowe wydanie konfesji ekskomunisty, typowa, tuzinkowa i jakoś smutna dola człowieka, którego całe życie światopoglądowe kształtuje moda, stado, przywódca. Na dobro pani Penzik należy bezwzględnie zapisać to, że nie czekała ze swoim ideologicznym kryzysem na przemówienie Chruszczowa, i że w czasie swoich dwóch pobytów w Warszawie jakoś nie utraciła zdolności widzenia niedoli prostego człowieka i swoich obserwacji nie opierała na gazetach i na plot-

kach z wyższych sfer. Ale mimo to jej książka jest przeraźliwie intelektualnie niesamodzielna, przeraźliwie bezradna w swoich światopoglądowych wyborach. Cóż powiedzieć, jeżeli pani Penzik jeszcze dziś się cieszy, że powstanie „Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego” było spełnieniem się przewidywań jej ojca (str. 138). Cała pociecha, że chwilami autorka przestaje być intelektualistką i staje się sobą. Potrafi wtedy wzruszająco opisywać, jak synek machał do niej rączką na pożegnanie. Tylko, że takie sceny, które byłyby całkowicie naturalne w autobiografii tego typu, o jakim mówiłem powyżej, w „książce o komunizmie” są czymś zupełnie nie na temat.

Co więcej, książka ta jest już nieaktualna. Nawet nie tyle dlatego, że choć są w książce rzeczy pikantne, na pewno nie ma rewelacji, i że w końcu o tych rzeczach już się dzisiaj dobrze wie. Ostatecznie nie każda książka musi od razu zawierać rewelacje: nic nie szkodzi, jeżeli się od czasu do czasu przypomni, jak żona pułkownika UB nie może zrozumieć, dlaczego jest tyle skarg na dystrybucję, skoro ona nie ma żadnych problemów z zaopatrzeniem domu, albo jak żona innego dygnitarza (wujcia) od chwili kiedy mąż ma kochankę, żyje w śmiertelnym strachu, że zostanie przez niego oskarżona o trockizm czy kontrrewolucjonizm, jako że to jest droga najszybciej prowadząca do rozwodu. Powód nieaktualności tej książki jest inny i polega na czym głębszym. Polega on na tym, że w międzyczasie wujcio, Stefan Wierbłowski, czy inni bohaterowie książki znów się do autorki zbliżyli, przestali być bezdusznymi biurokratami, a stali się „rewizjonistami”, „liberałami”, „humanistami” i Bóg jeden wie, czym jeszcze; że ich słowa mają teraz zasięg międzynarodowy; że współtworzą oni ten sam tak bardzo wszędzie dziś dominujący międzynarodowy ethos sentymentalnej lewicowości, którego autorka się tak niewolniczo trzyma, i któremu tak trudno się oprzeć, gdziekolwiek się mieszka na świecie. Wypominanie tym ludziom przeszłości nie prowadzi do niczego: wszyscy przecież uznajemy prawo do zmiany przekonania.

Witold JEDLIŃSKI

Historia dzieciństwa

Istnieją różne odmiany anachronizmu, z których najmniej groźną a wzbudzającą raczej uśmiech jest ta, która przenosi zegary w epokę Juliusza Cezara i ubiera Batorego w kamizelkę. Gdzie mamy do czynienia nie z przedmiotami a z pojęciami, tam anachronizmy są mniej oczywiste za to trudniejsze do wyśledze-

nia, zwłaszcza gdy pod tymi samymi słowami ukrywa się inna treść. Któż zdaje sobie sprawę, na przykład czytając Kochanowskiego lub Morsztyna, że *granat* oznacza u nich ciemną purpurę, że barwa *brunatna* to kolor fioletowy (w poezji staropolskiej fiołki są zawsze *brunatne*), a natomiast nazwy na kolor brązowy w ogóle nie ma. Anachronizmów w stosunku do zjawisk społecznych łatwiej można uniknąć niż wobec zjawisk 'naturalnych'. Z tego, że słowa *wolność* czy *postęp* znaczyły dawniej co innego niż dziś, zdajemy sobie prędzej sprawę niż z tego, że coś innego oznaczało *dziecko* lub *młodzieniec*.

Podział życia ludzkiego na niemowlęstwo — dzieciństwo — młodość — itd. wydaje się równie naturalny, jak podział tęczy na kolory. Tymczasem i jeden i drugi jest ściśle zależny od historii. Mikołaj Rej w *Zwierciadle* dzieli życie ludzkie na trzy wieki tylko: młodość — wiek średni — starość. Byłoby niesłuszne sądzić, że pisarz dzieciństwo po prostu zapomniał czy zlekceważył. Młodość trwa dla niego od urodzenia aż do początku 'wieku średniego'. W XVI-XVII w. *młodość* i *dzieciństwo* to synonimy, i na przykład tak zwane prawo chełmińskie, a więc tekst że tak powiem oficjalny, stwierdza w r. 1623, że z 'dzieciństwa' wychodzi się doszedłszy do lat 21. Ta definicja pozwala też przypuszczać, że Reja 'wiek średni' zaczyna się w dwudziestym pierwszym roku życia. Pojęcie dzieciństwa jako osobnego wieku jeszcze nie istnieje.

Że tak rzeczywiście było, i dlaczego, i jak powstała dzisiejsza koncepcja dzieciństwa, tego wszystkiego można się dowiedzieć z książki Philippe Ariès *L'enfant et la vie familiale sous l'ancien régime* (1). Ariès posiada dar, właściwy wybitnym historykom, zobaczenia historii „od wewnątrz”. Jego *Le temps de l'histoire* (1954) jest w pewnym sensie lekcją poglądową tej metody: autor bierze w niej za przykład fakty z wczesnego średniowiecza i pokazuje, jak je widzieli kolejno kronikarze współcześni i późniejsi aż po historyków XVII i XVIII wieku.

Tym razem zadanie, jakie sobie postawił, jest ambitniejsze: książka pokazuje powstanie i rozwój koncepcji dzieciństwa we Francji, a w pewnej mierze w Europie Zachodniej, poczynając od średniowiecza, a kończąc, wbrew tytułowi, na chwili obecnej. Aby to zrobić, trzeba było mieć możliwość porównania wyobrażeń Średniowiecza i Renesansu z pojęciami nam współczesnymi, a ponieważ widzimy dzieciństwo przez kontrast z innymi kategoriami wieku, więc trzeba się było zastanowić nad kwestią „stopni wieku ludzkiego” (*les âges de l'homme*).

Każdej epoce — zauważa Ariès — zdaje się odpowiadać inny podział na te kategorie i w związku z tym uprzywilejowanie innego wieku: w XVII w. na przykład wiekiem uprzywilejowanym jest „dojrzałość”, *âge moyen*, Reja „wiek średni”, utożsamiany we Francji, inaczej niż u nas, z młodością (podobnie jak u Reya

(1) Paris, Plon, III + 503 stron.

istnieją tu tylko trzy kategorie, ale nazywają się inaczej: *enfance*, *jeunesse*, *vieillesse*, Ariès, str. 14, tekst z r. 1556). W XIX w. uprzywilejowane jest dzieciństwo, w XX w. mamy kult niedojrzałości (*adolescence* — „chłopięctwo”). Temu ostatniemu odpowiada zniknięcie starości. O ile w XIX w. „starzec” był synonimem czcigodnego patriarchy, to dziś po prostu go nie ma. Znikł, zastąpiony przez „panów w pewnym wieku” (*des messieurs et dames bien conservés*, jak pisze Ariès). Za „młodych” uważają się dziś panowie 40-letni, którym by to ani za Ludwika XIV ani za romantyzmu do głowy nie przyszło (Mickiewicz przyjechał do Francji, jako człowiek poważny, w średnim wieku. Miał wtedy 32 lata).

Druga cecha, która dzieli nasze czasy od epok poprzednich, to ostre rozróżnianie między dzieckiem a dorosłym. Średniowiecze ani wiek XVI tej przepaści jeszcze nie znały. Od chwili, gdy dzieci mogły sobie dawać same radę, najpóźniej od siódmego roku życia, żyły tak jak dorośli. Że w ogóle samo pojęcie 'dziecko' nie istniało, widać wyraźnie zarówno z literatury, którą Ariès cytuje, jak i z ikonografii: do XVII w. dzieci przedstawiane są jak dorośli, tylko w zmniejszonej skali.

Taki stan rzeczy spotykamy częściowo do dziś na wsi, częściowo tylko, bo i do wsi dotarła szkoła. Ariès przypisuje odpowiedzialność za powstanie rozróżniania w dużej mierze szkole, a między innymi wprowadzeniu instytucji klasy.

Dla człowieka średniowiecznego, którego pojęcie czasu było całkiem inne niż nasze, obojętne też było dokładne liczenie wieku, bez którego człowiek dzisiejszy w ogóle nie może się obejść. Czy można dziś sobie wyobrazić kogoś, kto nie zna swej daty urodzenia?

Tymczasem w tekstach z XVI w. cytowanych przez Arièsa uderzają dialogi, w których uczniowie względnie studenci, zapytani ile mają lat, odpowiadają po prostu „nie wiem”. Oczywiście sam fakt, że się zaczyna pytać, dowodzi już ewolucji pojęć, a więc XVI w. jest pod tym względem początkiem epoki współczesnej.

Szkoła średniowieczna wiekiem ucznia się nie interesowała, gdyż nie znała instytucji klas ani przechodzenia z jednej klasy szkolnej do drugiej, tak jak jej nie zna dalej dzisiejszy uniwersytet: na tej samej ławce siedzieli więc uczniowie względnie studenci od 10 do 25 lat. Związane to było oczywiście z całkiem inną organizacją studiów (tak na przykład u nas jeszcze w XVI w., Rej wstępuje na Uniwersytet Krakowski w wieku lat 13, Kochanowski lat 16, a Strykowski lat 20). Precyzyjne liczenie lat związane jest z wprowadzeniem klas szkolnych w w. XVI. Nasze dzieci, jak zauważa Ariès, mają wiek swej klasy szkolnej (względnie są „w wieku przedszkolnym” albo też są „spóźnione”, pojęcia które nie miałyby sensu bez pojęcia klasy).

Szkoła-internat stworzona w XVI w. przez jezuitów przyczyniła się więc do stworzenia przepaści między uczniami-dziećmi a dorosłymi, drugim jednak czynnikiem, który wycofał dziecko ze

społeczeństwa była rodzina. Rodzina średniowieczna nie zna właściwie życia prywatnego i tak jest we Francji do końca XVII w.: *la vie d'autrefois se passait en public*, intymność była pojęciem nieznanym. U nas była tak jeszcze do końca XVIII w., jak pamiętają czytelnicy „Pamiętek Soplicy” a nawet „Pana Tadeusza”, gdzie tylko kilka scen romantycznych, jak świątynia Dumania i spowiedź Jacka nie dzieją się w miejscu publicznym (zgodnie z nową modą Telimena i Zosia mają już swe pokoje, ale młodzi panowie śpią w stodole).

Że wychowanie polegało na wysłaniu w świat, to jest na dwór pański, to także wiedzą czytelnicy „Pana Tadeusza”, innymi słowami właściwe wychowanie dawało wejście w społeczeństwo dorosłych. Dawne społeczeństwo francuskie — czytelnik polski rozpozna tu bez trudu społeczeństwo polskie XVII-XVIII wieku — gromadziło maksimum najróżniejszych kondycji społecznych w minimum przestrzeni. Największa koncentracja mieszkańców była w pałacu królewskim czy magnackim. Słowo *pokój* oznacza początkowo to wyjątkowe miejsce w pałacu, gdzie król czy magnat mógł zażywać „spokoju”.

„*L'histoire de nos mœurs se réduit en partie à ce long effort pour se séparer des autres*. Dawne społeczeństwo lepiej znosiło kontrasty, obok kontrastu pana i sługi także kontrast między nędzą a bogactwem, który nie szokował nikogo w XV czy XVII w., jak nie szokuje dziś jeszcze Hindusa czy Meksykanina. Przyszła jednak chwila, gdy mieszczaństwo nie mogło już znieść naporu tłumy ni kontaktu z nędzą: *la bourgeoisie a fait sécession*. Od tego zaczął się rozkład społeczeństwa, niegdyś jednolitego nie tylko na klasy, ale na mniejsze grupy zawodowe, na drobniejsze ugrupowania, wreszcie na rodzinę. Z tego wynika, że wbrew chętnie powtarzanej sztancy, jakoby rozwój indywidualizmu od czasu Rewolucji Francuskiej osłabił spójność rodziny, jest wręcz odwrotnie: rozwój, który opisuje Ariès, doprowadził nie tylko do wyodrębnienia rodziny w dzisiejszym sensie, ale i do „zgęszczenia się uczucia rodziny.

Polskie słowo „rodzina” ma zresztą szerszy zakres semantyczny niż francuskie *famille*, które oznacza tylko ojca, matkę i dzieci żyjące pod tym samym dachem. W Polsce mówiąc o członkach rodziny mamy na myśli co najmniej też dziadków, wujków, ciotki i ich dzieci. Rodzina francuska XX w. jest więc komórką węższą ale też bardziej zwartą, skupioną — tak ją widzi Ariès — wokół dziecka, które jest jej racją bytu.

Książka Arièsa podzielona jest na trzy wielkie części: stosunek do dzieciństwa (*le sentiment de l'enfance*), życie w szkole, rodzina. Na każdym kroku zaskakują nas ogromne różnice w odczuwaniu dzieciństwa, szkoły, rodziny, między XV-XVII w. a nami. Jednym z uderzających stwierdzeń jest to, że impuls do odróżnienia dzieci jako osobnej grupy, a dzieciństwa jako kategorii wieku dały powody natury moralnej. Jeszcze w XVI-XVII w. zaskakuje przede wszystkim obojętność, a może tylko rezygnacja, wobec straszliwej śmiertelności niemowląt: „zbyt wiele ich umie-

rało", wyjaśnia Ariès. Ma się wrażenie, że niemowlęta znajdują się w jakiejś „strefie marginalnej”, z której te, które przeżyły, wychodzą dopiero na świat albo — według wyrażenia z XVII w. — „wchodzą w życie”. Jeszcze w XVII w. pociesza się matkę nowonarodzonego dziecięcia: „zanim dojdą do wieku, w którym będą cię mogły martwić, stracisz ich połowę albo i wszystkie” (szczególna pociecha, dodaje historyk francuski).

Tu też wiek XVI jest przełomowy. Pojawia się po raz pierwszy zainteresowanie dziećmi, „odkrycie dzieciństwa” i dzieci nie jako dojrzałych, ale właśnie jako dzieci, przybierające z początku formę *mignotage'u*: dorośli zachwycają się urokiem dziecięcej naiwności, bawią szczebiotem itp. U nas ten pierwszy etap reprezentuje Rej w *Zwierciadle* (1567): „nuż gdy jeszcze owi przyrodzeni błazenkowie a owy dziateczki wdzięczne... jako ptaszkowie około stołu biegając świrkocą..., jaka to jest rozkosz a jaka pociecha... tedy się tu sobie (rodzice) urozkoszują, to się tu im jako najlepszym błazenom uśmieją”. Całkiem analogiczne przykłady, ale nieco późniejsze, cytuje Ariès, str. 136-137. Wbrew rozpowszechnionej opinii o średniowieczności Reja, jest on tu więc całkiem 'nowoczesny'.

Rej jest jeszcze umiarkowany w porównaniu z młodszym o jedno pokolenie poetą St. Grochowskim, księdzem i wychowankiem jezuitów (*Wiersze* 1607): „Bo kto raz to pieścidłeczko Ujrzy, wdzięczne dzieciąteczko, Nic nie ujrzy piękniejszego... Kto przyjemniuchne śmieszeczki Raz słyszał tej dziecineczki, Nic nie słyszał tak wdzięcznego”. Z *Wirydarza* Grochowskiego takich przykładów dałoby się cytować całymi stronami, całkiem jednak nieoczekiwanym adeptem *mignotage'u* okazuje się nie kto inny tylko Piotr Skarga (*Kazania* 1595): „Najwdzięczniejsze to dzieciąteczko każdemu się piastować i całować daje”. Zachwyty tego rodzaju, jak zauważa Ariès, cechowały zapewne zawsze rodziców i piastunki, nowością jest, że dostają się do literatury, że należą odtąd do uczuć które można wyrażać, do uczuć świadomych. Wbrew temu, czego można by się spodziewać w myśl naiwnego materializmu, ewolucja pojęć poprzedziła ewolucję demograficzną: pod wpływem odkrycia dzieciństwa, pod wpływem nowych uczuć tkliwości i zachwyty dziecko nabrało wartości „sprzeczej” z sytuacją demograficzną (śmiertelność), czego rezultatem stała się pręcej czy później zmiana tej sytuacji. Przestano znosić uczuciowo śmiertelność niemowląt i stopniowo znaleziono na nią radę.

Innym świadectwem odkrycia dzieciństwa jest sztuka. Pojawiają się rzeźby i obrazy rodziców z dziećmi, także z dziećmi zmarłymi, pod koniec XVI w. portrety i nagrobki samych dzieci. *Treny* Kochanowskiego (1579) znajdują się w tej samej linii rozwoju, tylko w dziedzinie poezji a nie plastyki.

Ale poza tym XVI w. jest jeszcze epoką przejściową. Tak na przykład idea niewinności dziecka ('niewinny jak nowonarodzone dziecię', 'kazano w kraju niewinnej dziecinie modlić się za mnie') pojawia się dopiero pod sam koniec wieku. Upřednio,

zgodnie z doktryną kościelną, uważano dziecko za równie dotknięte zmałą grzechu pierworodnego jak wszystkich innych śmiertelników. Nic dziwnego zresztą, skoro dziecka od dorosłego nie odróżniano. „Szacunek należny dzieciom” — pisze dzisiejszy historyk jezuita — „był w XVI w. nieznanym, pozwalano sobie w ich obecności na wszystko”.

W *Trenach* Kochanowskiego o niewinności Urszulki (30to-miesięcznego dziecka, zauważmy nowoczesną precyzję w podaniu wieku) nie ma jeszcze mowy. Urszulka jest już cnotliwa, a nie jeszcze niewinna („Tak wiele cnót jej młodość... nie mogła znieść”, *Tren XII*. W *Trenie III* mowa jest jednak, nieco ostrożniej, o „przyszłych cnotach”). Zgodnie z powstającą konwencją plastyczną dzieci-aniołków (o której obszerniej u Arièsa, str. 25-38) Kochanowski pisze: „Czyś ty nad wszytki nieba wysoko wzniesiona I tam w liczbę aniołków małych policzona?”. (*Tren X*), ale nie jest to pytanie retoryczne, bo zaraz dalej czytamy: „Czyli się w czyścću czyścisz, jeśli z strony ciała Jakakolwiek zmazeczka na tobie została?”.

Traktowanie dwu i półletniego dziecka jako dorastającej dziewczynki uważają przeważnie krytycy za przesadę lub manierę literacką. Ale czy nie mamy tu także do czynienia ze zjawiskiem nierozróżniania między dzieciństwem (*enfance*) a wiekiem młodzieńczym (*adolescence*), na co zdaje się wskazywać brak rozróżniania tych pojęć w języku Kochanowskiego (poeta używa w stosunku do Urszulki słów: młodość, w młodych leciech wzięta, w rannym lecie, obyczaj panieńskie, myśli dziewicze; dziewczyna, dziewczka, droga, dziecię). Toteż opinię prof. Sinki, który pisze o *Trenach*, że są one „pomnikiem życia polskiego rodzinnego”, należy zmodyfikować w tym sensie, że Kochanowski nietyle uwiecznił szesnastowieczną rodzinę polską taką, jaką ją zastał, ile raczej stworzył pewien archetyp, w świetle którego widziała się rodzina polska przez następne trzy stulecia.

„Niewinność dziecinna” pojawia się u nas po raz pierwszy, o ile można wierzyć słownikowi Lindego, w r. 1603 pod piórem Piotra Skargi. Nie jest oczywiście przypadkiem, że ten jezuita kształcony w Rzymie znajduje się „w awangardzie postępu” (2). Ariès pokazuje, jak w drugiej połowie XVI wieku jezuita stali na czele ruchu, który doprowadził do „szacunku dla niewinności dziecka” a właściwie stworzył samo to pojęcie, wychodząc zresztą początkowo z całkiem tradycyjnego założenia, że kontrola uczniów jest niezbędna ze względu na słabość grzesznej natury ludzkiej. Pierwsze podręczniki, w których zastosowano zasadę wyboru tekstów z autorów klasycznych pod kątem widzenia moralności (by uczniów nie gorszyć), wprowadzili jezuita, za nimi poszli zaraz protestanci. Kolegia jezuickie, powstałe w XVI w. izolują

(2) W 1607 w *Wierszach* St. Grochowskiego „dziateczki niewinne śpiwają”. Może to też nie przypadek, bo Grochowski, młodszy o 6 lat od Skargi, studiował w kolegium jezuickim w Pułtusk w r. 1571 tj. akurat wtedy gdy Skarga został tam profesorem i kaznodzieją w kolegiacie.

uczniów od wpływów zzewnątrz, nic więc dziwnego, że stopniowo rodzi się poczucie odrębności tej „młodzieży” i przekonanie, że celem izolacji jest zabezpieczenie niewinności przed zepsuciem. Ulubionym przykładem cytowanym przez literaturę pedagogiczną XVII w. są np. *enfants modèles*, świątobliwe dzieci, zmarłe w stanie niewinności (jednym z pierwszych tego rodzaju świętych jest Stanisław Kostka, jezuita zmarły w r. 1568 w wieku lat osiemnastu). Nawiasem mówiąc intrygujące jest, że przykłady polskie na „odkrycie dzieciństwa” w literaturze są wcześniejsze niż podane przez Arièsa przykłady francuskie. Wyjaśnienia należy chyba szukać we wspólnym dla obu źródle, którym — choć Ariès o tym nie wspomina — mogą być tylko Włochy.

Niesposób wyliczać tu wszystkie odkrycia, jakie czekają na czytelnika książki Arièsa. Zadowolmy się jeszcze wzmianką o porównaniu między wykształceniem średniowiecznym a dzisiejszym: podczas gdy w Bizancjum szkoła chrześcijańska kontynuowała bez przerwy tradycje antyczne, na Zachodzie hiatus był brutalny. Nowa szkoła miała za cel przygotowywanie księży. Nic dziwnego że przez długie wieki nauka odbywała się po prostu w kościołach, potem w szkołach katedralnych, z których powstały uniwersytety. Ariès kreśli ciekawe analogie między tą szkołą a dziś jeszcze istniejącymi szkołami muzułmańskimi. Podobnie, jak w tych ostatnich, uczono się przede wszystkim tekstów na pamięć, nauki czytania o wiele później. Jeszcze w r. 1517 późniejszy humanista Thomas Platter spędziwszy dziesięć lat w różnych szkołach (w jednej z nich słuchał np. Terencjusza) nie umie czytać.

Struktura uniwersytetu taka jaką miała pozostać aż do XIX w. ukonstytuowała się już w ciągu XIII w.: z podziałem na fakultety teologii, prawa, medycyny i *artium*. Ten ostatni był niejako propedeutyką, którą trzeba było skończyć naprzód. Losy jego były zresztą różne: we Francji „zdegradowany” został stopniowo do ostatnich klas szkoły średniej, w Anglii „awansował” do godności innych fakultetów, w Niemczech (i, dodajmy, w ogóle w Europie Środkowej) przekształcił się w fakultet filozofii, skąd go zaczerpnęła reforma napoleońska. Tym tłumaczy Ariès, że o ile skończenie Cambridge lub Oxfordu jest w Anglii wyróżnieniem społecznym, jako *complément de bonne éducation*, to dla Francuzów skończenie Sorbony nigdy nim od czasów napoleońskich nie było (w Europie Środkowej rolę tę odgrywał doktorat, a więc również zakończenie uniwersytetu). O ile więc pomiędzy szkołą antyczną a szkołą wczesno-średniowieczną była przerwa, to przerwy takiej nie ma między dzisiejszą szkołą średnią i uniwersytetem europejskim a szkołą katedralną średniowiecza (miło jest móc zrobić tę osierbowację w roku, w którym Uniwersytet Jagielloński obchodzi 600-lecie istnienia).

Te notatki z lektury dają tylko słabe wyobrażenie o bogactwie książki Arièsa. Chodziło mi jednak nie o zgromadzony materiał — choć książka ma 500 stron, a same przypisy (indeksu niestety brak) zawierające listę wykorzystanych źródeł mają str. 30 — ale o pokazanie co jest w tej książce odkrywczе i o zaznaczenie

przy tej okazji jakie perspektywy odkrycia Ariësa mogłyby otworzyć dla badań nad historią kultury i języka polskiego.

Andrzej VINCENZ

Uwaga: Wszystkie cytaty z autorów polskich, z wyjątkiem Reja i Kochanowskiego, zaczerpnięte są ze słownika Lindego.

Pod znakiem nauk służebnych

PRZEGLĄD POLSKICH NOWOŚCI BIO- i BIBLIOGRAFICZNYCH

Nazwiska „Estreicher”, „Finkel”, „Kolberg”, „Korbut” kojarzą się raczej z rzędami solidnie oprawnych tomów, niż brodatymi podobiznami ich twórców. Osiągnęli oni godny pozazdroszczenia sukces: utożsamili się z dziełami pracowitych żywotów, a nazwiska ich straciły charakter nazw osobowych, przekształcając się w słowa pospolite służące do określania powszechnie używanych narzędzi pracy naukowej. Jesteśmy dumni z naszych wielkich bibliografów („Jakiż naród pochlubić się może...” itd.). Staramy się nie pamiętać, że owe samotnicze wyczyny były oazami na pustyni i desperackimi przedsięwzięciami jednostek uświadamiających sobie jasno zasadnicze braki w dziedzinie podstawowych opracowań bibliograficznych. Dla pełni obrazu dodać należy, iż nie pozostawili bezpośrednich kontynuatorów i długo czekać im wypadło na fototypiczne przedruki (Finkel, Kolberg) czy też nowe uzupełnione wydania. Przedsięwzięcia bibliograficzne określane są do dziś pogardliwie jako „mrówcza praca” — albo „frędzelki” właściwej działalności bibliotecznej.

Spojrzyjmy prawdzie w oczy. Bibliografia narodowa, której wspaniałe zręby stworzył Karol Estreicher, urwana ze śmiercią twórcy, teraz dopiero — i to dzięki uporowi wnuka — doczekała się nowego uzupełnionego wydania, ukazującego się w rocznych dawkach jednotomowych. Doszliśmy właśnie do litery C (t. III). Wiek XX, dobrze już w trzecią kwadrę zaawansowany, zionie pustką w bibliotekach podręcznych a na półkach magazynów czasopism straszy rzędami „Książki”, „Przewodnika Bibliograficznego” i „Urzędowego Wykazu Druków”, wydawanych kapryśnie, z przerwami, na różne sposoby, a często bez indeksów. Przepadły, jak się wydaje, poważne materiały do lat 1900-25 gromadzone przez śp. Jana Muszkowskiego w Bibliotece Ordynacji Krasińskich w ramach prac nad tzw. „kontynuacją” Estreichera,

wspieraną raczej moralnie niż materialnie przez chronicznie niezasobne Towarzystwo Naukowe Warszawskie. Brak podstawowych opracowań bibliograficznych z okresu dwu wielkich wojen światowych, brak pełnego ujęcia produkcji piśmienniczej Dwudziestolecia.

W latach powojennych objętych zasadniczo wydawanym przez Bibliotekę Narodową „Przewodnikiem Bibliograficznym” i „Bibliografią Zawartości Czasopism” uderza brak kumulacji za okresy pięcio- czy dziesięcioletnie. Zestawianie materiałów, odnoszących się, powiedzmy, do polskich wydań przekładów Zoli oznacza konieczność wertowania kilkudziesięciu tomów i uzupełniania luk wyobraźnią. Brak podstawowej bibliografii czasopism. Brak systematycznego opracowania druków polskich i Polski dotyczących opublikowanych poza granicami kraju za długie okresy ze szczególnie rażącą luką z lat 1914-20. Brak środków na ogłoszenie drukiem kumulacji trzech tomów emigracyjnej bibliografii, choć ilość pozycji (ponad 14.000 opisów) w pełni uzasadnia jej potrzebę. Brak bibliografii zawartości czasopism emigracyjnych itd.

W tych warunkach ze szczególnym uznaniem witać należy wszelkie poważne próby odrabiania owych bibliograficznych założeń. Ukazało się ich ostatnio obiecująco wiele.

Na pierwszym miejscu postawić należy nowe, teoretycznie trzecie, wydanie bibliografii literackiej Korbuta (1). Różni się ono zasadniczo od pozornie skromnej i przestarzałej „książki podręcznej informacyjnej dla studiujących naukowo dzieje rozwoju piśmiennictwa polskiego” z podtytułu oryginalnej Korbutowej „Literatury polskiej od początków do wojny światowej”. Cztery przedwojenne tomy rozrosły się w zamierzeniach realizatorów obecnej edycji do co najmniej kilkunastu (ok. tysiąca arkuszy), mimo stosowania petitu i nonparelu i oszczędnego dwuszpaltowego układu. Zmianie uległ nie tylko układ graficzny, ale i tytuł. Brzmi on obecnie „Bibliografia literatury polskiej — Nowy Korbut”. W dokładniejszym ujęciu oznacza to właściwie zgrabny ukłon przed portretem animatora — bibliografię *imienia Korbuta*. Nie jest to bynajmniej zarzut. Operacja „unaukowienia” była zabiegiem koniecznym. Dokonano jej w sposób dyskretny, pełen szacunku dla pamięci „człowieka z kurzu” i jego wielkiego ale niewątpliwie po amatorsku wykonanego dzieła.

Byłam świadkiem narodzin drugiego międzywojennego wyda-

(1) Bibliografia literatury polskiej „Nowy Korbut” T. I. *Piśmiennictwo staropolskie*. Opracował zespół pod kierownictwem Romana Pollaka. Hasła ogólne i anonimowe. Warszawa, 1963, Państwowy Instytut Wydawniczy, 8°, 390 (2) p. (Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk).

(Redaktor naczelny całości: prof. Kazimierz Budzyk (zmarły w rb.). Komitet redakcyjny całości: Ewa Korzeniewska, śp. Tadeusz Mikulski, Roman Pollak, Irmina Śliwińska, Stanisław Stupkiewicz i Zygmunt Szweykowski. Zespół redakcyjny t. I: Tadeusz Witeczak i Danuta Maniewska oraz Józef Cybertowicz, Alojzy Sajkowski, Izabella Teresińska, Wanda Wendland-Pierzechlewiczowa).

nia (w 4 tomach) z r. 1929. Prof. Gabriel Korbut był ongiś nauczycielem mojej matki, przyjacielem wujów — a wreszcie, już dla mnie, moralną podporą w trudnym okresie osławiania się z metodami samodzielnej pracy badawczej. Mieszkał i pracował w Pałacu Staszica, na najwyższym piętrze w podwórzu, w ponurym ciągu pokoiów wzdłuż równie ciemnego i równie ponurego korytarza. Zajmował dwa pokoje: w większym tzw. „pracowni” albo „gabiniecie” mieściła się biblioteka, mniejszy był niejako kombinacją sypialni i magazynu czasopism a w lecie, pod nieobecność żony i dzieci służył nadto jako kuchnia. Na zawsze utrwalił mi się w pamięci zapalony prymus wparty nóżkami w wyleniałą pikowaną kołdrę. Obok, w niezależnym odcinku pomieszczeń toczyło się autonomiczne „życie rodzinne”, o czym świadczył rower syna, akwarele córki i stale unoszący się w korytarzu zapach korzennego rosółu. Profesor przeciwstawiał się energicznie wszelkim próbom sprzątania, a że półek nie było już gdzie stawiać, przeto stosy szpargałów gromadziły się na stołach, krzesłach i podłodze. Pamiętam, że zastałam go kiedyś poprawiającego korekty „Literatury” przy biurku — ale na stojąco. Przy braku miejsca na blacie uważał to za sprawę naturalną. Był drobny, suchy, poczochrany na klasyczne Norwidowską modłę, odżywiał się źle i niesystematycznie, trapiły go chroniczne zaniebane dolegliwości, kaszel i bezsenność.

Nie odczuwał potrzeby telefonu, radia, kina. Rzadko wyruszał poza najbliższy kwartał, w którym mieściły się wówczas składy przedmiotów pierwszej użyteczności: antykwariaty na Świętokrzyskiej. Lubił, gdy odwiedzał go Jan Michalski, znany zbieracz Mickiewiczianów — Wacław Borowy — Ludwik Simon, teatrolog wysokiej klasy. W kącie siedział zazwyczaj jakiś skulony student czy studentka, pilnie przepisujący rewelacje z udostępnianej na miejscu książki czy notatek. Nie wydaje mi się, by w toku gromadzenia materiałów posługiwał się jednolitego formatu kartkami czy kartotekami a nawet ich surrogatami tak skutecznymi jak stare pudełka od butów. Bibliografia powstawała, jak dobry wiersz, na starych kopertach, marginesach pism, pustych kartkach zeszytów o dziwnych liniaturach i tym podobnych nieprzepisowych a tanich źródłach „czystego” papieru. Maszyny do pisania nie uznawał. Pisał na przemian ołówkiem to znów piórem maczanym w brudnym poszczerbionym kałamarzu. Rzecz opierała się na pamięci i wielokrotnym powracaniu do pierwotnej redakcji zapisu, była długim ciągiem nie zawsze zakończonych zwycięstwem poszukiwań, uzupełnień i konfrontacji w toku których odbywało się klasyczne Korbutowskie „odsiewanie” materiałów „odgrzewanych” i „papuzich”. Tych — a więc bezdusznych kompilacji i naśladownictw — nie znosił, gryzły go w nos na odległość, drażniły zmysł humoru i poczucie zdrowego sensu. Bibliografia opierała się na własnej zadziwiająco bogatej bibliotece profesora zwanej szumnie Gabinetem Filologicznym Tow. Naukowego Warszawskiego, współpracy przyjaciół i pobliskich antykwariatów a nadto niebywałym talencie zdobywania

uzupełnień w toku czytania książek, czasopism a nawet nekrologów w „Kurierze Warszawskim”. Powstało w ten sposób dzieło wysoce indywidualne, niekompletne, gorszące pedantów i teoretyków — a przy tym niezastąpione i jedyne.

„Nowy Korbut” rodzący się na naszych oczach będzie dziełem niewątpliwie doskonalszym, wszechstronnie uzupełnionym i wytrzebionym z licznych omyłek. Kandydaci na historyków literatury powinni jednak nadal zaczynać od rekonesansu po kartach „starego Korbuta”, po to tylko, by otrzymać twórczy „kick” i wystartować we właściwym kierunku. (Podobnym pomyślnym startem jest lektura życiorysów w powołanym posuwającym naprzód Polskim Słowniku Biograficznym). Tajemnica tkwi zapewne we właściwym dawkowaniu materiałów bio- i bibliograficznych bez zaciemniania obrazu nadmiarem danych. Korbut był mistrzem takiego właśnie dawkowania.

Po śmierci Korbuta (w r. 1934) czynione były pewne próby systematycznego uzupełniania jego dzieła przez wydawanie dalszych — jak je sam zwał — „dopełniaczy”. Brał w tym udział przedwcześnie zmarły Tadeusz Mikulski, późniejszy profesor Uniw. Wrocławskiego, wówczas świeżo upieczony i pięknie rumieniący się dr fil. Próby te przerwała wojna. Na szerszą skalę wznowiono je w r. 1950 w Instytucie Badań Literackich pod ogólną redakcją Kazimierza Budzyka. Echom owego wczesnego okresu jest wydany w r. 1954 tom próbny pt. „Bibliografia literatury polskiej z okresu Odrodzenia”, pomyślany niezbyt fortunnie. Stał się on jednak punktem wyjścia obecnej zdecydowanej ulepszonej wersji. Ze „starego Korbuta” przejęła ona zasadniczy schemat układu materiałów dotyczących danego zjawiska, dzieła czy autora: związane dane życiorysowe lub krótką charakterystykę zjawiska i osadzenie go w miejscu i epoce, wykaz twórczości (względnie podstawowych wydań dzieł anonimowych), zestawienie opracowań. Ze znamiennymi modyfikacjami przejęta została także zasada grupowania materiałów pokrewnych w grupy takie jak np. „Lamenty chłopskie”, „Kancjonały”, „Powieściowe utwory” czy wreszcie „Statutów XIV i XV w. przekłady”.

Inaugurujący dzieło tom pierwszy przynosi wstępny obraz piśmiennictwa staropolskiego, nie tykając jeszcze autorów. Podtytuł określa zawartość jako „Hasła ogólne i anonimowe”. W zespole autorskim z wyjątkiem zasłużonego seniora, prof. Romana Pollaka, sami młodzi, powojenni historycy literatury i bibliografowie z Tadeuszem Witczakiem i Danutą Maniewską na czele. Rękopis poddany został gruntownym oględzinom znawców tej miary, co prof. Julian Krzyżanowski i śp. prof. Stefan Vrtel-Wierczyński. Prace redakcyjne skupione były w Pracowni Bibliograficznej IBL w Poznaniu. Oficjalnym wydawcą jest Państwowy Instytut Wydawniczy. Stąd, zgodnie ze zwyczajem tej doświadczonej instytucji ładna czcionka, dobra czytelność, arcystaranna korekta, właściwy gatunek papieru. Szwankuje tylko oprawa a raczej poszczególne jej i, niestety, tandetne składniki: tektura, płótno, złocenia.

W przyjętym przez redakcję zakresie tom obejmuje materiały dotyczące literatury staropolskiej do początku w. XVIII. Otwierają go zestawienia literatury dotyczącej ogólnie średniowiecza, Renesansu, Reformacji i — czasów porenansowych (z utopieniem po drodze baroku). Rozdział oddzielny, niejako marginesowy, wypełniają materiały dotyczące Akademii: Krakowskiej, Rakowskiej, Wileńskiej i Zamojskiej oraz dziejów drukarstwa polskiego i XVII-wiecznych poprzedników wileńskich Szubrawców — Rzeczypospolitej Babińskiej. Drugą połowę tomu wypełniają „Hasła anonimowe”, zgrupowane zresztą w układzie krzyżowym, łączącym, w oparciu o zasadniczy układ alfabetyczny, utwory o podobnym temacie czy charakterze.

Pierwszym wrażeniem jest przytłaczające bogactwo materiałów i ogrom wysiłku włożonego w uporządkowanie wyników badań z ostatniego pięćdziesięciolecia. Razi, ale z tego zdawali sobie sprawę członkowie Komitetu Redakcyjnego szerokie rozbudowanie dziedzin pokrewnych, a więc np. historii kultury, szkolnictwa, drukarstwa — a nawet tzw. pomników języka staropolskiego a więc np. roczników, statutów itp. Francuz (nie mówiąc o Angliku) poszedłby znacznie dalej w selekcji materiałów o znaczeniu czysto historycznym, prawnym czy językoznawczym. Zarzut to zresztą czysto teoretyczny, bo pierwszym „użytkownikiem” „Nowego Korbuta” w Londynie był czytelnik poszukujący wskazówek bibliograficznych dotyczących literatury naukowej o początkach Akademii Krakowskiej z okazji 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Świadectwem, iż wydawcy zamierzają iść w kierunku równoległego ogłaszania tomów dotyczących innych okresów są wydane ostatnio dwa tomy „Słownika współczesnych pisarzy polskich” (2), obejmujące autorów o nazwiskach rozpoczynających się na litery A-P, czynnych w bieżącym stuleciu. W stosunku do „Starego Korbuta” jest to opracowanie nowe i niewątpliwie pionierskie. Z nazwisk uwzględnionych w dawnym t. IV-ym „Literatury polskiej” powracają tu tylko trzy: Boy, Grzymała-Siedlecki i Staff. Pozostali zaprezentowani są w tej formie po raz pierwszy — a jest ich kilkuset. Niewątpliwym zwężeniem zakresu jest warunek debiutu przed r. 1950, co stawia poza nawiasem opracowania pisarzy tak dojrzałych i znanych jak np. Miron Białoszewski, Stanisław Grochowiak, Sławomir Mrożek czy Zbigniew Her-

(2) Bibliografia literatury polskiej „Nowy Korbut”. *Słownik współczesnych pisarzy polskich*. Opracował zespół pod redakcją Ewy Korzeniewskiej. Warszawa, 1963-4, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 8°, T. I: a-i, 1963, s. 722 i 2 nlb.; t. II: j-p, 1964, s. 747 i 1 nlb. (Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk).

(Redakcja całości, j.w. Oba tomy opracował ten sam zespół autorski w składzie: Zofia Biłek, Maria Brykalska, Jadwiga Czachowska, Jerzy Kądziała, Ewa Korzeniewska, Feliksa Lichodziejewska, Roman Loth, Janusz Stradecki i Barbara Winkiel).

Nakład 2500 egz., cena zł. 240 za tom.

bert. Innym zwężeniem jest pominięcie wielu nazwisk pisarzy emigracyjnych, choć z drugiej strony uczyniono niewątpliwie wiele, by objąć „Słownikiem” twórczość i żywoty autorów starannie likwidowanych przez cenzurę pocztową.

Oto pełny wykaz uwzględnionych w „Słowniku” pisarzy emigracyjnych i przebywających poza krajem:

T.I. (A-I): Stan. Baliński, J. Bielatowicz, Zofia Bohdanowiczowa, Jan Brzękowski, Józ. Bujnowski, Antoni Cwojdzinski, Maria Czapska, Józef Czapski, Marian Czuchnowski, Maria Danilewiczowa, Zbigniew Folejewski, Ferdynand Goetel, Witold Gombrowicz, Zbigniew Grabowski, Antoni Gronowicz, Wacław Grubiński, Marian Hemar, Gustaw Herling-Grudziński (ogółem 18 nazwisk).

T. II (J-P): Aleks. Janta, Janusz Jasieńczyk, Zbigniew Jasiński, Józ. Kisielewski, Jerzy Kossowski, Stanisław Kot, Manfred Kridl, Maria Kuncewiczowa, Stanisław Lam, Jan Lechoń, Wacław Lednicki, Mieczysław Lisiewicz, Józef Łobodowski, Antoni Marczyński, Czesław Miłosz, Herminia Naglerowa, Tadeusz Nowakowski, Zygmunt Nowakowski, Beata Obertyńska, Jan Olechowski, Jerzy Paczkowski, Marian Pankowski, Teodor Parnicki, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, Michał Pawlikowski, Bohdan Pawłowicz, Sergiusz Piasecki, Jerzy Pietrkiewicz, Bronisław Przyłuski (ogółem 29 nazwisk).

Pominięciem świadomym i najbardziej rzucającym się w oczy jest przemilczenie Janusza Kowalewskiego, Józefa Mackiewicza i Juliusza Mieroszewskiego. Lista zażeń obejmuje nadto następujące nazwiska:

Ze zmarłych: Andrzej Bobkowski, Adolf Bocheński, Antoni Bogusławski, Władysław Folkierski, Xawery Glinka.

Z żyjących: Zdzisław Broncel, Florian Czarnyszewicz, Andrzej Chciuk, Oskar Halecki, Zygmunt Haupt, Aleksander Hertz, Wacław Iwaniuk, Stefania Kossowska, Bolesław Kobrzyński, Zofia Kozarynowa, Marian Kukiel, Leo Lipski, Teodozia Lisiewicz itd.

— na pewno znalazłyby się dalsze równie uzasadnione pretensje o opuszczenie. Skoro uwzględniono Henryka Barycza, Henryka Batowskiego, Witolda Doroszewskiego, Stanisława Kota i w. in. — czym tłumaczy się pominięcie prof. Folkierskiego, prof. Oskara Haleckiego czy świętego nie tylko historyka ale i pisarza, jakim jest Marian Kukiel?

Zapisy dotyczące poszczególnych pisarzy ujęte są według jednolitego schematu. Jest on nieco rozbudowaną wersją podstawowego zapisu ze „starego Korbuta”. Po związanych danych życiorysowych i wykazie twórczości w układzie chronologicznym wyliczane są naprzód ogólne opracowania a następnie b. szczegółowe

wykazy recenzji, co w wypadku pisarzy współczesnych ma ogromne znaczenie.

W przeciwieństwie do „starego Korbuta” w „Słowniku” obowiązuje układ alfabetyczny, wygodniejszy dla czytelników. Niepozabawioną wdzięku wadą pierwowzoru było ustalanie hierarchii pisarzy i grupowanie ich w osobliwych nieraz konstelacjach. Tak np., jak trafnie wydobyl Budzyk, pod hasłem „Towarzystwo Demokratyczne” umieścił Korbut piętnastu pisarzy, pod hasłem zaś „Nie należeli do Towarzystwa Demokratycznego” znalazło się dalszych członków Towarzystwa pięćdziesięciu sześciu (w przedm. do „Piśm. starop.”, str. 6). Tu układ „mechaniczny” według alfabetu.

„Słownik” we właściwym tego terminu znaczeniu poprzedzają wykazy literatury, dotyczącej bibliografii ogólnych i specjalnych i biografistyki, opracowań ogólnych literatury okresu, czasopism literackich lat 1914-1957 i antologii. Wśród czasopism odnajdujemy „Kulturę”, „Nową Polskę”, fryburski „Pamiętnik Literacki”, „Wiadomości”, jerozolimskie „W Drodze”. Brak „Tek Historycznych”, „Życia” i wielu pism pomniejszych i efemeryd. Antologie z lat 1941-6 są wyłączną niemal domeną Emigracji: bibliografia „Słownika” przytacza 45 tytułów wydanych poza krajem. W okresie okupacji odnotowano w kraju jedynie kilka małych (ale niezmiernie cennych) druków konspiracyjnych.

Część drugą otwiera rozdział wstępny pt. „Hasła rzeczowe” przynoszący zwięzłe i przejrzyste zarysy działalności Związku Literatów Polskich, PEN-Clubu, Polskiej Akademii Literatury oraz Instytutu Badań Literackich PAN. Dalszym ich ciągiem są analogiczne opracowania informacyjne dotyczące grup literackich („Zdrój”, futuryści, formiści, Skamander, Czartak, „Awangarda” (Zwrotnica), Reflektor, Kwadryga, Żagary i Przedmieście. (Brak tzw. „Klinu” — i „Krzywego Koła”).

Nazwiska pisarzy podano w układzie alfabetycznym, biorąc za podstawę najbardziej znaną formę nazwiska, czemu należy przyklasnąć jako zwycięstwu nad martwą teorią nakazującą umieszczanie Boya pod literą Ż (Żeleński) lub Napierskiego pod nazwiskiem Eiger. Oryginalne lub oboczne formy nazwiska wyliczone są drobnym drukiem w nagłówku obok pseudonimów i kryptonimów, których rekord bije Zbigniew Grabowski (14). W zwięzłych określeniach rodzaju twórczości pojawia się obok „prozaika”, „poety”, „krytyka literackiego” bardzo już myśzką trącący i właściwie domagający się definicji „literat”. Niejasne jest też określenie „polonistka” w zastosowaniu np. do Marii Dynowskiej, autorki popularnej książki pt. „Polska w zwyczaju i obyczajach”. Do Gombrowicza bardziej przystawałaby „prozaik”, niż „powieściopisarz i nowelista”, gdyż to nie wyczerpuje całości dorobku, w którym ważnymi pozycjami są utwory dramatyczne i eseistyka.

Nie nasuwają natomiast, o dziwo!, zastrzeżeń zwięzłe informacje dotyczące środowiska czy „przynależności klasowej” pisarzy. Obracają się one w ramach konkretnych danych, a więc

np. „BENNI, Tytus, syn lektora jęz. angielskiego na UW”, „CIE-SIELCZUK, Stanisław, ur. w Hrubieszowie w rodzinie małego chłopca”, „GRUBIŃSKI, Wacław, pochodzi ze środowiska inteligencji” itp. Podobne informacje, włączał do życiorysów „stary Korbust”.

Owa godna pochwały bezstronność opuszcza redakcję „Słownika” w nieproporcjonalnie rozbudowanych fragmentach życiorysów dotyczących działalności partyjnej. Tak np. o niejakiej Janinie Dziarnowskiej, której dorobek opiera się na rękopisach zniszczonych powieści a następnie wyrobach socrealistycznych, dowiadujemy się, że „w roku 1920 należała do krótkotrwałego związku lewicowego studentów Wolnej Wszechnicy, który został zorganizowany dla protestu przeciw wojnie ze Związkiem Radzieckim” a „w roku 1936 wstąpiła do Komunistycznej Partii Polski współpracując z Komunistycznym Związkiem Młodzieży na Żoliborzu”.

W życiorysach pisarzy emigracyjnych doszukać się można wielu tendencyjnych a nawet propagandowo zabarwionych ocen działalności. Tak więc Marian Hemar, Gustaw Herling-Grudziński i obaj Nowakowscy (Tadeusz i Zygmunt) otrzymali wersje życiorysów ozdobione informacją „jest współpracownikiem Radia „Wolna Europa”, biorąc czynny udział w akcjach propagandowych skierowanych przeciwko Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej” albo „brał udział w propagandowych akcjach antykomunistycznych”. Przy Czuchnowskim skonstatowano raczej rzeczowo „na Emigracji odszedł od dawnych przekonań”, nie podając dyskretnie dlaczego. Jako powód aresztowania Wacława Grubińskiego wysunięto „antyradziecki paszkwil Lenin na Uralu (sic!)”, którego był autorem — aprobuując niejako rację uwięzienia.

W niezmiernie szczegółowych i sumiennie opracowanych wykazach prac i literatury o poszczególnych pisarzach, zdarzają się, na odcinku emigracyjnym niewątpliwie „deliberate mistakes”. Tak np. w wykazie prac Józefa Czapskiego figurują „Wspomnienia starobielskie” — brak natomiast ważniejszej pozycji jaką jest „Na nieludzkiej ziemi”. Książkę tę wymieniono jedynie w przypisku z racji recenzji Mauriaca w „Figaro”. W wykazie pism, z którymi współpracuje Czuchnowski brak „Kultury”.

Na całości przedsięwzięcia zaciążył przesadnie długi okres wylęgania. Tym tłumaczy się, że dane dotyczące twórczości urywają się na r. 1957, co skraca „współczesność” z tytułu opracowania o długie i pracowite u wielu pisarzy siedmioletnie. Rzecz już teraz woła o suplement!

Liczyć się należy z bliskim i daj Boże uzupełnionym przedrukiem, gdyż „Słownik” ukazał się w karykaturalnie niskim nakładzie 2500 egz. (tylko dla subskrybentów) i jest już wyczerpany. Jest to pośrednim wskaźnikiem potrzeby, jaką zaspakaja i luki, którą wypełnia.

Życzyć należy, by jak najprędzej ukazał się t. III, zamykający obecną wersję.



Ożywienie w zakresie prac bibliograficznych nie ogranicza się do kraju. Rok 1964 będzie także i na Emigracji datą ukazania się kilku obszernych opracowań z „Literaturą emigracyjną” pod red. T. Terleckiego na czele. Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie wyda w lecie rb. bibliografię prac naukowych ogłoszonych przez Polaków poza krajem w jęz. obcych w latach 1939-1962 (ok. 4000 tytułów książek i rozpraw); Biblioteka Polska w Londynie zakończyła prace nad t. III materiałów do bibliografii emigracyjnej — będą w nim ogłoszone opisy pozostawione przez śp. Janinę Zabielską i uzupełnienia na okres najnowszy (do końca r. 1963) — ponad 3.000 tytułów. W maju rb. ukaże się ponadto (w formie powielanej) katalog czasopism polskich i Polski dotyczących wydanych poza krajem w latach 1939-1963, znajdujących się w zbiorach tejże Biblioteki Polskiej w Londynie. Obejmuje on ponad 800 tytułów i dokładne dane o posiadanych przez Bibliotekę rocznikach i numerach, co okazać się winno walną pomocą w pracach nad uzupełnianiem i scalaniem.

Potrzebę takich właśnie „katalogów topograficznych” wysunął słusznie na plan pierwszy Jan Kowalik w t. I-ym „Materiałów do historii prasy polskiej na Obczyźnie, 1939-1962” (3), wydanym przed kilku miesiącami przez Instytut Literacki w Paryżu. Jest to niejako uwertura do dalszych rewelacji, których autor ma niewątpliwie wiele w zapasie.

Warto wrócić pamięcią do początku artykułu. Jan Kowalik wywodzi się z tego samego szlachetnego gatunku bibliografów-entuzjastów, co Estreicher czy Korbut. Kraszewski potrafił redagować na Kresach „Atheneum” — nasz drogi p. Kowalik potrafił z niczego stworzyć w Kalifornii Polish Emigré Press Archive i nie tylko zgromadzić, ale i naukowo opracować znajdujące się w nim bogactwa.

Rzecz opublikowana obecnie przynosi wykaz opracowań odnoszących się bądź do całokształtu, bądź też poszczególnych zespołów czasopism (np. wydawanych w Afryce) czy wreszcie ściśle określonych tytułów. Jest ich naraz dużo i mało. Proszę się o wspomnienia redaktorów pisma tak ważne i ciekawe, jak np. „Polska Walcząca”, „Skrzydła”, „Orzeł Biały”, „W Drodze”, „Życie”. Opracowania takiego doczekały się właściwie tylko londyńskie „Wiadomości” na 30-lecie istnienia — ale tej właśnie publikacji z tajemniczych względów Kowalik nie wymienia.

Nieliczne tylko pisma doczekały się bibliograficznego podsumowania zawartości — przykład dała „Kultura” i ten sam nieoceniony p. Kowalik. W kraju (podobno) opracowano w IBL bibliografię zawartości „Wiadomości”, a zapewne i kilku innych ważniejszych pism emigracyjnych; echa tych przedsięwzięć odzywiają się w sumiennych bibliografiach literatury polskiej opracowywanych co roku w Poznaniu przez Pracownię Bibliograficzną IBL,

(3) Jan Kowalik: *Materiały do historii prasy polskiej na Obczyźnie, 1939-1962*. Bibliografie, t. I. Paryż, 1963, Instytut Literacki, 8°, s. 77 i 3 nlb. (Biblioteka „Kultury”, t. XCIV).

której kierownikiem był zmarły w r.ub. nieodżałowanej pamięci prof. Stefan Vrtel-Wierczyński. Namiastką ogólniemigracyjnej bibliografii zawartości pism będzie na pewnych odcinkach wspomniana wyżej „Literatura emigracyjna” pod red. Terleckiego, w której znajdzie się m.in. obszerne opracowanie dziejów prasy emigracyjnej pióra J. Kowalika, a w poszczególnych rozdziałach — obszerne noty bibliograficzne.

Przedsmakiem owego opracowania zarysu dziejów prasy emigracyjnej jest cykl doskonałych artykułów J. Kowalika ogłoszony w stosunkowo małoznany dodatek tygodniowym „Ostatnich Wiadomości” (Mannheim) w latach 1957-9. Kryje się w nich historia ważniejszych i wymowniejszych pozycji z ogromnego dorobku Emigracji, obejmującego ponad 2000 tytułów. Dalszym ciągiem będzie zapowiadany przez Kowalika „roboczy katalog”, prace nad którym są, jak się wydaje, bardzo już daleko posunięte.

Dalszą emigracyjną pozycją bibliograficzną z tego zakresu jest wartościowe opracowanie dziejów „pisma polonijnego”, wychodzącego w Toronto pt. „Związkowiec” od r. 1933 (4). Autorem opracowania jest red. Benedykt Heydenkorn, przedmowy napisali: prof. Adam Bromke i Jan Kowalik.

Monografia „Związkowca” przynosi obraz ciekawych przemian kulturalnych i społecznych Polonii kanadyjskiej, wymownie demonstrujący tendencję wzwyż, ku lepszej prasie i szerszym horyzontom. Na odcinku tzw. „integracji” Kanada wyprzedziła niewątpliwie społeczność polską w Wielkiej Brytanii; pozwala to na wyciąganie ciekawych wniosków na przyszłość i właściwe zaklasyfikowanie już dziś zarysowujących się problemów, zwłaszcza w odniesieniu do pokolenia dojrzewającego poza krajem. Wrażeniem dominującym jest bolesne poczucie, że prace z zakresu tzw. oświaty dorosłych, zwłaszcza w okresie przedwojennym, skazane były w środowiskach polonijnych na żalosną samowystarczalność a brak wykwalifikowanych dziennikarzy, pracowników społecznych, nauczycieli itp. przerzucał ciężar odpowiedzialności za poziom przedsięwzięć na barki ofiarnych ale niedostatecznie przygotowanych jednostek.

„Związkowiec” jest jednym z zadziwiająco licznych pism Polonii kanadyjskiej, opisanych nb. szczegółowo przez śp. dra W. Turka w „The Polish-Language Press in Canada: its history and bibliographical list” (Toronto, 1962). Kowalik podkreśla z satysfakcją ogromną żywotność tej prasy. W przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych, gdzie stan posiadania polskości zdaje się kurczyć — prasie kanadyjskiej przybyło siedem nowych pozycji. Tym bardziej na czasie było pokazanie z bliska przemian i rozwoju typowego pisma polonijnego, stworzonego przez ambitnych i samodzielnie myślących działaczy o inklinacjach bliskich Stron-

(4) Benedykt Heydenkorn: *Związkowiec. Monografia pisma polonijnego*. Przedmowa: Dr Adam Bromke. Wstęp: Jan Kowalik. Toronto, 1963, Polish Alliance Press Ltd., 8°, s. 151 i 1 nlb., ilus. (Druga k. tyt. i przedmowa w jęz. angielskim).

nictwu Ludowemu, podkreślających jednak uporczywie swą niezależność i „pozytywizm”.

Życzyć należy, by praca red. Heydenkorna znalazła naśladowców w innych skupiskach polskich na Obczyźnie — podsumowanie łączne pozwoliłoby na wyciągnięcie niezmiernie ciekawych wniosków.

Maria DANILEWICZOWA

Literatura polska w oczach Francuza

Były profesor i dziekan wydziału humanistycznego (*des Lettres et Sciences Humaines*) w Lille, p. Maxime Herman, nie potrzebuje, by go przedstawiano specjalistom. Znający wiele języków germanista skierował z czasem swe zainteresowania w stronę Słowian, wykładając języki polski i rosyjski a zwłaszcza ich literatury. Uzyskawszy katedrę rozprawą doktorską „Un satanisme polonais, Stanislas Przybyszewski” (1939), p. Herman rozszerzał od tam i pogłębiał swe studia nad naszą literaturą. Omawiana książka stanowi ukoronowanie długich lat obcowania z kulturą polską.

Jest to pierwsza, obejmująca całość, historia literatury polskiej napisana przez Francuza. Ani stary i niedostępny zarys literatury Spasowicza sprzed 80 lat, ani bardzo „młodopolska” w tonie „Historia literatury” Bronisława Chlebowskiego uzupełniona przez Manfreda Kridla (1933) nie mogły zadowolić kartezyjskiej umysłowości francuskiej niechętnie wylatującej „nad poziom”. Nie spełniła także tego zadania książka pani Marcele Simon: „Histoire de la littérature polonaise des origines au début du XIX^e siècle” (La Colombe, 1957) zakończona u progu romantyzmu, przed ukazaniem się Mickiewicza. Zresztą ten „ogród... ale nie plewiony”, rodzaj worka, do którego wrzucono wiele wiadomości z zakresu starszej literatury polskiej, zaczerpniętych z drugiej ręki, mimo widocznej dobrej woli, nie zadawała wymagań nauki.

Praca p. Hermana licząca około 800 stron nie zatrzymała się u progu wielkiej poezji romantycznej, ale w szlachetnym rozpędzie (który jej zaszkodził) kończy się na roku 1961.

Czytelnik tych uwag dostrzeże już zapewne olbrzymie niebezpieczeństwo przedsięwzięcia, gdy poważny historyk literatury za-

(1) Maxime Herman: *Histoire de la littérature polonaise* (Des origines à 1961), Paris, Nizet, 1963.

mienia się w krytyka próbującego „na gorąco” wydawać sądy o ostatnich nowościach. Zawodzi wtedy obiektywizm i dystans historyczny, pozwalający oceniać zjawiska z wyczuciem hierarchii wartości, nie mówiąc już o tym, że ludziom chylącym „ku ziemi poradlone czoło” trudno nieraz zrozumieć tendencje literackie pokolenia dwudziestolatków.

Dzieło p. Hermana składa się z 26 rozdziałów uzupełnionych dodatkiem, podającym zasadnicze wiadomości o pisarzach nie omówionych w ramach zarysu. Rozdziały te są oczywiście różnych rozmiarów i różna jest ich wartość informacyjna. Największą jednak wadę książki, skądinąd cennej bo wypełniającej dotkliwą lukę w dziedzinie wiedzy francuskiej o naszej literaturze, stanowi jej kompozycja, poświęcająca przeszłość na rzecz współczesności.

Parę cyfr, które najlepiej ukażą nierównomierność w traktowaniu dorobku literackiego. Cały wiek XVI, jeden z najciekawszych okresów piśmiennictwa polskiego, zmieścił się na 26 stronach. Wiek XVII, omówiony w sposób nieco mniej pobieżny, zajął 30 stron. Czasy saskie i literatura stanisławowska wymagały 41 stron. W ten sposób na literaturę niepodległej Polski, upodobnioną niejako do piśmiennictwa rosyjskiego, które przed XIX wiekiem wygląda więcej niż skromnie — wystarczyło 114 stron. Literatura Księstwa Warszawskiego (nazywanego, zamiast „Duché” lub *Grand-duché de Varsovie*, „*Principauté*”), romantyzm, pozytywizm, „Młoda Polska” (łącznie 120 lat), analizowane o wiele bardziej wyczerpująco, zajęły 430 stron. Wreszcie niecałe pół wieku XX-go (1918-1961) wymagało 94 stron; co więcej pisarzom tego okresu poświęcono stosunkowo najwięcej miejsca w dodatku.

Nierównomierne traktowanie odległej przeszłości w porównaniu z XIX-stym wiekiem i czasami najnowszymi odbiło się oczywiście na jakości analizy. Dlatego najwartościowszą jest środkowa część dzieła, podczas gdy trzy pierwsze stulecia, zwłaszcza „złoty wiek”, nie zdoławszy zainteresować dostatecznie autora, wypadły nieco słabiej: w dodatku autora nie stać na nowatorskie spojrzenie na naszą literaturę, jak to robią z powodzeniem Jean Fabre lub Claude Backvis.

Najwięcej zastrzeżeń wywołuje stanowczo najnowsza literatura. O ile przy omawianiu XIX-go wieku p. Herman opierał się głównie na pracach Kleinera, dla okresu po drugiej wojnie światowej znalazł sobie przewodnika w osobie Ryszarda Matuszewskiego. Nic więc dziwnego, że szereg informacji nie odpowiada prawdzie, że w dość ciemnym i zamazanym obrazie pisarze emigracyjni i literatura krajowa potraktowani zostali łącznie, dając w sumie zamiast próby charakterystyki, długą listę nazwisk bardzo różnej wartości. Pozbawiony perspektywy historycznej, autor jest tu zmuszony rozdzielać na prawo i na lewo niewiele znaczące etykiety. Dość często, omawiając twórczość pisarzy czynnych w dwu odrębnych okresach, p. Herman z konieczności grzeszy przeciw chronologii; dotyczy to zwłaszcza przełomu XVIII

i XIX wieku — Staszica, Niemcewicz, Jana Potockiego. Dobrze wypadły sylwetki literackie Wacława Potockiego i Kochowskiego, Krasińskiego i Norwida, Wyspiańskiego i Kasprowicza, stosunkowo słabiej najważniejsze: Mickiewicza i Słowackiego, znane zresztą nieco wcześniej z oddzielnych publikacji.

Stanowczo zostali pokrzywdzeni pisarze dziś na emigracji, lecz mający już ustaloną pozycję literacką w 1939 r. Zwyczajem rozpowszechnionym we Francji określenie „emigrant” wywołuje najczęściej skojarzenia z „rojalistami z Koblencji”; stąd wszystkie odcienie opozycjonistów wobec komunizmu „made in Russia” zostały obdarzone epitetem „conservateur” lub „droite”. Tytułem przykładu: „Zaremba Zygmunt, 1895, publiciste et homme politique de droite” (s. 769). Dziwnie „spreparowano” Anatola Krakowieckiego. Jego namiętne, sercem pisane oskarżenie sprawiedliwości sowieckiej, „Książka o Kołymie”, widziana zapewne oczami informatora z kraju, stała się „wspomnieniem czasu, który musiał spędzić w obozie koncentracyjnym niemieckim” (s. 673). Według metod „biografii złagodzonej” Melchior Wańkowicz, autor Monte-Cassino” pisał tę książkę w... Ameryce („Wańkowicz żył od 1939 do 1958 w Stanach Zjednoczonych” s. 745). Na trzy nazwiska pisarzy emigracyjnych, przytoczone na str. 614, przypadają aż trzy błędy: Maria Danilowicz, Zofia Kozarin, Wohnut.

W ten sposób ostatni rozdział książki i uzupełnienie (Appendice) nie tylko nie dodają wartości poważnemu dziełu, ale wyraźnie *obniżają* jego wartość jako bezstronnego informatora.

Do radości z ukazania się nareszcie pierwszego omówienia całokształtu literatury polskiej przez autora-cudzoziemca o wysokich kwalifikacjach naukowych, którą odczuwać musi ktokolwiek boleje nad ubóstwem odpowiednich wydawnictw w języku francuskim, miesza się więc gorycz, że mylnie pojęta kurtuazja wobec oficjalnych poglądów kraju nie pozwoliła zastosować zasady pełnego obiektywizmu wobec „altera pars”.

Zygmunt MARKIEWICZ

P.S.: Z myślą o drugim wydaniu książki, które pozwoliłoby usunąć część braków i mylnych informacji, podaję dostrzeżone omyłki druku dotyczące polskich nazwisk i tytułów. (Szereg wątpliwych sądów i błędy francuskie sygnalizuję w recenzji mającej się ukazać w „Revue de Littérature Comparée”): „Pieśni Wiednia wybaczonego zam. wybawionego s. 62. n. 2, Leszczyński, s. 73 i 76, Kościusko 89, Borkowski-Dunin zam. odwrotnie s. 227 n. I, Xenia zam. Xenia, 503, Rzecz Czarnolaska, 531, Podróż do Patagoni, 537, Listy Ameryki Południowej (bez Z), 537, Poriész o kronice Galla, 558 n. 2, Ziemie Elżbiety, 559, „Byłal” (pisane łącznie) s. 594 n. 2, Antologia Poezji, 595 n. I, Żołnierze, 618 n. I, Książę Repin, 673, Stepan zam. Szczepan lub Stefan, 638, Atlantida, 690, Meicer Wanda, 691, „Wesele w atomiach”, 698, „Świat naprawiony zam. naprawiony, 702, Siarczyński zam. Siarczyński, 729, Lucian 729.

Wreszcie zabawne nieporozumienie językowe. Znana powieść Kraszewskiego „Czerwona para” (Le couple rouge) przez pomieszanie z parą, oparem (la vapeur) stała się w tłumaczeniu prof. Hermana „Fumée rouge”, s. 247.

Nadeślane nowości wydawnicze

- CZARNYSZEWICZ (Florian). *Chłopcy z Nowoszysszek*. Powieść. Str. 320 (ze słownikiem). (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1963).
- BREGMAN (Aleksander). *Jak świat światem?* Stosunki polsko-niemieckie wczoraj, dziś i jutro. Str. 274 i 6 nlb. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1964).
- KOWALEWSKI (Janusz). *Miłość i hazard*. Humereski-eroteski. Str. 158 i 2 nlb. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1964).
- MACKIEWICZ (Józef). *Pod każdym niebem*. Historie i zdarzenia. Str. 158 i 2 nlb. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1964).
- NOWAKOWSKI (Zygmunt). *Start Edmunda Sulimy*. Powieść. Przedmowa Leopolda Kielanowskiego. Str. 157 i 3 nlb. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1964).
- PIASECKI (Sergiusz). *Człowiek przemieniony w wilka*. Powieść z cyklu „Wieża Babel”. Str. 318 i 2 nlb. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1964).
- UZIEMBŁO (Adam). *Uwagi o rytmach prozy polskiej*. Str. 207 i 1 nlb. (Nakł. Towarzystwa Historyczno-Literackiego, Paryż, 6, Quai d'Orléans, 1964).
- HALLER (Józef). *Pamiętniki*. Z wyborem dokumentów i zdjęć, oraz indeksem nazwisk. Str. 434 i 8 nlb. (Nakł. Katolickiego Ośr. Wydawn. „Veritas”, Londyn, luty, 1964).
- ŚW. TOMASZ Z AKWINU. *Suma teologiczna*. Tom 17. Roztropność (2 — 2,47 — 56). Przełożył i objaśnieniami zaopatrzył ks. dr Stanisław Bełch. Str. 204 i 2 nlb. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, luty 1964).
- KOTKOWSKI (Zygmunt). *Św. Andrzej Bobola męczennik — wielki patron Polski*. Wydanie II uzupełnione. Str. 47 i 1 nlb. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, cena 3/6).
- Dokumenty Chwili*. Zeszyty Informacyjno-Polityczne wychodzące w Londynie pod redakcją Adama CIOŁKOSZA. Zeszyt II. Zima 1964 — Koniec monolitu. Str. 354 i 2 nlb. (Cena 22/-).
- JANUSZKIEWICZ (Edmund). *Stokrotka na emigracji*. Zbiór felietonów humorystycznych. Tom XXXIV Londyńskiej Biblioteki Literackiej. Str. 109 i 3 nlb. (Nakł. B. Świderskiego, Londyn, 1963).
- GAYS (Maria Paolina). *Kościuszkowie eroe della Polonia*. Str. 296 i 2 nlb. (Wyd. G.B. Paravia & C., Torino, 1962).
- ZAHORSKI (Witold). *Polak w Rzymie*. Str. 104 i XXIV rysunki schematyczne Samuela Tyszkiewicza. Rzym, 1964. Cena 600 lirów).
- MROŻEK (Sławomir). *L'Eléphant*. Traduit du polonais par Anna Posner. 20 illustrations de Daniel Mróz. 232 pp. in-8°. (Editions Albin Michel, Paris, 1964; F. 13,50).
- Taras Chevchenko 1814-1861, sa vie et son oeuvre*. Recueil d'articles et traductions présenté par Kalena UHRYN et Arkady JOUKOVSKY. Pp. 125 et 3 nlb. (Ed. par Comité Commémoratif du cent-cinquantième de Taras Chevchenko en France. Bulletin Franco-Ukrainien; Edition P.I.U.F., Paris, 1964, F. 5,00).
- DOM GEORGES LEFEBVRE (moine de Ligugé). *La foi dans les oeuvres*. Pp. 177. (Ed. Desclée de Brouwer, Paris 1962).

- DZIEWANOWSKI** (Marian K.). *Boston College and Harvard Univ.). The Making of a Federalist.* Str. 543-560. (Odbitka z Jahrbücher für Geschichte Osteuropas München, Neue Folge. Band 11, 1963, Heft 4 — Dezember 1963).
- MIKUS** (Joseph A.). *Slovakia. A Political History 1918-1950.* Str. 424. (Wyd. Marquette Slavic Studies, The Marquette University Press, Milwaukee, Wis., January 1964. Cena dol. 11,50).
- Captive Nations in the USSR: Armenia, Azerbaidzhan, Belorussia, Crimea, Georgia, Idel-Ural, North Caucasia, Turkestan, Ukraine.* Str. 112. (Ed. by a Committee of the League for the Liberation of the Peoples of the USSR, Munich, 1963. Cena DM. 8,-).
- Conrad's Polish Background.* Letters to and from Polish Friends. Edited by Zdzisław NAJDER. Str. 313 i 3 nlb. Bibliography and Index of Names and Titles; Translated by Halina CARROLL. (Ed. Oxford University Press, Londyn, 30 April 1964. Cena 45/-).
- MIAZGOWSKI** (Bronisław). *Morze w literaturze polskiej.* Str. 285 i 3 nlb. (Wydawnictwo Morskie, Gdynia 1964. Cena 40 zł.).
- WEINTRAUB** (Wiktor). *Dokoła Mickiewiczowskiej „Historii przyszłości”.* Str. 227-234. (Odbitka z Zeszytu 5-6 (20-21). Dwumiesięcznik „Ruch Literacki”. Rok IV, Kraków, wrzesień-grudzień 1963).
- Teki Historyczne.* Tom XII. Str. 372. (Nakł. Instytutu Historycznego im. Generała Sikorskiego, Londyn, 1962-1963. Cena 25 sh.).
- DZIUBIŃSKI** (Franciszek). *Miłość żąda ofiary.* Wiersze. Str. 16. (Nakł. autora. 150 egz. numerowanych, Chicago, 1963).
- Brewiarz miłości.* Antologia liryki staroprowansalskiej. Przetłumaczyła i opracowała Zofia Romanowiczowa. T. 137 Serii II Biblioteki Narodowej. Str. 128. (Wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Wrocław-Warszawa-Kraków, 1963. Cena 17 zł.).
- NIEMOJOWSKI** (Jerzy). *Epigramaty.* Okładka i rysunki w tekście Helgi Zahn. Str. 44 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1963).
- 1863-1963.* Broszura wydana przez Koło nr 3 SPK w Melbourne, Australia, z okazji 100-lecia Powstania Styczniowego i poświęcenia Pomnika Powstańców i nagrobka na mogile Powstańca Listopadowego por. Seweryna Kościeszyna Rakowskiego na cmentarzu w Melbourne. Powielacz. Str. 16.
- LEWYTYZKYJ** (Borys). *Ausbildungsstandart und Automation in der Sowjetunion.* Str. 324-328. (Odbitka z „atomzeitalter” nr 12, grudzień, 1963, Bad Godesberg).
- BILIŃSKI** (Bronisław). *Maria Konopnicka et le sue liriche „Italia”.* Str. 70 i 4 nlb. (Zeszyt 20 „Conferenze” Accademia Polacca di Scienze e Lettere. Biblioteca di Roma. (Wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, PAN, Warszawa-Wrocław-Kraków, 1963).
- WOJCIECHOWSKI** (Jerzy A.). *L'Unité de la Science.* Str. 346-358. (Odbitka z „Dialogue”, Vol. 2, N° 3 — 1963. Druk. w Bruges).

KSIAŻKI UKRAIŃSKIE

- PARFANOWYCZ** (Sofia). *Wirnyj przyjatel.* Str. 207 (Wyd. M. Denysiuksa, Chicago, 1961).
- PARFANOWYCZ** (Sofia). *Zahoriła polonyna.* Bojkiwskie opowiadania. Str. 87. (Augsburg, 1948).
- PARFANOWYCZ** (Sofia). *U Kyje-wi w 1940 roci.* Str. 69. (Augsburg, 1950).
- PARFANOWYCZ** (Sofia). *Inszi dni.* Noweli i narysy. Str. 143. (Augsburg, 1948).

- PARFANOWYCZ (Sofia). *Lublu Dibrowu. Narysy i Opowiadania*. Str. 128. (Wyd. awtora, Detroit, 1959).
- PARFANOWYCZ (Sofia). *Na schre-szczonych dorohach*. Powist'. Str. 417. (Nakł. awtora, Chicago, 1963).
- Kalendar-Almanach „Mitla” na rik 1964*. Str. 128. (Wyd. Juliana Seredniaka, Buenos Aires, 1963).
- Almanach „Hominu Ukrainy” na 1964 rik*. Str. 199. (Nakł. Wyd. „Homin Ukrainy”, Toronto, 1963).
- Juwiłejnyj Kalendar-Almanach „Ukrainśkoho Hołosu” na 1964 rik*. Str. 190. (Nakł. Wyd. Spiłky „Tryzub”, Winnipeg, 1963).
- Kalendar-Almanach Kanadijskoho Farmera na 1964 rik*. Str. 160. (Nakł. Kanadijskoho Farmera, Winnipeg, 1963).
- BYKOWSKYJ (Łew). *Polśke Powtannia u Warszawi 1944 r.* Str. 47. (Wyd. „Spomyny oczewydeia, Londyn, 1963).
- Kalendar „Słowo” na rik 1964*. Str. 96. (Wyd. Wilne Słowo, Toronto, 1964).
- ELIOT (T. S.). *Wbjwstwo u sobori*. Perekład Z. Tarnawśkoho. Str. 104. (Wyd. „Na Hori, Munchen, 1963).
- IZARSKYJ (O.). *Ranok*. Powist'. Str. 135. (Bibl. „Suczasnosti”, München, 1963).
- LISYJ (Wołodymir). *Derżawnyj status USSR w 1917-1923 r.* Str. 47. (Wyd. „Ukrainśka Wilna Hromada Ameryki”, München-New York, 1963).
- Bezsmertni*. Zbirnyk spohadiw pro M. Zerowa, P. Fyłypowycza i M. Draj-Chmaru. Redakcija tekstiw ta primitki M. Oresta. Str. 334. (Wyd. Instytut Literatury im. M. Oresta, München, 1963).
- RUDNYČKYJ (A.). *Ukrajinska Muzyka*. Istoriczno-krytycznyj o-hład. Str. 405. (Wyd. „Dnyprowa Chwyla”, München, 1963).

KSIAŻKI W JĘZYKU ROSYJSKIM

- STAWAR (Andrzej). *Izbrannyje statii o marksizmie*. Pierewod Wł. Pietrowa. Wstupitielnaja statia Georgia Pietrowa. Str. 307. (Wyd. „Okno”, Hyattsville, Maryland, USA).
- FILIPPOW (Borys). *Koczewia*. Rasskazy. Str. 57. (Wyd. Wa-szyngton, 1964).

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia :

Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

WYKAZ WYDAWNICTW " BIBLIOTEKI KULTURY "

1. Witold GOMBROWICZ .. *Trans-atlantyk i Ślub*
2. George ORWELL 1984
3. Czesław MIŁOSZ *Zniewolony umysł*
4. James BURNHAM *Bierny opór czy wyzwolenie?*
5. Czesław MIŁOSZ *Światło dzienne (Poezje)*
6. Czesław STRASZEWICZ *Turyści z bocianich gniazd*
7. Stefan KORBOŃSKI *W imieniu Rzeczypospolitej...*
8. Józef ŁOBODOWSKI *Złota hramota (Poezje)*
9. Czesław MIŁOSZ *Zdobycie władzy*
10. Czesław MIŁOSZ *Dolina Issy*
11. Marian PANKOWSKI *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy*
13. Stefan KORBOŃSKI *W imieniu Kremla...*
14. Raymond ARON: *Koniec wieku ideologii*
15. Graham GREENE *Moc i chwała*
16. Leo LIPSKI *Dzień i noc (Opowiadania)*
17. Andrzej CHCIUK *Smutny uśmiech*
18. Jeanne HERSCH *Polityka i rzeczywistość*
19. Czesław MIŁOSZ *Traktat poetycki*
20. Józef MACKIEWICZ *Kontra*
21. Witold GOMBROWICZ .. *Dziennik (1953-1956)*
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkiem (Francja 1940-1944), 2 tomy*
23. Paweł ZAREMBA *Historia Stanów Zjednoczonych*
24. Aleksander HERTZ *Amerykańskie stronnictwa polityczne (Mechanizm demokracji)*
25. Daniel BELL *Praca i jej gorycze (Kult wydajności w Ameryce)*
26. Jan WINCZAKIEWICZ .. *Izrael w poezji polskiej (Antologia)*
27. Milovan DŽILAS *Nowa klasa wyzyskiwaczy*
28. Marek HŁASKO *Cmentarze. Następny do raju*
29. Czesław MIŁOSZ *Kontynenty*
30. Jan KOWALIK *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*

31. Stanisław REMBEK *W polu*
32. Howard FAST *Król jest nagi*
33. Simone WEIL *Wybór pism*
34. Albert CAMUS *Człowiek zbuntowany*
35. James BURNHAM *Rewolucja manadżerska*
36. Tadeusz KATELBACH .. *Rok złych wróżb (1943)*
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriljane wirodżennja*
(Antologia)
38. Józef ŁOBODOWSKI *Pieśń o Ukrainie*
39. Tadeusz NOWAKOWSKI *Syn zadżumionych*
40. — *Program Związku Komunistów*
Jugosławii (Seria „Dokumenty”.
Zesz. 5)
41. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Kultura Masowa (Seria Dokumen-*
ty”. Zesz. 6)
42. Marek HŁASKO *Hrbitowy*
43. Jan KOWALIK *„Kultura” 1947-1957. Bibliografia*
„Kultury”.
44. Borys PASTERNAK *Doktor Żiwago*
45. Wacław LEDNICKI *Glossy Krasinśkiego do apologe-*
tyki rosyjskiej
46. Abram TERC *Sąd idzie*
- ANONIM *Co to jest realizm socjalistyczny?*
47. Tibor DERY *Niki*
48. Wiktor SUKIENNICKI .. *Kolumbowy błąd (Seria „Doku-*
menty”. Zesz. 7)
49. Wacław IWANIUK *Milczenia 1949-1959 (Poezje)*
50. Czesław MIŁOSZ *Rodzinna Europa*
51. Gustaw HERLING-
GRUDZIŃSKI *Skrzydła ołtarza*
52. Halszka GUILLEY-
CHMIEŁOWSKA *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI *Oko*
54. Witold GOMBROWICZ .. *Pornografia*
55. Leo LIPSKI *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY *Nowy wspaniały świat poprawiony*
57. Kazimierz WIERZYŃSKI *Tkanka ziemi*
58. Stanisław KOT *Jerzy Niemirycz —*
inicjator Ugody Hadziackiej
59. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Węgry (Seria „Dokumenty”.*
Zesz. 8)
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK *Rejs do Smithon — Stary ocean*
62. Adam CIOŁKOSZ *Róża Luksemburg a rewolucja*
rosyjska
- Róża LUKSEMBURG *Rewolucja rosyjska (Seria Doku-*
menty”. Zesz. 9)

63. Bogdan CZAYKOWSKI i
Bolesław SULIK *Polacy w W. Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ *Żydzi w kulturze polskiej*
67. Andrzej STAWAR *Pisma ostatnie (Seria „Dokumen-
ty”. Zesz. 10)*
68. Abram TERC *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW *Czy istnieje życie na Marsie?*
70. Abram TERC *Fantastyczесkie powieści*
71. I. IWANOW *Jest' li żiźń na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA *Historia Polski. Cz. I*
73. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 1-szy)*
74. Adam CZERNIAWSKI .. *Topografia wnętrza*
75. Władysław BRONIEWSKI *Wiersze*
76. Józef CZAPSKI *Na nieludzkiej ziemi*
77. Czesław MIŁOSZ *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER *Od Witosa do Sławka*
79. Czesław MIŁOSZ *Król Popiel i inne wiersze*
80. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 2-gi)*
81. Witold GOMBROWICZ .. *Dziennik Tom II (1957-1961)*
82. Milovan DŽILAS *Rozmowy ze Stalinem*
83. (Jerzy MOND) *6 lat temu... (Kulisy polskiego
Października (Seria „Dokumen-
ty”. Zesz. 11)*
84. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 3-ci)*
85. Józef WITTLIN *„Orfeusz w piekle XX wieku”*
86. Zygmunt HAUPT *Pierścień z papieru*
87. Marek HŁASKO *Opowiadania*
88. Maria CZAPSKA *Polacy w ZSSR (1939-1942)
Antologia*
89. Witold JEDLICKI *Klub Krzywego Koła (Seria „Do-
kumenty”. Zesz. 12)*
90. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 4-ty)*
91. Abram TERC *Lubimow*
92. — *We własnych Oczach. Antologia
współczesnej literatury sowiec-
kiej.*
93. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI *Drugie przyjście oraz inne opo-
wiadania i szkice*
94. Jan KOWALIK *Materiały do historii prasy pol-
skiej na obczyźnie 1939-1962.*
95. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 5-ty)*
96. Marek HŁASKO *Wszyscy byli odwrócen
Brudne czyny*
97. Kazimierz WIERZYŃSKI *Kufer na plecach (Poezje)*
98. Bogdan CZAYKOWSKI .. *Spór z granicami (Poezje)*
99. Wincenty WITOS *Moje Wspomnienia. Tom I.*

Humor krajowy

Pytanie: — Jaka jest różnica pomiędzy rektorami Uniwersytetu Jagiellońskiego: Stanisławem Estreicherem i Kazimierzem Lepszym?

Odpowiedź: — Taka jak pomiędzy Alma Mater a Naser Mater.



ANECDOTKI WARSZAWSKIE

W związku z odznaczeniem Jarosława Iwaszkiewicza w 70-lecie jego urodzin orderem Budowniczego Polski Ludowej — w Warszawie mówią: „Jaka budowa — taki budowniczy!”.



Do restauracji w Grand Hotelu wchodzi obcokrajowiec. Siada przy stoliku i zamawia piwo. Kelner przynosi je i stawia przed gościem na tekturowym krążku. Po chwili obcokrajowiec zamawia drugie piwo. Kelner przynosi i ze zdziwieniem stwierdzając że zginął ze stolika tekturowy krążek — kładzie nowy.

Obcokrajowiec ma duże pragnienie. Zamawia piwo po raz trzeci i czwarty. Za każdym razem kelner widzi brak krążka i zmuszony jest dawać nowy. Jednak przy piątym piwie ma tego dosyć. Przydział krążków jest ograniczony i nie może wszystkich dać jednemu klientowi. Stawia ze złością piwo wprost na blacie stolika.

— *Wafli użę niet?* — pyta obcokrajowiec.



Mówią że do Polski przyjedzie wkrótce papież, celem udzielenia ostatniego namaszczenia polskiej gospodarce.



Do sklepu w Warszawie wchodzi facet i mówi:

— Proszę o 1/4 kg masła.

— Ja sprzedaję mięso, którego zresztą nie ma — odpowiada sprzedawca, ale naprzeciwnie ma pan mleczarnię, w której też nie ma masła.

NEOLOGIZMY NA CO DZIEN

Dwóch pracowników pewnego warszawskiego urzędu spotyka się w lesie, na grzybach.

— O, mówi pierwszy, Pan także tutaj? Czy na chorobie?

— Skądże — odpowiada drugi — ja na delegacji!

Listy do Redakcji

Londyn, 15 marca, 1964 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

„Niespieszny Przechodzień” przyspiesza czasem nieogłędnie swoje kroki w wypowiedziach i opiniach spraw, o których pisze i zdarzyło się to w eseju p. Hostowca pt. „W Turynie” („Kultura” nr 3/197), gdy w zakończeniu jego, odpowiadając przyjaciółom „czemu nie pisuje wspomnień z dwudziestolecia” Polski, mówi: „...Szukając pamiątek *stricto sensu* historycznych nie umiem wyjść poza żałosny kaszkiet i portki marszałka Piłsudskiego”.

Takiego, powiedziałbym, tylko krawieckiego ujęcia postaci Piłsudskiego nie spotkałem dotąd i nie słyszałem w żadnej relacji o nim i pewnie nie spotkam więcej, bo jednak nawet wrogowie i obcy widzieli w jego postaci coś więcej niż tylko „żałosny kaszkiet” i źle ubrane, co bywało, przydługie spodnie. Pan Hostowiec widzi w rzeźbie kobiety Falconiego w Turynie nie tylko, że „najważniejsza była twarz szeroko uśmiechnięta” ale nawet uduchowanie marmuru, w którym jest wykuta, a nie ma w swoich wspomnieniach twarzy Piłsudskiego, ani, niewątpliwie, uduchowionej postaci jego. Wynika z tego, że silniejsze uduchowanie widzi p. Hostowiec w kobiecie z marmuru, aniżeli w żywej postaci Marszałka, z czym z pewnych męskich względów można się zgodzić, ale nie pamiątek historycznych *sensu stricto*.

Są w literaturze praktykowane kontrowersyjne i szokujące określenia, nieraz dowcipne, o postaciach historycznych, ale ubranie Piłsudskiego, Naczelnika Państwa, Naczelnego Wodza i Marszałka Polski w „żałosny kaszkiet” i „portki” — tylko to wykiplanie jego postaci opisem więcej niż złośliwym i karykaturalnym, z czym nawet przy wzięciu pod uwagę „*Licentia pseudo-poetica*” trudno się zgodzić, szczególnie w takim piśmie, jakim znamy paryską „Kulturę”. A trzeba także wziąć pod uwagę ten zwyczaj powszechnie uznany, że nie wyśmiewa się zmarłych, bo już sami bronić się nie mogą.

Jeśli bowiem zatrzymamy się na określeniach ubioru w słowach p. Hostowca, to wiadomo, że „*stricto sensu*” historycznego Piłsudski nosił „maciejówkę”, która była czapką żołnierzy Legionów 1914 roku i normalne spodnie, które i p. Hostowiec nosił i zapewne nosi, a nie żadne „portki” noszone przez chłopów i chłopców. W takim ujęciu polskich pamiątek historycznych przez p. Hostowca jest także wyrażona jego pogarda dla nich i dla 20-lecia Polski. Dziwne to i p. Hostowiec sam sobie przeczy, bo poprzednio napisał, że dwudziestolecie „ogładał dość blisko, z różnych stron, bez zaangażowania... oraz, że „Nasze dwudziestolecie posiada historię w malownicze i warte zastanowienia wypadki”. Jeżeli takie były wypadki, to i pamiątki po nich muszą być jakieś ciekawe, a nie tylko „żałosny kaszkiet” i „portki”, którymi p. Hostowiec deklasuje nie tylko Piłsudskiego, ale widząc w nich *sensu stricto* pamiątki historyczne — także i Polskę samą.

Patrząc ze stanowiska istotnie wielkich osiągnięć Polski 20-lecia w skali jej możliwości i konieczności państwowych i społecznych, zastanawiająca jest beztroška wielu pisarzy i piszących przygodnie w wydawnictwach emigracyjnych, z jaką krytykują Dwudziestolecie Polski, lekceważąc zupełnie prawdę o Polsce tego okresu. Nie pamięta się o tym, mierząc sprawy przykładami innych państw, że ta Polska powstała przeciw po 130 latach niewoli i rabunkowej gospodarki zaborców i budowała się z gruzów i popiołów po zniszczeniach i stratach sześciu lat wojny i że w tym okresie nie było cudów à la Niemcy za amerykańskie i angielskie kredyty i fundusze. Piłsudski gorzko biadał,

że nadając ziemię żołnierzom po wojnie — rząd nie mógł im dać równocześnie pieniędzy ze skarbu państwa na zagospodarowanie.

Czy wobec tego dziwne jest, że było tej Polsce trudno tworzyć i zbierać pamiątki sensu stricto historyczne, jakie p. Hostowiec widział w Turynie i gdzie indziej? Ale i tych było więcej niż tylko makaty „Ładu” i maciejówka marszałka Piłsudskiego. Dlatego jest konieczne, ażeby każdy „przechodzień” piórem po sprawach polskich zachował w pisaniu krok „festina lente”!

Z poważaniem.

E. J. CZERNIAWSKI



Montreal, dn. 1.4.1964 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Do optymizmem owianego zakończenie ciekawego artykułu Pani Marii Czapskiej („Kultura” 1/195-2/196) pragnę dorzucić parę słów.

Czy jest do pomyślenia aby kościół, który zwie się kościołem powszechnym stał się liberalnym?

Gdy Kościół katolicki pójdzie po linii ewolucji, którą rozpoczął, stanie wkrótce wobec alternatywy: albo być religią naprawdę duchową, albo nadal pozostać instytucją polityczno-kościelną.

Jeśli wybierze kierunek przepojony czystym duchem chrześcijańskim stanie się ciałem żywym i otwartym dla wszelkiego postępu i rozwoju. Ale jeśli, jak to bywało dotychczas, troska o zachowanie uroku swej powagi w Rzymie górować będzie nad wszystkim, jeśli Rzym nie zechce wyrzec się bezwzględnej powagi skazującej Go na nieomyślność, która zabrania mu zmieniać, a więc iść naprzód, wtedy dążenia liberalne, których jesteśmy świadkami, ograniczą się do formalnych zmian liturgicznych i wewnętrznych form kierownictwa Kościołem.

Kościół twierdzi, że zachowuje niezmiennie prawdy religijne, ale każdy z nas wie, że wiara naszych ojców była inna. Myśmy przestali wierzyć w diabły, w piekło jako siedzibę nie kończących się wyrafinowanych tortur i w wiele dogmatów treść których głębiej przeanalizowaliśmy. Przykład. My już nie wierzymy, jak wierzyli nasi ojcowie, że dzieci umarłe bez chrztu są na tamtym świecie inaczej traktowane niż dzieci ochrzczone.

Dogmat umiera sam skoro idea stanie się przestarzała, skoro umysł ludzki nie chce dalek kłamać przed samym sobą.

Naturalnie Kościół może zachować swój honor i pozostać takim jakim jest, a wtedy pozostanie z niego, z czasem, to co pozostało z religii starożytnych.

Łączę wyrazy poważania.

Józef KLEPACZKO



Paryż, 18 marca 1964 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pragnę zawiadomić wszystkich tych, którym drogą jest pamięć śp. męża mego Władysława Pobóg-Malinowskiego, że zgodnie z ostatnią wolą, trumna

ze zwłokami została przewieziona z Genewy i złożona na cmentarzu w Montmorency pod Paryżem, w grobie należącym do Towarzystwa Historyczno-Literackiego.

Najgoręcej jeszcze raz dziękuję wszystkim tym, którzy przez udział w zbiorce rozpisanej na fundusz pamięci mego męża na łamach „Kultury” przyczynili się w dużej mierze, że mogłam spełnić Jego wolę.

Dziękuję również i tym wszystkim, którzy w dniu 26 lutego 1964 r. wzięli udział w smutnej ceremonii na cmentarzu w Montmorency.

Wyrazy szacunku łączę.

Maria POBÓG-MALINOWSKA



Wecker Rd. Mt. Gravatt, Brisbane, dn. 27.3.1964 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W ostatnim numerze „Kultury”, w wyjątkach z Pamiętników Witosa jest ciekawa informacja o narodowości marszałka Śmigłego-Rydza.

Gen. Karaszewicz-Tokarzewski, miał wysłać do Brodów oficerów dla podjęcia odpisu metryki Śmigłego.

Wątpliwy fakt (bo niesprawdzony) — urodzenia przyszłego Naczelnego Wodza w ruskiej czy ukraińskiej rodzinie, nie przynosi nam ujmę. Wiele rodzin ruskich polonizowało się bez reszty.

Przypuszczam, że ewentualne ogłoszenie, tych słów spowoduje gen. Tokarzewskiego do napisania wyjaśnienia.

Inna sprawa to wczoraj nadeszły „Zeszyt Hist.” 5-ty. Wspomnienie p. Bykiwskiego o Powstaniu. Przy niezwyklej cenności każdej strony drukowanej przez Pana, wydaje mi się wątpliwej wagi wspominanie jak był traktowany wśród chaosu, bezsensu i śmierci, gdy ukraińskie oddziały znęcały się w Warszawie nad jej ludnością, w Małopolsce Wschodniej wyrzynały nas, a bredzenia p. Bykiwskiego o nienawiści do niego Pani J.P. (Janiny Peszyńskiej pochodzącej z Ukrainy) nienawiści nieuzasadnionej, łatwo odeprzeć. Pani J.P. w „Pożodze” straciła wiele osób najbliższych, a w 1939 r. Ukraińcy mordując wszystkie kobiety we dworze, na Polesiu pld. zamordowali jej wychowankę, p. Zofię Kluszczyńską (przyjaciółkę mej żony).

Myszę, że lepiej tych spraw nie dotykać. Krew nie zaschła. Schnie dłużej wylana przez pobratymców.

Spóźnione, serdeczne życzenia Świąteczne.

Mjr. d. S. ŻOCHOWSKI

© Copyright by Institut Littéraire, 1964.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTÉRAIRE,

91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 2^e trimestre 1964

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-bibliotek, godz. 19-21).		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, Av. Ipiranga 1071 - 8° Sala 811, Cx Postal 4530, Sao Paulo, Tél. 35-5432			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanisław Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40		15 £ lizr.	28 £ lizr.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 223 Geoffrey Street, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : 9-0829; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « Zwiazkowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm	6,00 Kor.	30.00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y., S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood 46, Cal.; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown 72, Mass.; T. Konopacki, 1242 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal.; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 600 Imogen Ave., apt. 108, Los Angeles, Cal. 90026; Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn.; A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WLOCHY : Prosimy o przekazywanie prenumerat czekiem lub przekazem pocztowym	700 L.	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Marni-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56**

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM XCVI

MAREK HŁASKO

WSZYSCY BYLI ODWROCENI
BRUDNE CZYNY

Marek Hłasko, dotąd celujący w „małych formach” okazuje się również świetnym powieściopisarzem.

Str. 356

Cena egz. 16,50 F (dol. 3,50; 24/6)



TOM XCVII

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

KUFER NA PLECACH

Jubileuszowy tom, obejmujący 70 nowych wierszy z okazji 70-ciolecia urodzin zawsze młodego poety

Str. 104

Cena egz. 7,50 F (dol. 1,75; 11/6)



TOM XCVIII

BOGDAN CZAYKOWSKI

SPÓR Z GRANICAMI
Poezje

Str. 64

Cena egz. 6 F (dol. 1,25; 9 sh.)